

Śmierć wśród róż

Clark Higgins Mary



calibre 0.9.27

MARY HIGGINS CLARK
ŚMIERĆ WŚRÓD RÓŻ

(PRZEŁOŻYŁA: HANNA BALTYN)

Prószyński i S-ka
2003

Podziękowania

Nikt z nas nie żyje całkiem samotnie. Obracamy się wśród ludzi. Im właśnie jako pisarka bardzo wiele zawdzięczam. Niniejszym składam serdeczne podziękowania moim wydawcom - są nimi Michael V. Korda i Chuck Adams. Byli patronami tej książki od wstępnej koncepcji aż po publikację - bez nich nigdy by nie powstała. Zachowywali się wspaniale - tym razem jeszcze wspanialej niż zazwyczaj.

Tysiączne dzięki pragnę złożyć na ręce Eugene'a H. Winicka, mego agenta, oraz Lisi Cade, zajmującej się reklamą. Ich pomoc była równie nieoceniona.

Pisząc powieść, w której jest mowa o chirurgii plastycznej, zasięgałam opinii konsultantów, to znaczy doktora Bennetta C. Rothenberga z Saint Barnabas Hospital w Livingstone w New Jersey oraz Kim White z New Jersey Department of Corrections. Dzięki. Dziękuję też Inie Winick za konsultację w kwestii prawdopodobieństwa psychologicznego wymyślonej przeze mnie historii.

Moje dzieci - cała piątka - czytały książkę po kawałku, w miarę jak powstawała. Tylko dzięki ich uwagom typu : „Mamo, kto tak dzisiaj mówi?”, dialogi są realistyczne. Dziękuję wam, kochani.

Nie mogę także przemilczeć roli mojej dziesięcioletniej wnuczki Lizy, która w znacznym stopniu była modelem dla małej Robin. Ciągle pytałam: „Liz, a co byś zrobiła lub powiedziała w takiej sytuacji?...” Jej odpowiedzi były wprost niesamowite!

Kocham was, wszystkich razem i każdego z osobna.

Wszelkie podobieństwo postaci opisanych w tej książce do prawdziwych osób jest najzupełniej przypadkowe. Bohaterowie powieści należą do świata fikcji, zostali zrodzeni wyłącznie w wyobraźni autorki.

*Nie rzucaj na ten grób
Jej ukochanych róż;
Po co zakłócać spokój,
gdy ich nie ujrzy już?*

Edna St. Vincent Millay, *Epitafium*

Próbował ze wszystkich sił wyrzucić z myśli Suzanne. Czasami udawało mu się uzyskać parę złudnych godzin spokoju, czasem nawet przesypiał całą noc. Bez snu nie mógłby przecież funkcjonować.

Kochał ją, czy tylko nienawidził? Nie umiał sobie odpowiedzieć na to pytanie. Była bosko piękna - lśniące oczy mrugały drwiąco spod burzy czarnych włosów, a zmysłowe usta uśmiechały się zalotnie lub wyginały w zabawną podkówkę, jak buzia dziecka, któremu mama nie chce dać cukierka.

Zapamiętał na zawsze ostatnią chwilę jej życia - kiedy najpierw drażniła się z nim, a potem odwróciła plecami...

A teraz, blisko jedenaście lat od tamtego wieczoru, Kerry McGrath chce zakłócić spokój Suzanne. Pyta i pyta za dużo tych pytań. Tego nie sposób znieść. Trzeba ją powstrzymać.

Niech umarli odpoczywają w spokoju. Ileż mądrości w tym starym powiedzeniu! Tak, trzeba powstrzymać Kerry. Za wszelką cenę.

I

Kerry wygładziła spódnicę ciemnozielonego kostiumu, poprawiła złoty łańcuszek na szyi i przeczesła palcami sięgające kołnierzyka ciemnoblonde włosy. Przez całe popołudnie miała straszny młyn: w pół do trzeciej wybiegła z sądu i odebrała Robin ze szkoły; wracając z Hohokus do centrum zakorkowaną szosą numer 17, potem numer 4, a później jadąc mostem Waszyngtona na Manhattan, z ledwością zdążyła na wyznaczoną o czwartej wizytę.

Teraz, po tym całym pośpiechu, pozostawało tylko czekać na wezwanie do gabinetu zabiegowego, gdzie miano usunąć szwy Robin. Kerry błagała, by pozwolono jej towarzyszyć córce, ale pielęgniarka była nieugięta:

- Doktor Smith nie pozwala na wpuszczanie rodziny do sali zabiegowej.

- Ale ona ma dopiero dziesięć lat! - wykrzyknęła Kerry, zaraz jednak zacisnęła wargi, przypominając sobie o długu wdzięczności wobec doktora Smitha. Przecież zgodził się zająć małą natychmiast po wypadku. Siostry ze szpitala St. Luke-Roosevelt upewniły ją, że to najlepszy fachowiec w branży, a dyżurny lekarz dodał, że Smith jest prawdziwym cudotwórcą.

Przywołując w pamięci ów wieczór sprzed tygodnia, Kerry uprzytomniła sobie, że wciąż znajduje się w szoku po telefonie Boba. Zamierzała dłużej posiedzieć w biurze mieszczącym się w sądzie w Hackensack, przygotowując się do jutrzejszego wystąpienia w sprawie o morderstwo. Chciała wykorzystać fakt, że ojciec Robin, a jej były mąż Bob Kinellen, nieoczekiwanie zaprosił córkę do cyrku. Po przedstawieniu mieli się wybrać razem na kolację.

Telefon zadzwonił w pół do siódmej. Bob powiedział, że zdarzył się wypadek. Jakaś furgonetka potrafiła jego jaguara w momencie, gdy wyjeżdżał z garażu. Robin ma twarz pociętą odłamkami szkła. Karetka odwiozła ją do St. Luke-Roosevelt, dokąd wezwano chirurga plastycznego. A poza tym wszystko w porządku, choć na wszelki wypadek sprawdzają, czy Robin nie ma żadnych obrażeń wewnętrznych.

Na myśl o tym koszmarnym dniu Kerry potrząsnęła głową. Pragnęła pozbyć się wspomnienia rozpaczliwej jazdy przez Nowy Jork, kiedy wstrząsana bezgłośnym, konwulsyjnym szlochem, powtarzała jedno jedyne słowo „błagam”, a przez głowę przelatywała jej bez końca dalsza część modlitwy: „Błagam Cię, Panie, nie pozwól jej „umrzeć. Mam tylko ją jedną na świecie. Błagam, to przecież małe dziecko. Nie odbieraj mi jej...”

Zanim dotarła na miejsce, Robin była w trakcie operacji. Kerry nie pozostawało zatem nic innego, jak czekać na ławce obok Boba - niby z nim, ale przecież nie razem. Miał teraz drugą żonę i dwójkę innych dzieci. Kerry przypomniała sobie ogromną ulgę, jaką odczuła, gdy w drzwiach sali pojawił się w końcu doktor Smith, który suchym, dziwnie niechętnym tonem oświadczył:

- Na szczęście uszkodzenia są przeważnie powierzchowne, nie sięgają głębszych warstw skóry. Dziecko nie będzie miało blizn. Zapraszam za tydzień na kontrolę w moim gabinecie.

Skaleczenia były jedyną szkodą, jakiej doznała Robin. Dzięki temu opuściła jedynie dwa dni szkoły. Wyglądało nawet na to, że jest dumna ze swych opatrunków. Dopiero dziś, jadąc z Kerry do Nowego Jorku na kontrolę, spytała trochę przestraszonym głosem:

- Ale wszystko będzie dobrze, prawda, mamo? I nie zostaną mi żadne ślady?

Robin, która miała duże niebieskie oczy, regularną twarz o wysokim czole i wyrazistych rysach, była prześliczną dziewczynką, żywą repliką przystojnego ojca. Kerry pocieszyła ją, przekonując, że niebawem będzie wyglądać równie ładnie, jak przed wypadkiem. Miała już dość projektowania w wyobraźni przyszłych kłopotów i nieszczęść. Aby się trochę rozerwać, omiotła poczekalnię uważnym spojrzeniem. Pomieszczenie urządzone ze smakiem. Pod ścianami stały krzesła i kanapy obite jasnym kretonem w drobny kwiatowy wzór. Z kinkietów sączyło się łagodne światło, dywany zaś były grube i puszyste.

Oprócz Kerry w poczekalni siedziała jeszcze czterdziestoletnia na oko pacjentka z opatrunkiem na nosie. Dalej dwie przyjaciółki, z których jedna nerwowo zwierzała się drugiej:

- Wiesz, tak się cieszę, że mnie w końcu namówiłaś. Wyglądasz fantastycznie.

Owszem, potwierdziła w duszy Kerry, odruchowo sięgając po puderniczkę. Spojrzawszy do lusterka, stwierdziła samokrytycznie, że dziś wygląda na każdą minutę ukończonych niedawno trzydziestu sześciu lat. Wiedziała, że uważana jest za ładną i atrakcyjną kobietę, ale nie przewróciło jej się z tego powodu w głowie. Przejechała puszką po nosie, próbując ukryć pod pudrem wylażące zdradliwie piegi, a potem wpatrzyła się w odbicie swych oczu i jeszcze raz zobaczyła, że gdy są zmęczone, tak jak dzisiaj, zmieniają kolor z zielonego na buroszary. Z westchnieniem wsunęła za ucho niesforne pasmo włosów i poprawiła grzywkę, która domagała się przycięcia.

Niespokojne spojrzenie znów wlepiła w drzwi prowadzące do gabinetów zabiegowych. Dlaczego zwykle zdejmowanie szwów tak długo trwa? Czyżby nastąpiły jakieś komplikacje?

Po chwili drzwi się otworzyły, a Kerry poderwała się z nadzieją. Ale zamiast Robin pojawiła się w nich młoda, dwudziestoparoletnia dziewczyna. Spod burzy czarnych włosów wyglądała delikatna, śliczna twarz.

Ciekawe, czy to naturalna uroda, zastanawiała się Kerry, podziwiając wydatne kości policzkowe, prosty nosek, wygięte w łuk Kupidyna zmysłowe wargi, błyszczące oczy i wyraziste łuki brwiowe przybyłej. Czując na sobie uważne spojrzenie, wychodząca dziewczyna zatrzymała wzrok na twarzy Kerry.

Kerry z wrażenia aż zaschło w gardle. Znam cię przecież, pomyślała. Tylko skąd? Z trudem przełknęła ślinę. Ta twarz... Z całą pewnością już ją gdzieś widziała. Gdy tylko za piękną kobietą zamknęły się drzwi, podeszła do recepcjonistki i niewinnie zagadnęła, kim jest tamta pacjentka, bo chyba się znają. Jak brzmi jej nazwisko?

Barbara Tompkins. Kerry nic to nie mówiło. Pomyłka? Chyba nie. Nie opuszczało jej dojmujące uczucie *deja vu*. Było tak niepokojące i dręczące, że aż zadrżała, jakby całe jej ciało przeniknął nagle chłód.

2

Pielęgniarka Kate Carpenter kosym okiem spoglądała na pacjentów w poczekalni. Od czterech lat współpracowała z doktorem Smithem jako asystentka przy zabiegach chirurgicznych. Było dla niej oczywiste, iż jest geniuszem.

Jej samej nie kusilo jakoś nigdy, by oddać się w czarodziejskie ręce doktora Smitha. Zbliżała się do pięćdziesiątki - miała mocną budowę, miłą twarz i szpakowate włosy. Uważała się za kontrrewolucjonistkę w dziedzinie chirurgii plastycznej, powtarzając przyjaciółom: „Dla mnie się liczy zawartość, nie opakowanie”.

Rozumiejąc i współczując tym, którzy mieli prawdziwe problemy, gardziła w duchu kobietami i mężczyznami pojawiającymi się tu z czystej próżności i usiłującymi za pieniądze uzyskać idealną

urodę. „Choć z drugiej strony - mawiała do męża - to właśnie dzięki nim zarabiam na życie”.

Czasami Kate Carpenter zastanawiała się, co ją właściwie trzyma u Smitha. Był ostry w obejściu i pomiatał pacjentami oraz personelem, często przekraczając granice zwykłego chamstwa. Rzadko kogokolwiek chwalił, nigdy natomiast nie przepuścił okazji do złośliwego wytknięcia najdrobniejszego błędu. Trzeba było jednak przyznać, że warunki finansowe oferował doskonale i że budziła podziw precyzja, z jaką pracował.

Ostatnio doktor Smith często bywa w podłym humorze, pomyślała pielęgniarka. Potencjalni pacjenci, zrazeni jego brutalną szorstkością, po pierwszej wizycie już się na ogół nie pojawiali. Jedynymi wyjątkami były pacjentki, którym nadawał specjalny „wygląd” - a ta sprawa budziła jeszcze większy niepokój pani Carpenter...

Doktor nie tylko stał się zupełnie nieznośny ale, co gorsza, popadał w stany otępienia, jakby jego umysł odpływał w jakieś odległe rejony. Czasem, gdy się do niego odzywała, patrzył, nic nie rozumiejąc, jakby przywoływany z drugiego końca świata.

Spojrzała na zegarek. Jak się domyślała, po wizycie Barbary Tompkins, ostatniej pacjentki, którą doktor wyposażył w „wygląd”, Smith zamknął się samotnie w swym gabinecie. Co on tam robi? - zastanawiała się. Musi chyba wiedzieć, że każe ludziom zbyt długo czekać. Ta mała Robin już od pół godziny siedzi sama w trójce, nie mówiąc o innych pacjentach, oczekujących w recepcji. Ale, jak już wcześniej zauważyła Kate Carpenter, po każdej wizycie uprzywilejowanej pacjentki z „wyglądem”, doktor potrzebował sporo czasu, by podjąć normalne obowiązki.

- Pani Carpenter! - Zaskoczona, poderwała się zza biurka. Doktor Smith wpatrywał się w nią z naganą.

- Uważam, że Robin Kinellen czeka już wystarczająco długo - powiedział oskarżycielskim tonem. Jego oczy, ukryte za okularami bez oprawek, były zimne jak dwie bryłki lodu.

3

- Nie lubię doktora Smitha - orzekła stanowczo Robin, gdy Kerry manewrowała między pojazdami, usiłując wydostać się z parkingu przy Dziewiątej Ulicy na Piątą Aleję.

- Dlaczego? - Matka zerknęła na córkę spod oka.

- Bo mnie straszy. Kiedy chodzę do naszego doktora Wilsona, to zawsze śmieje się i żartuje. A doktor Smith nawet się nie uśmiecha. Jakby był na mnie zły. I coś mi takiego dziwnego mówił. Coś o piękności, którą jedni mają, a drudzy zdobywają, i że nikt nie ma prawa jej zmarnować.

Robin, jak i jej ojciec, miała rzeczywiście wyjątkową urodę. Fakt, uznała Kerry, że w przyszłości może jej to napytać biedy, ale jaki lekarz rozmawia na takie tematy z małym dzieckiem?

- Żałuję, że mu powiedziałam o tych nie zapiętych pasach, kiedy tatuś ruszał - dodała Robin. - Właśnie wtedy doktor Smith zaczął mnie pouczać.

Kerry jeszcze raz spojrzała na córkę. Robin zawsze porządnie zapinała pasy bezpieczeństwa. Tym razem prawdopodobnie Bob ruszył tak szybko, że nie miała na to szansy. Kerry próbowała ukryć gniew, mówiąc:

- Tata prawdopodobnie się śpieszył.

- Po prostu nie zauważył, że ich nie zapięłam - wystąpiła z obroną ojca Robin, wyczuwając ostry ton w głosie matki.

Kerry znów zalała fala niepokoju o córeczkę. Bob Kinellen porzucił je, gdy Robin była jeszcze niemowlęciem. Teraz był żonaty z córką swego współnika, głównego właściciela kancelarii; z drugą żoną miał pięcioletniego chłopca i trzyletnią dziewczynkę. Robin uwielbiała ojca, a on, kiedy tylko

miał czas, demonstracyjnie ją rozpieszczę. Ale zarazem tak często ją krzywdził, w ostatniej chwili odwołując umówione spotkania! Jego żona nie chciała pamiętać, że Bob miał przedtem inne dziecko, nigdy więc nie zapraszała Robin do swego domu. W rezultacie Robin prawie nie знаła przyrodniego rodzeństwa.

Nigdy się nią nie zajmuje, a kiedy już, od wielkiego dzwonu, to od razu musi narozrabiać, myślała z goryczą Kerry. Postanowiła, że nie zdradzi się ze swymi uczuciami. Najlepszym sposobem była zmiana tematu.

- Spróbuj się zdrzemnąć. Do wujka Jonathana i cioci Grace jeszcze kawał drogi.
- Dobrze - zamruczała Robin, przymykając powieki. - Założę się, że kupili mi coś fajnego.

4

Jonathan i Grace Hoover, czekając na Kerry i Robin z kolacją, sączyli jak zwykle popołudniowe martini w salonie swego domu w Old Tappan. Posiadłość leżała nad jeziorem Tappan. Zachodzące słońce kładło długie cienie na spokojną wodną taflę. Czerwone korony drzew, przyciętych tak, by nie zasłaniały widoku na jezioro, pyszniły się płomieniście, jakby wiedząc, że niebawem liście opadną. Jonathan rozpalił po raz pierwszy tej jesieni w kominku, a Grace przypuszczała, że nocą nadejdzie zapewne pierwszy przymrozek.

Piękna para ludzi, którzy właśnie zaczęli siódmy krzyżyk, żyła razem od ponad czterdziestu lat. Wydawało się, że łączy ich coś więcej niż więź uczuciowa i przyzwyczajenie. Z biegiem lat upodobnili się do siebie jak rodzeństwo: oboje mieli wyraziste, szlachetne rysy twarzy, okolonych gęstymi włosami. On miał srebrną, naturalnie falującą grzywę, ona nosiła krótkie szpakowate loczki.

Tylko ich ciała były inne. Jonathan, wysoki i wyprostowany, siedział w fotelu z uszatym zagłówkiem, podczas gdy Grace bezwładnie spoczywała *vis d vis* na sofie, z wykrzywionymi nienaturalnie dłońmi i nieruchomymi nogami, przykrytymi afgańskim kobiercem. Inwalidzki fotel na kółkach stał tuż obok. Przez całe lata Grace cierpiała na postępujący nieubłagany artretyzm, coraz bardziej atakujący kończyny.

Jonathan poświęcał jej swój czas bez reszty. Będąc współudziałowcem kancelarii wyspecjalizowanej w prowadzeniu spraw majątkowych, od ponad dwudziestu lat piastował także godność senatora. Odmawiał kandydowania na gubernatora stanu. „Wystarczająco wiele szkód czynię w Senacie - żartował, udzielając wywiadów. - A poza tym wątpię, czy miałbym szansę wygrać”.

Nikt, kto znał go bliżej, nie wierzył w tę fałszywą skromność. Przyjaciele domu dobrze wiedzieli, że głównym powodem rezygnacji Jonathana jest Grace. Zastanawiali się nieraz, czy przypadkiem senator nie odczuwa wobec żony, będącej mu kulą u nogi, ukrytej niechęci. Jeśli nawet, to nigdy tego nie okazywał.

Grace z westchnieniem pociągnęła łyżeczek martini.

- Jesień to moja ulubiona pora roku. Tak tu teraz pięknie, prawda? Dzisiejszy dzień przypomina mi, jak jeździliśmy pociągiem do Princeton na mecze, a potem jedliśmy kolację w „Nassau Inn”...

- I jak nocowaliśmy u twojej ciotki, która zawsze czekała, aż zaśniemy... Mimo moich modłów stara czarownica nigdy nie dała się wywieść w pole - zachichotał Jonathan.

- A kiedy tylko taksówka zbliżała się do podjazdu, ciotka mrugała światłami w holu - z uśmiechem dodała Grace i niespokojnie spojrzała na wiszący zegar. - Spóźniają się... Jak tylko pomyślę, że Kerry i Robin mogły ugrzęznąć w korku... Pamiętasz, co było w ubiegłym tygodniu?

- Kerry dobrze prowadzi - uspokoił ją Jonathan. - Nie przejmuj się tak. Za chwilę przyjadą.

- Wiem, wiem... Tylko że... - Nie musiała kończyć. Jonathan zrozumiał ją bez słów. Od czasu, gdy poznali młodszą studentkę prawa, która zgodziła się opiekować ich domem, traktowali Kerry jak przybraną córkę. A zaczęło się to przed piętnastu laty. Od tej pory Jonathan pomagał Kerry w sprawach zawodowych, a ostatnio użył swych wpływów, by przedstawić jej nazwisko do nominacji na stanowisko sędziego sądu okręgowego.

W dziesięć minut później wesoły dźwięk brzęczyka przy drzwiach oznajmił wyczekiwanych gości. Zgodnie z przewidywaniami Robin, czekał na nią prezent w postaci książki i zgadywanki komputerowej. Po kolacji skuliła się w kłębek na fotelu i pograżyła w lekturze. Dorośli gawędzili przy kawie.

- Powiedz, Kerry, te blizny na twarzy Robin znikną, prawda? - spytała szeptem Grace, upewniwszy się, że dziewczynka nie słyszy.

- O to samo spytałam Smitha. Nie tylko zapewnił mnie, że znikną, ale wydawał się obrażony, że osmielałam się w to wątpić. Ten znakomity doktorek to kawał zakochanego w sobie egoisty. No, ale ma jak najlepszą opinię. W szpitalu powiedzieli mi, że to prawdziwy cudotwórca.

Dopijając kawę, Kerry znów pomyślała o tajemniczej dziewczynie w poczekalni doktora Smitha. Spojrzała na Jonathana i Grace.

- Dziwna rzecz mi się dziś przytrafiła, kiedy czekałam na Robin. Zobaczyłam u doktora znajomą twarz i nawet spytałam w recepcji, jak się ta osoba nazywa. I nic. A jestem pewna, że skądś ją znam. Okropnie mnie to męczy.

- Jak wyglądała? - spytała Grace.

- Skończona piękność, a w dodatku seksbomba. Myślę, że to przez te usta... Miała takie zmysłowe, wydatne wargi. Na pewno skojarzyła mi się z jakąś kochanką Boba, o której wolę nie pamiętać. No cóż, pewnie będę się tym dręczyć, póki sobie dokładnie nie przypomnę - powiedziała Kerry.

5

„Całkiem odmienił pan moje życie, doktorze...” Słowa te wypowiedziała Barbara Tompkins, opuszczając jego gabinet. Wiedział, że to szczerą prawdą. Zmienił najpierw ją samą, a co za tym idzie, także jej życie. Pospolitą szarą myszkę, wyglądającą na znacznie więcej niż swoje dwadzieścia sześć lat, przeistoczył w młodszą piękność. Więcej niż piękność. Zyskała nową osobowość. Dziś była to zupełnie inna kobieta niż ta, która rok temu przekroczyła progi jego gabinetu.

Pracowała wówczas w małej firmie reklamowej w Albany. „Widziałam, jak skorygował pan twarz jednej z naszych klientek - powiedziała. - Odziedziczyłam niewielki spadek po ciotce. Czy mógłby pan zrobić to samo ze mną? Potrafiłby pan zmienić mnie w ładną dziewczynę?”

Zgodził się. Uczynił to - i jeszcze więcej. Zrobił z niej nowego człowieka. Była teraz prześliczna. Zmieniła pracę - bez trudu znalazła zatrudnienie w prestiżowej nowojorskiej agencji. Zawsze miała dobrze poukładane w głowie, ale dopiero połączenie inteligencji z urodą otworzyło przed nią możliwości kariery zawodowej.

Ostatnia wizyta była wyznaczona na wpół do siódmej. Po pracy doktor Smith przeszedł wzdłuż Piątej Alei kilka przecznic, które dzieliły go gabinet od mieszkania przy Washington Mews. Codziennym zwyczajem po powrocie do domu i pozwolił sobie na chwilę relaksu przy szklaneczce burbona z wodą. Rozważał, do której restauracji wybrać się na kolację. Mieszkał samotnie i z zasady nie stołował się w domu.

Dziś miał podły nastrój; był niespokojny i znużony. Spośród wszystkich kobiet, którym nadał

„wygląd”, Barbara Tompkins najbardziej przypominała ją. Patrzenie na tę dziewczynę było niczym katharsis. Na szczęście podsłuchał pogawędkę Barbary z panią Carpenter, której pacjentka zwierzyła się z planów kolacji w hotelu „Plaza”.

Z ociąganiem podniósł się z fotela. Dalej sprawy miały potoczyć się zwykłym, nieuchronnym trybem. Pójdzie do „Oak Bar” w hotelu „Plaza”, rzuci okiem na wnętrze restauracji i znajdzie mały, dyskretny stolik, od którego będzie mógł obserwować Barbarę. Jeśli mu się poszczęści, dziewczyna w ogóle go nie zauważy. A gdyby zauważyła? To nic, najwyżej kiwnie do niej przyjacielsko dłonią... Nie przyjdzie jej przecież do głowy, że on może ją śledzić.

6

Po powrocie do domu z Old Tappan Kerry ułożyła Robin do snu, a sama zabrała się do pracy. Urządziła sobie gabinet na poddaszu domu, do którego przeprowadziła się po rozwodzie z Bobem. Sprzedała ich poprzedni, wspólny dom i poszczęściło jej się w kupnie nowego. Nabyła go za względnie niską cenę w okresie, kiedy na rynku budowlanym panowała bessa. Czowała się w nim szczęśliwa. Liczący pięćdziesiąt lat dom w stylu kolonialnym otoczony był zadrzewionym terenem o powierzchni dwóch akrów. Jedyną porą roku, kiedy Kerry z mniejszą przyjemnością myślała o swym domu, była jesień. Drzewa gubiły wówczas liście, których do uprzątnięcia były całe tony. Niebawem się zacznie, pomyślała z westchnieniem.

Jutro od rana miała przesłuchiwać w krzyżowym ogniu pytań oskarżonego w sprawie o zabójstwo. Był niezłym aktorem. Gdy zeznawał przed sądem, jego wersja wypadków brzmiała bardzo wiarygodnie. Twierdził, że kobieta, jego zwierzchniczka, nieustannie go poniżała, pewnego dnia więc nie wytrzymał i zabił ją. Obrońca występował o kwalifikację czynu jako zabójstwa w afekcie.

Zadaniem Kerry było podważenie prawdziwości tej bajeczki i wykazanie, że to zaplanowana na zimno zbrodnia z zemsty na szefowej, dawnej koleżance, która wyprzedziła oskarżonego w awansie. Kariera kosztowała ją życie. Kerry uważała, że przestępca powinien za to zapłacić.

Było już po pierwszej w nocy, gdy uznała, że wszystkie pytania ma przygotowane i rano nie da się zaskoczyć. Na palcach zesłała piętro niżej. Zajrzała do pokoju śpiącej spokojnie Robin, poprawiła jej kołdrę i przeszła korytarzem do własnej sypialni.

W pięć minut później, z umytą twarzą i czystymi zębami, ubrana w ulubioną nocną koszulę, mościła się wygodnie w szerokim mosiężnym łożu, które po odejściu Boba wypatrzyła na wyprzedazy. Musiała zmienić całe umeblowanie, a zwłaszcza pozbyć się rzeczy z dawnej sypialni męża. Nie była w stanie patrzeć na jego komodę, nocny stolik czy na pustą poduszkę obok własnej.

Żaluzja była tylko częściowo zasunięta, więc w rozproszonym świetle lampy na podjeździe zauważyła, że zaczęło mżyć. Cóż, złota jesień nie może trwać wiecznie, pomyślała z żalem, zadowolona jednak, że jeszcze nie nadeszły prawdziwe chłody, a mżawka nie zmieni się w deszcz ze śniegiem. Zamknęła oczy, próbując uspokoić się przed zaśnięciem, wygnać z serca niezrozumiałe uczucie niepewności i zagrożenia.

Ocknęła się o piątej i z trudem udało jej się podrzemać przez następną godzinę. Wtedy właśnie po raz pierwszy pojawił się ten sen.

Zobaczyła siebie w poczekalni. Na podłodze leżała kobieta. Jej wielkie, martwe oczy patrzyły w pustkę. Piękną twarz otaczała chmura czarnych włosów. Na szyi widniał zadzierzgnięty sznur. Nagle, ku zdziwieniu Kerry, kobieta wstała, rozplatała węzeł i podeszła do biurka recepcjonistki, żeby umówić się na wizytę.

Przez cały wieczór Robert Kinellen chciał zadzwonić i zapytać o zdrowie Robin, ale skończyło się na pobożnych zamiarach. Jego teść Anthony Bartlett, główny udziałowiec kancelarii, w której Robert pracował, wbrew swoim zwyczajom zjawił się po kolacji bez zapowiedzi w domu Kinellenów, by omówić z zięciem sprawę procesu Jamesa Forresta Weeksa o fałszowanie zeznań podatkowych. Weeks był najważniejszym - choć i najbardziej kontrowersyjnym - klientem firmy.

Przez ostatnie trzydzieści lat multimilioner Weeks, przedsiębiorca budowlany, zyskał w Nowym Jorku i okręgu New Jersey pozycję prawdziwej grubej ryby. Łożył poważne sumy na cele polityczne, nie mniejsze na dobroczynność, a ponadto był nieustannym obiektem plotek. O jego powiązaniach ze sferami rządowymi krążyły legendy.

Przez całe lata biuro prokuratora generalnego Stanów Zjednoczonych usiłowało znaleźć jakiegoś haka na Weeksa. Przez te wszystkie lata Bartlett i Kinellen zbili mnóstwo forsy, reprezentując go w sądach. Aż do tej pory agentom federalnym ani razu nie udało się udowodnić mu żadnego wykroczenia popartego obciążającym materiałem dowodowym.

- Tym razem to poważna wpadka - przypomniał Anthony Bartlett, usadowiwszy się *vis a vis* zięcia w jego gabinecie, mieszczącym się w domu w Englewood Cliffs. Pociągnął łyczek koniaku. - Co, oczywiście, znaczy, że Weeks może pociągnąć nas za sobą.

Bob pracował w kancelarii Bartletta od dziesięciu lat. Od razu zorientował się, że jest ona czymś w rodzaju filii Weeks Enterprises, tak mocno splatały się ze sobą wspólne interesy. W istocie, bez podłączenia do potężnego imperium Jimmy'ego, pozostawałoby na łasce i nie łasce pomniejszych klientów, z których profity nie wystarczyłyby nawet na prowadzenie biura. Obaj prawnicy doskonale zdawali sobie sprawę, że jeśli Jimmy tym razem przegra, ich perspektywy zaczną się rysować się w czarnych barwach.

- Niepokoi mnie głównie Barney - opanowanym głosem powie dział Bob.

Barney Haskell był księgowym Jimmy'ego, współoskarżonym w sprawie o podatki. Adwokaci wiedzieli, jak wielki nacisk wywierają służby rządowe na Barneya, obiecując mu ochronę i zmianę tożsamości, gdyby zgodził się zostać koronnym świadkiem.

- Mnie też - powiedział Anthony Bartlett.

- I to z paru powodów - ciągnął Bob. - Mówiłem ci o wypadku, jaki miałem w Nowym Jorku? I że Robin przeszła operację plastyczną?

- Owszem. Jak się miewa?

- Dobrze, dzięki Bogu. Nie wiesz jednak, że operował ją Charles Smith.

- Charles Smith? - Anthony Bartlett aż się wzdrygnął na dźwięk tego nazwiska. Wyprostował się w fotelu, unosząc brwi: - Chyba nie ten sam, który?...

- Ten sam - potwierdził Bob. - A moja była żona, zastępca prokuratora okręgowego, regularnie wozi ją do niego na badania kontrolne. Znając Kerry, wiem, że niedługo się połapie, co jest grane.

- O mój Boże - westchnął żałośnie Bartlett.

Biuro prokuratora okręgu Bergen mieściło się na pierwszym piętrze obszernego zachodniego skrzydła gmachu sądu. Zatrudniało trzydziestu pięciu zastępców i asystentów prokuratora, siedemdziesięciu agentów i dwadzieścia pięć sekretarek, nie licząc samego szefa, Franklina Greena.

Mimo przeciążenia pracą i często makabrycznego charakteru prowadzonych spraw, w urzędzie panowała znakomita atmosfera. Kerry uwielbiała swoją pracę. Regularnie odrzucała kuszące propozycje prywatnych kancelarii, bo bardziej od awansów finansowych interesował ją zawód sędziego federalnego. Podczas lat spędzonych w biurze prokuratorskim zyskała sobie opinię inteligentnego, rzetelnego i uczciwego oskarżyciela.

Dwóch sędziów sądu okręgowego przekroczyło właśnie siedemdziesiątkę - wiek, w którym ustawowo powinni przejść na emeryturę. Były zatem do objęcia dwa stanowiska. Korzystając ze swych senatorskich uprawnień, do jednej z nominacji Jonathan Hoover wysunął kandydaturę Kerry. Sama przed sobą nie przyznawała się, jak bardzo jej na tym zależy. Wprawdzie duże kancelarie oferowały o wiele większe wynagrodzenie, prestiż sędziego jednak był czymś niewymiernym finansowo.

Naciskając guziczki zamka kodowego Kerry rozmyślała o spotkaniu, do jakiego być może dojdzie tego ranka. Drzwi otworzyły się z metalicznym kliknięciem. Machnąwszy na powitanie portierowi, szybkim krokiem pomaszerowała do swego biura. W porównaniu z pozbawionymi okien kłitkami, w których gnieździł się początkujący asystenci prokuratora, pomieszczenie to było względnie przestronne. Błat biurka pokrywały sterty teczek z dokumentami, więc nie widać było, w jakim mebel jest stanie. Krzesła nie pasowały do biurka, za to były wygodne. Otwieranie zasuwanej szafy na akta wymagało siły, ale Kerry nie przejmowała się tym przesadnie.

Biuro łatwo dawało się wietrzyć, miało bowiem dwa okna, przez które wpadało słońce i świeże powietrze. Kerry oswoiła tę przestrzeń, stawiając na parapetach rośliny i wieszając na ścianach oprawione zdjęcia Robin. Teraz w tym funkcjonalnym i wygodnym pokoju czuła się naprawdę u siebie.

Nad ranem pojawił się pierwszy jesienny przymrozek, więc wychodząc z domu, chwyciła w biegu płaszcz. Teraz powiesiła go starannie, wygładzając kołnierz. Kupiony okazjnie burberry powinien jej służyć przez następnych parę lat.

Siadając za biurkiem, ostatecznie otrząsnęła się z nocnych zmor. Musiała się teraz skupić na rozprawie, która miała się rozpocząć za godzinę.

Zamordowana kobieta wychowywała samotnie dwóch kilkunastoletnich synów. Co z nimi teraz będzie? A gdyby tak mnie się coś stało? Gdzie trafiłaby Robin? Na pewno nie pod opiekę ojca; w jego nowej rodzinie czułaby się obca i nieszczęśliwa. A dziadkowie? Kerry nie mogła sobie wyobrazić matki i ojczyma z Kolorado, obojga po siedemdziesiątce, w roli opiekunów dziesięcioletniej dziewczynki. Niech Bóg ma mnie w swojej opiece, zanim Robin dorośnie, pomodliła się w myśli, pochylona nad dokumentami.

Za dziesięć dziewiąt zadzwonił telefon. Był to Frank Green, jej szef.

- Kerry, wiem, że zaraz biegniesz do sądu, ale wstąp do mnie na chwilę po drodze.

- Jasne. - Dobrze, że Frank ma poczucie czasu i ta chwila będzie naprawdę tylko chwilą. Sędzia Kafka robił się cięty, gdy prawnicy spóźniali się na rozprawę.

Prokurator okręgowy siedział za biurkiem. Miał twarde, ostre rysy i przebiegłe spojrzenie. Mimo przekroczonej pięćdziesiątki zachował kondycję gwiazdora szkolnej drużyny piłkarskiej. Uśmiechał się niby życzliwie, ale jakoś sztywno - czyżby wstawił sobie nowy mostek? Jeśli tak, to udany; jego uśmiech będzie się idealnie prezentował przed kamerami, podczas uroczystej czerwcowej nominacji.

Nie było wątpliwości, że Green już teraz ostro startuje w kampanii wyborczej do fotela gubernatora. Media relacjonowały zarówno postępy przy budowie nowego biura, jak i zmiany w garderobie Greena. W jednym z artykułów podkreślano, że skoro poprzedni gubernator dobrze służył stanowi przez dwie kadencje, a Green jest popieranym przez niego następcą, nominację ma już prawie w kieszeni. Po tym tekście Green zyskał wśród współpracowników nowy przydomek - Nasz Wódz.

Kerry podziwiała jego wiedzę prawniczą, talent i skuteczność. Był doskonałym kapitanem okrętu, którym dowodził. Zastrzeżenia budziła jedynie sprawa lojalności zawodowej Greena - w ciągu ostatnich dziesięciu lat Kerry nieraz obserwowała, jak puszczał niedoświadczonych pomocników na zbyt głęboką wodę i pozwalał im zatonać bez ratunku. Cóż, Frank Green nie miał innych bogów przed sobą.

Kerry wiedziała, że perspektywa nominacji na sędzinę podniosła ją w oczach szefa. „Wygląda na to, że oboje jesteśmy stworzeni do wielkich czynów” - powiedział kiedyś w przyпыlywie życzliwości. Teraz gestem zaprosił ją do środka.

- Wejdz, Kerry. Chciałem się dowiedzieć, jak się czuje Robin. Zaniepokoiłem się, kiedy wczoraj poprosiłaś sędziego o przesunięcie rozprawy.

Szybko zrelacjonowała mu wynik badań kontrolnych, zapewniając, że wszystko będzie dobrze.

- Czy to prawda, że wypadek się zdarzył, kiedy Robin była pod opieką ojca? - spytał Green.

- Owszem. To Bob prowadził samochód.

- Twój były, jak widzę, zaczyna mieć pecha. Mam wrażenie, że tym razem nie wybroni Weeksa. Słyszałem, że federalni wychodzą ze skóry, żeby mu się dobrać do tyłka i mam nadzieję, że im się to uda. To łajdak albo jeszcze gorzej. - Frank gestem pozwolił Kerry wyjść. - Cieszę się, że Robin zdrowieje, i to pod twoją opieką. Dzisiaj jest krzyżowe przesłuchanie, tak?

- Tak.

- Znając ciebie, już mi żal faceta. Powodzenia!

W dwa tygodnie później Kerry wciąż jeszcze pławiła się w tryumfach. Wygrała proces. Wywalczyła wyrok za morderstwo. Przynajmniej teraz synowie ofiary będą żyć w spokoju, pewni, że zbrodniarz za pięć lat nie zacznie spacerować na wolności. A tak by się stało, gdyby sędziowie uznali jego postępek za zabójstwo w afekcie. Kwalifikacja czynu jako morderstwa pociągała za sobą wyrok trzydziestu pięciu lat więzienia bez prawa skrócenia kary.

Teraz, po raz kolejny siedząc w poczekalni gabinetu doktora Smitha, otworzyła nieodłączną aktówkę i wyjęła gazetę. Mogła się odprężyć - było już po strachu. Przywiozła Robin jedynie na rutynową kontrolę. A poza tym nie mogła się doczekać nowych wieści o procesie Jimmy'ego Weeksa.

Zgodnie z przewidywaniami Franka Greena, perspektywy oskarżonego nie były różowe. Poprzednie sprawy - o przekupywanie urzędników i pranie brudnych pieniędzy - upadły z braku wystarczających dowodów. Ale tym razem mówiło się, że oskarżyciel chwycił wiatr w żagle. Oczywiście, o ile w ogóle dojdzie do rozprawy. Wybór przysięgłych ciągnął się bowiem już od paru tygodni i końca procedury nie było widać. Bartlett i Kinellen z pewnością zacierają ręce z radości, bo ich licznik bije, a za każdą godzinę w sądzie dostają od swego klienta ciężkie pieniądze.

Bob przedstawił kiedyś swej byłej żonie Weeksa, gdy przypadkiem wpadła na nich w restauracji. Teraz wpatrywała się w zdjęcie, na którym siedzieli obaj przy stoliku obrony. Rozebrać Weeksa z eleganckiego garniturku i zmyć tę fałszywą minę, a łajdacka natura od razu wyjdzie na jaw, pomyślała. Na zdjęciu Bob opiekuńczym gestem obejmował oparcie krzesła Weeksa. Ich głowy niemal się stykały. Kerry pamiętała, jak często Bob lubił przybierać tę pozę.

Przejrzała artykuł i schowała gazetę. Mimowolnie potrząsnęła głową, wspominając uczucie obrzydzenia, gdy mąż wkrótce po narodzinach Robin oświadczył jej, że podejmuje pracę w kancelarii Bartletta.

- Wszyscy ich klienci to przestępcy, jedną nogą w pudle - protestowała wtedy. - Zresztą powinni tam tkwić obiema nogami.

- Ale za to płacą rachunki w terminie - odparł Bob. - Ty, jeśli chcesz, możesz sobie ślęczeć w biurze prokuratora, ale ja mam inne plany.

Po roku dodał, że w tych planach mieści się także małżeństwo z Alice Bartlett.

Zamierzchła przeszłość; Kerry otrząsnęła się i rozejrzała po poczekalni. Dziś siedział tu jedynie wyrosnięty nastolatek z bandażem na nosie i starsza kobieta, której pomarszczona twarz była oczywistym powodem wizyty. Kerry spojrzała na zegarek. Wiedziała, że Robin poprzednim razem samotnie czekała na doktora aż pół godziny. „Szkoda, że nie miałam ze sobą książki” - skarżyła się. Tym razem na wszelki wypadek wzięła z domu coś do czytania.

O Boże, żeby tylko ten doktor Smith bardziej liczył się z czasem, pomyślała z irytacją Kerry, patrząc na zamknięte drzwi do gabinetów zabiegowych. Jedne z nich właśnie się uchyliły.

Kerry zeszywniała z napięcia i wpatrzyła się w wychodzącą kobietę. Burza czarnych włosów okalała piękną twarz o prostym nosie, kusząco pełnych wargach, szeroko rozstawionych oczach i

wydatnych łukach brwiowych. Kerry poczuła, jak coś ją ściska za gardło. To z pewnością nie ta sama kobieta, którą widziała poprzednio, ale podobieństwo jest uderzające. Czyżby siostry? Bo gdyby były zwykłymi pacjentkami, doktor Smith nie nadałby im chyba takich samych rysów. A poza tym... Dlaczego ta twarz przypomina jej kogoś widzianego wcześniej, dlaczego męczy ją we śnie? Pokręciła głową, nie mogąc znaleźć odpowiedzi.

Jeszcze raz przyjrzała się pacjentom w niewielkiej poczekalni. Chłopak z pewnością złamał sobie nos podczas gry w piłkę lub w jakiejś bójce. Ale ta kobieta... czy oczekuje tylko na zwykły lifting, czy też może chce sobie całkowicie zmienić rysy? Jak to jest, kiedy patrzy się w lustro i widzi tam zupełnie obcą twarz? - zastanawiała się Kerry. - Czy naprawdę możliwe jest wybranie sobie nowej twarzy tak samo, jak wybiera się sukienkę? Czyżby zabieg był aż tak prosty?

- Pani McGrath.

Kerry odwróciła się na dźwięk głosu pielęgniarki, która wzywała ją do gabinetu.

Pośpiesznie wstała. Poprzednio spytała recepcjonistkę o nazwisko pięknej pacjentki i dowiedziała się, że to Barbara Tompkins. Teraz po stanowila spytać siostrę o drugą kobietę.

- Jak się nazywa ta pani, która właśnie wyszła? Wydaje mi się, że skądś ją znam.

- Pamela Worth - odparła krótko pani Carpentier. - Tędy, proszę.

Nienaturalnie wyprostowana Robin siedziała naprzeciw biurka doktora z dłońmi na podolku. Gdy ich spojrzenia się spotkały, Kerry zauważyła w oczach córki ulgę. Doktor skinął zapraszająco, wskazując jej krzesło obok Robin.

- Dokładnie sprawdziłem proces gojenia, aby mieć pewność, że wszystko bez komplikacji wraca do normy. Robin upiera się, żeby grać w piłkę, ale musi przy tym koniecznie nosić maskę ochronną aż do końca roku. Nie możemy ryzykować, że szwy się rozejdą. Mogę za to obiecać, że po sześciu miesiącach nie będzie po nich śladu. - Tłumaczyłem Robin - kontynuował lekarz z naciskiem - że wiele osób przychodzi do mnie, by kupić za pieniądze urodę, którą ona została obdarzona przez naturę. Powinna więc chronić to piękno. Z karty wynika, że jest pani rozwiedziona. Robin przyznała mi się, że to jej ojciec prowadził samochód i spowodował wypadek. Nalegam, by wymogła pani na nim większą ostrożność, gdy będzie miał pod opieką córkę. Jej uroda jest niepowtarzalna.

Wracając do domu, na prośbę Robin zatrzymały się na kolację u Valentina w Park Ridge.

- Mam ochotę na krewetki. Tu są najlepsze! - powiedziała Robin. Ale gdy już usiadły przy stoliku, rozejrzała się i szepnęła: - Byłam tutaj kiedyś z tatą. Mówił, że to rewelacyjna knajpa - dokończyła smętnym tonem.

Wiadomo, gdzie jest pies pogrzebany, pomyślała Kerry. Od czasu wypadku Bob zatelefonował do Robin zaledwie raz, i to w czasie, gdy była w szkole. Nagrał się na automatyczną sekretarkę, życząc jej jak najlepszych ocen. Nie prosił, by córka oddzwoniła. Jak trudno zdobyć się na sprawiedliwość, dumiała Kerry. Przecież był u mnie w biurze i dowiadywał się o opinię doktora Smitha. Ale z drugiej strony... to było przed dwoma tygodniami. Od tej pory - cisza.

Podszedł kelner. Przyjął zamówienie i znów zostały same. Robin powiedziała:

- Mamo, ja już nie chcę chodzić do doktora Smitha. On jest jakiś dziwny.

Kerry czuła, jak serce jej się ściska. Myślała o nim to samo, co córka. Ponadto miała jedynie jego słowo, że czerwone szramy na twarzy Robin niedługo znikną. Muszę skonsultować się z innym lekarzem, postanowiła. Próbując nadać głosowi zwyczajne brzmienie, odparła:

- Myślę, że doktor Smith jest w porządku, poza tym, że przypomina zdechłą żabę. - Nagrodą za żarcik był szczerzy śmiech Robin. - Ale przecież nie musisz mu się pokazywać przez najbliższy miesiąc, a może już wcale, więc przestań o tym myśleć. To nie jego wina, że nie ma za grosz

wdzięku.

- Wdzięku? Jest oślizgły jak robal! - chichotała Robin.

Kiedy kelner przyniósł talerze, nawzajem wyjadały sobie co lepsze kąski. Gawędziły. Robin miała bzika na punkcie fotografowania i chodziła na specjalny kurs. Jej najnowszym zadaniem było uchwycenie zmiany barw jesiennych liści.

- Pokazywałam ci te piękne zdjęcia, kiedy tylko drzewa zaczęły żółknąć, mamó. Fotografie z tego tygodnia, z czerwonymi liśćmi, będą jeszcze lepsze!

- Uchwycić niewidzialne - mruknęła Kerry.

- No właśnie! Nie mogę się doczekać, kiedy liście uschną, a potem przyjdzie wichura i wszystkie zmiecie. Będzie super, no nie?!

- Nie ma to jak porządna wichura - przytaknęła Kerry.

Zrezygnowały z deseru. Kerry odbierała właśnie od kelnera kartę kredytową, gdy usłyszała głośne westchnienie córki.

- Tata jest tutaj. Zobaczył nas! - Robin aż podskoczyła.

- Zaczekaj. Sam do nas podejdzie - spokojnym tonem powstrzymała jej zapal Kerry. Odwróciła się. Bob wraz z jakimś mężczyzną szedł za szefem sali do zamówionego stolika. Tym mężczyzną był Jimmy Weeks.

Bob, jak zwykle, prezentował się nienagannie. Długi dzień w sądzie nie pozostawił nawet śladu zmęczenia na jego przystojnej twarzy. Ani zmarszczki, ani fałdki, pomyślała Kerry, która w obecności nieskazitelnego męża zawsze czuła potrzebę skontrolowania makijażu i wygładzenia ubrania.

Robin była uszczęśliwiona. Rzuciła się ojcu na szyję.

- Tak mi przykro, że nie było mnie w domu, kiedy dzwoniłeś, tato.

Och, Robin, niepoprawna Robin, myślała Kerry. I nagle zdała sobie sprawę, że Jimmy Weeks stoi obok stolika i wpatruje się w nią.

- Poznaliśmy się w ubiegłym roku - powiedział. - Była tu pani na kolacji z kolegami z sądu. Miło mi znów panią widzieć, pani Kinellen.

- McGrath. Od dawna nie używam nazwiska męża. Ma pan dobrą pamięć, panie Weeks - obojętnym tonem odparła Kerry. Nie miała zamiaru kłamać, że cieszy ją to spotkanie.

- Istotnie, co jak co, ale pamięć wciąż mi dopisuje. - Uśmiech Weeksa sugerował, że miał to być żart. - Poza tym nie sposób nie zapamiętać tak pięknej kobiety.

Oszczędź mi tych komplementów, chciałaby mu ostro odpowiedzieć Kerry, ale siedziała z wymuszonym uśmiechem na twarzy. Spojrzała na Boba, który uwalniał się właśnie z uścisków Robin. Podali sobie dłonie.

- Kerry, co za niespodzianka.

- Rzeczywiście, spotkania z tobą to prawdziwa niespodzianka, Bob.

- Mamó... - przerwała Robin.

Kerry zagryzła wargi. Nienawidziła się za to, że w obecności córki bywa złośliwa wobec Boba. Po raz drugi zmusiła się do uśmiechu.

- Właśnie miałyśmy wyjść.

- Ekszona nie przepada za tobą, Bob - zauważył Jimmy Weeks, gdy usiedli przy stoliku, czekając na aperitify.

- Kerry mogłaby sobie wreszcie dać spokój z docinkami - wzruszył ramionami Kinellen. - Do wszystkiego podchodzi okropnie serio. Pobraliśmy się zbyt młodo. Nie wyszło nam. To się mogło zdarzyć każdemu. Ludzka rzecz, nie? Życzę jej, żeby wreszcie znalazła sobie jakiegoś faceta.

- Co się stało twojej córce?
- Trochę się pokaleczyła. Nic groźnego.
- Znalazłeś jej dobrego chirurga?
- Tak, najlepszego. Na co masz ochotę, Jimmy?
- Jak się nazywa ten lekarz? Może to ten sam, u którego operowała się moja żona.

Bob Kinellen czuł się przyparty do muru. Przeklinał przypadek, który sprawił, że napatoczyli się na Robin i Kerry. I ta cholerna dociekliwość Weeksa!

- To Charles Smith - wydusił w końcu.
- Charles Smith? - W głosie Weeksa czaiło się wzburzenie. - Żartujesz chyba?
- Sam chciałbym, żeby to były żarty.
- Słyszałem, że niedługo rezygnuje z praktyki. Od lat ma poważne kłopoty ze zdrowiem.
- Skąd wiesz? - zaniepokoił się Kinellen.
- Mam swoje wtyczki - odparł zimno Weeks. - Sam zgadnij dlaczego. Nie powinno ci to zająć więcej niż pięć minut.

10

Tej samej nocy sen powrócił. Kerry znów zobaczyła siebie w poczekalni, a na podłodze młodą czarnowłosą kobietę ze sznurem u szyi, z otwartymi szeroko, niewidzącymi oczami i rozchyłonymi wargami, jakby chciała zaczerpnąć tchu. Z ust wystawał różowy koniuszek języka.

Kerry próbowała wydobyć we śnie głos, krzyknąć ze strachu, ale jęknęła tylko przejmująco. Po chwili Robin szarpała ją za ramię.

- Mamo, co ci jest? Obudź się, mamó! Co ci się śniło?
 - Co? - Kerry od razu otworzyła oczy. - O Boże, Robin, ależ koszmar! Dzięki, że mnie obudziłaś.
- Gdy mała wróciła do swego łóżka, Kerry nie mogła zasnąć, uporczywie analizując swój sen. Dlaczego ją aż tak zaniepokoił? I czym się różnił od poprzedniego?

Nagle zrozumiała. Tym razem wokół ciała rozrzucone były kwiaty. Róże. Śmierć wśród róż.

Usiadła na łóżku, zupełnie przytomna. To było to! To te róże usiłowała sobie przypomnieć. I nagle obie kobiety z gabinetu doktora Smitha, tak podobne do siebie, stały się logicznym ogniwem łańcucha. Teraz już wiedziała, dlaczego wyglądały znajomo. Wiedziała, kogo jej przypominają. Suzanne Reardon, ofiarę w sprawie zwanej „Śmierć wśród róż”. Proces odbył się przeszło dziesięć lat temu - udowodniono wówczas, że mordercą był mąż Suzanne. Prasa rozpisywała się szeroko o rozprawie, a były ku temu powody - piękna ofiara, róże, zazdrość, zbrodnia z miłości.

Wyrok zapadł tego samego dnia, kiedy zaczęłam pracę w biurze prokuratora, przypomniała sobie Kerry. O zbrodnię oskarżono męża. Gazety codziennie drukowały sprawozdania z procesu i zdjęcia Suzanne. Już wszystko rozumiem, uprzytomniła sobie. Byłam przecież na ostatnim posiedzeniu sądu. Warto było posłuchać. Ale dlaczego, do diabła, obie pacjentki doktora Smitha wyglądają dokładnie tak, jak Suzanne?

11

Z Pamelą Worth nie wyszło. Myśl ta dręczyła doktora Smitha przez całą poniedziałkową noc. Piękna twarz nie pasowała do jej topornych kształtów, pozbawionych naturalnego wdzięku ruchów, szorstkiego głosu.

To było do przewidzenia, wyrzucał sobie. Przecież z góry o tym wiedział. A jednak nie mógł się

przemóc. Struktura jej czaszki wydawała się idealnym materiałem. No i przy tym poczucie, że transformacja przebiega za sprawą jego rąk, uwalniało go od niezdrowego podniecenia, jakie odczuwał za pierwszym razem.

Co się stanie, kiedy będzie zmuszony zrezygnować z praktyki? A chwila ta zbliża się nieubłaganie. Lekkie, niezauważalne drżenie palców będzie się stopniowo nasilać. Aż zupełnie przestanie być zdolny do pracy.

Zapalił światło. Nie nocną lampkę, lecz kinkiet oświetlający portret wiszący na ścianie *vis a vis* łóżka. Wpatrywał się weń każdej nocy przed zaśnięciem. Była taka piękna. Choć teraz, gdy patrzył bez okularów, twarz kobiety z obrazu wydała mu się groteskowo zdeformowana, jak w chwili śmierci.

- Suzanne - wyszeptał. I nagle owładnęła nim pamięć okropnej sceny. Zakrył twarz ramieniem, próbując odgrodzić się od tego przejmująco żywego obrazu. Wizja Suzanne po zgonie, odartej z całego uroku i urody, z wytrzeszczonymi oczyma, opadłą szczęką i wysuniętym w wisielczym paroksyzmie językiem, była ponad jego siły....

12

W poniedziałek rano Kerry zadzwoniła do Jonathana Hoovera. Jego głos był kojący jak zawsze. Nie bawiąc się w zbędne uprzejmości, od razu przeszła do sedna sprawy.

- Jonathan, Robin była wczoraj na badaniu kontrolnym i wydaje się, że wszystko jest w porządku. Doktor Smith mówi, że nie będzie śladu po bliznach. Jednak poczuję się pewniej, jeśli zasięgnę opinii drugiego go lekarza. Mógłbyś mi kogoś polecić?

- Nie z własnego doświadczenia - roześmiał się.
- Jakżebyś mogła cię o to podejrzewać! Akurat ty nie musisz poprawiać sobie urody.
- Dzięki za komplement, Kerry. Popytam tu i ówdzie. Oboje z Grace od początku uważaliśmy, że konsultacja u drugiego chirurga jest konieczna, ale nie chcieliśmy ci niczego narzucać. Skąd ta nagła decyzja? Czy zdarzyło się wczoraj coś szczególnego?

- I tak, i nie. Mam zaraz spotkanie, więc opowiem ci kiedy indziej.

- Zadzwonię dziś po południu z adresem chirurga.

- Dziękuję.

- Zawsze do usług, Wysoki Sądzie.

- Jonathan, nie rób sobie żartów. Głupio się czuję.

Usłyszała tylko jego śmiech i brzęk odkładanej słuchawki.

Na pierwsze spotkanie tego ranka umówiona była ze swą asystentką Corinne Banks, której zleciła prowadzenie kolejnej sprawy o morderstwo. Rozprawę wyznaczono na przyszły poniedziałek, więc musiały przedtem uzgodnić szczegółowo linię oskarżenia.

Corinne, dwudziestosiedmioletnia Murzynka, zapowiadała się zdaniem Kerry na znakomitego prokuratora. Właśnie zapukała do drzwi i weszła, taszcząc pod pachą wypchaną teczkę. Uśmiechnęła się szeroko.

- Zgadnij, do czego się Joe dogrzebał - rzuciła uradowana.

Joe Palumbo był jednym z najlepszych agentów biura prokuratora.

- Umieram z ciekawości - uśmiechnęła się Kerry.

- Nasze niesłusznie oskarżone niewiniątko, które oświadczyło, że nigdy w życiu nie miało wypadku, znajdzie się w poważnych tarapatach. Piętnaście lat temu, posługując się fałszywym prawem jazdy, facet spowodował cały szereg incydentów, włącznie z przejechaniem przechodnia. Nie mogę się doczekać, żeby mu o tym przypomnieć. Mamy gościa na widelcu. - Usiadła i otworzyła teczkę. - Ale teraz chciałam z tobą porozmawiać o...

Corinne wyszła po dwudziestu minutach, a Kerry podniosła słuchawkę. Uwaga Corinne o Joem Palumbo nasunęła jej pewną myśl.

Usłyszawszy jego stałą odzywkę: „Czego?”, spytała, czy ma jakieś konkretne plany obiadowe.

- Żadnych, Kerry. A co, chcesz mnie zaprosić do Solariego?

- Z rozkoszą, ale nie dzisiaj. Jak długo tu pracujesz?

- Dwadzieścia lat.

- Czy miałaś coś wspólnego ze sprawą Reardona sprzed dziesięciu lat, wiesz, tej opisywanej

jako „Śmierć wśród róż”?

- Duża sprawa. Nie, nie zajmowałem się nią, ale pamiętam, jak gładko poszło Naszemu Wodzowi. Wyrobił sobie wtedy nazwisko.

Kerry wiedziała, że Joe nie darzy Franka Greena szczególną sympatią.

- Czy były jakieś apelacje?

- No jasne. Obrona wciąż występowała z jakimiś nowymi hipotezami. Ciągnęło się to bez końca.

- Wydaje mi się, że ostatni wniosek o apelację został odrzucony zaledwie parę lat temu - powiedziała Kerry. - Ale zdarzyło się coś, co zainteresowało mnie osobiście tą sprawą. Tak czy inaczej, chciałam cię prosić, żebyś przejrzał wycinki z „The Record” i skserował mi wszystko, co na ten temat pisano. - Wyobraziła sobie, jak Joe po drugiej stronie linii wytrzeszcza ze zdziwienia swoje poczciwe oczy.

- Dla ciebie wszystko, Kerry. Tylko po cholere? Sprawa już dawno zamknięta.

- Później ci powiem.

Zamiast obiadu Kerry zjadła kanapkę, nie ruszając się z za biurka. O pierwszej pojawił się Joe Palumbo z grubą kopertą.

- Zamówienie wykonane.

Kerry spojrzała na niego z sympatią. Niski, siwiejący grubasek o uśmiechniętej twarzy wyglądał gapowato i dobrodusznie; wrażenie było mylące, potrafił bowiem dokonywać istnych cudów, węsząc za szczegółami, które innym wydawały się nieważne. Kerry pracowała z nim wielokrotnie przy najtrudniejszych sprawach.

- Zrewanżuję się - powiedziała.

- Obiad nieważny. Lepiej powiedz mi, czemu zajęłaś się sprawą Reardona. Bardzo mnie to ciekawi.

Kerry zawahała się. Czowała, że jeszcze za wcześnie opowiadać o eksperymentach doktora Smitha. Palumbo natychmiast wyczuł jej rezerwę.

- Nie chcesz, to nie mów. Powiesz, kiedy sama uznasz za stosowne. Cześć.

Kerry zamierzała zabrać materiały do domu i zapoznać się z nimi po kolacji. Nie mogła jednak powstrzymać pokusy i wyciągnęła pierwszy wycinek. Dobrze pamiętałam, pomyślała. To było zaledwie parę lat temu.

Mała notka zamieszczona na trzydziestej drugiej stronie „The Record” informowała o odrzuceniu przez Sąd Najwyższy New Jersey piątego wniosku Skipa Reardona o apelację. Była tam mowa o tym, że adwokat Geoffrey Dorso zapowiedział dalsze apelacje, jeśli tylko uda mu się zebrać nowe dowody świadczące o niewinności klienta. Zacytowano nawet jego wypowiedź: „Nie ustąpię, póki Skip Reardon nie opuści bram więzienia oczyszczony z zarzutów. Jest niewinny”.

Oczywiście, pomyślała z ironią. Każdy obrońca tak mówi.

13

Już drugi wieczór z rzędu Bob Kinellen jadł kolację ze swym klientem Jimmym Weeksem. Dzień w sądzie był fatalny. Wybór przysięgłych przeciągał się. Obrona protestowała osiem razy. Ale mimo że torpedowała propozycje oskarżyciela, było jasne, iż prokurator ma sporo dowodów. Było również jasne, że Haskell skonstruje protesty obrony.

Rozmowa nie kleiła się; obaj mężczyźni byli w ponurym nastroju.

- Nawet jeśli Haskell będzie wyłaził ze skóry, zniszczyć go na rozprawie - zapewniał Jimmy'ego Kinellen.

- Tak ci się tylko zdaje. Pewności nie ma.
 - Pożyjemy, zobaczymy.
 - Zaczynam się o ciebie niepokoić, Bob. - Jimmy uśmiechnął się chłodno. - Najwyższy czas wypracować rezerwową linię obrony.
- Bob puścił tę uwagę mimo uszu. Otworzył menu.
- Umówiłem się później z Alice u Arnotta. Pójdiesz ze mną?
 - Zdecydowanie nie. Mam dosyć tej jego manii kolekcjonowania i przedstawiania sobie nawzajem ludzi. Powinieneś o tym wiedzieć. Już dosyć mi nabruździł.

14

Kerry i Robin siedziały w salonie, odpoczywając w milczeniu. Po raz pierwszy rozpały w kominku - było to proste, bo zamiast prawdziwych polan i ognia Kerry zainstalowała gaz. Gościom tłumaczyła: „Mam uczulenie na dym, a przecież polana i ten ogień wyglądają jak prawdziwe i dają ciepło. Sprzątaczkę myli się często i uprząta sztuczny popiół. Wpędza mnie tylko w koszty”.

Robin rozłożyła na stole swoje zdjęcia drzew.

- Co za wieczór - powiedziała z zadowoleniem. - I zimno, i wieje wiatr. Niedługo będę mogła zrobić resztę zdjęć. Gołe drzewa i kupki liści na trawie.

- Nie mów mi o liściach - jęknęła Kerry, przeciągając się w wygodnym klubowym fotelu. - Chciałabym odpocząć.

- To czemu nie kupisz dmuchawy?

- Znajdziesz ją w tym roku pod choinką.

- Koń by się uśmieł. Co czytasz, mamó?

- Chodź tu do mnie, Rob. - Kerry wyciągnęła jeden z wycinków z dużym zdjęciem Suzanne Reardon. - Poznajesz tę panią?

- Widziałam ją wczoraj u doktora Smitha.

- Masz oko, chociaż to nie jest ta sama osoba. - Kerry zaczęła przeglądać *dossier* sprawy o zamordowanie Suzanne. Ciało odkrył o północy mąż ofiary Skip Reardon - przedsiębiorca budowlany, który własną ciężką pracą dorobił się milionów. Znalazł żonę na podłodze holu ich luksusowej rezydencji w Alpine. Została uduszona. Wokół ciała rozrzucone były purpurowe róże.

Musiałam o tym wtedy czytać, pomyślała Kerry. I podświadomie zapamiętać, skoro róże pojawiły się w moim śnie.

W dwadzieścia minut później westchnęła głośno z zaskoczenia. Skip Reardon został oskarżony o morderstwo, kiedy jego teść, doktor Charles Smith, poinformował policję, iż mąż dręczył Suzanne nieuzasadnionymi atakami wścieklej zazdrości.

Doktor był zatem ojcem Suzanne Reardon! O Boże, pomyślała Kerry. Więc dlatego kształtuje twarze swoich pacjentek na jej obraz i podobieństwo. To nienormalne. Ciekawe, ile razy już to zrobił. I czy to było powodem dziwnego wykładu, jak wygłosił Robin na temat troski o urodę.

- Co się stało, mamó? Dziwnie wyglądasz - spytała Robin.

- Po prostu czytam o interesującej sprawie. - Kerry spojrzała na zegar na kominku. - Już dziewięta, Robin. Czas do łóżka. Zaraz przyjdę powiedzieć ci dobranoc.

Robin zbierała swoje zdjęcia, a Kerry odłożyła na chwilę papiery i zaczęła rozmyślać. Słyszała o wypadkach, kiedy to rodzice nie mogli się pogodzić ze śmiercią swoich dzieci. Niekiedy zostawiali w nietkniętym stanie pokój córki czy syna, z ubraniami wiszącymi w szafie, jakby dziecko oddaliło się tylko na chwilę. Ale żeby reprodukcować twarz zmarłej osoby, i to wielokrotnie? Chodziło tu

chyba o coś więcej niż o głęboki smutek i żalobę.

Z ociąganiem wstała z fotela i poszła na górę do Robin. Ucałowała córeczkę i przeszła do swojej sypialni. Przebrała się w piżamę i szlafrok. Potem przygotowała sobie filiżankę gorącego kakao, wróciła do salonu i znów zabrała się do lektury.

Sprawa wydawała się prosta i oczywista. Skip Reardon przyznał, że w dniu śmierci Suzanne pokłócili się przy śniadaniu i że taka konfliktowa sytuacja trwała już od dłuższego czasu. O szóstej po południu wpadł do domu i zastał żonę układającą w wazonie czerwone róże. Gdy spytał, od kogo ten bukiet, odpowiedziała, że to nie jego interes. Odparł więc, że może zaprosić swojego adoratora, bo on nie zostanie tu ani chwili dłużej. Wrócił do biura, wypił kilka drinków i zasnął na kanapie. Do domu wrócił dopiero o dwunastej i zastał żonę martwą.

Oczywiście, nie miał żadnych świadków, którzy mogliby potwierdzić tę wersję wydarzeń. Wśród papierów znalazły się stenogramy z procesu, łącznie z zeznaniami Skipa. Oskarżyciel zapędził go w kozi róg, tak że facet zaczął się płatać i sam sobie zaprzeczać. Robił nie najlepsze wrażenie, a jego słowa nie brzmiały zbyt wiarygodnie, żeby nie nazwać tego dosadnie.

Kerry uznała, że obrońca beznadziejnie spartaczył sprawę. Było oczywiste, że w procesie poszlakowym Reardon będzie się upierał, iż to nie on zamordował Suzanne. Było też jasne, że stosując krzyżowy ogień pytań, Frank Green zrobi wszystko, by wyprowadzić Skipa z równowagi. Reardon sam się pogryzł.

Wyrok zapadł w sześć tygodni po procesie. Kerry była wówczas na sali. Wróciła myślami do tamtego dnia. Skip Reardon był wysokim, przystojnym rudzielcem; najwyraźniej nieswojo się czuł w eleganckim garniturze. Gdy sędzia spytał, co chce powiedzieć w ostatnim słowie, po raz kolejny zapewnił o swej niewinności.

Przy stoliku obrony siedział tego dnia Geoff Dorso, asystent adwokata prowadzącego proces. Kerry znała go, lecz tylko pobieżnie. W ciągu następnych dziesięciu lat Geoff zyskał sobie reputację dobre go obrońcy w sprawach karnych; ona sama jednak nigdy nie zetknęła się z nim bezpośrednio przy sędziowskim stole.

Doszła do relacji prasowej z odczytania wyroku. Był tam cytat z wypowiedzi Skipa Reardona: „Nie jestem winien śmierci żony. Nigdy jej nie skrzywdziłem. Nigdy jej nie groziłem. Jej ojciec, doktor Charles Smith, jest kłamcą. Przysięgam przed sądem i przed Bogiem, że skłamał”.

Mimo że w pokoju było bardzo ciepło, Kerry przebiegły ciarki po plecach.

15

Było tajemnicą poliszynelem, że Jason Arnott żyje ze spadku. Mieszkał w Alpine od piętnastu lat - od czasu gdy odkupił od Hallidayów dwudziestopokojową rezydencję z rozległym parkiem i ze wspaniałym widokiem na Palisades Interstate Park.

Jason niedawno przekroczył pięćdziesiątkę; był średniego wzrostu szatynem o bladoniebieskich oczach i szczupłej figurze. Bardzo dużo podróżował, od czasu do czasu napomykał o jakichś enigmatycznych interesach na Wschodzie i pasjonował się zbieraniem antyków. Jego dom był przepięknie urządzony - cieszyły oko perskie dywany, stare meble, cenne obrazy i wspaniałe bibeloty. Będąc gospodarzem znakomitych przyjęć, Jason otrzymywał w rewanżu mnóstwo zaproszeń, przeważnie od osób dobrze sytuowanych, bardzo zamożnych, a czasem prawdziwych milionerów.

Wykształcony i obdarzony poczuciem humoru, przyznawał się do dalekiego pokrewieństwa z angielską rodziną Astorów, choć niektórzy podejrzewali, że koloryzuje. Nie mieli mu tego za złe, bo

był sympatycznym i niebanalnym, trochę tajemniczym człowiekiem.

Ludzie nie wiedzieli o jednym - że Jason jest złodziejem. Nikt nie zwrócił uwagi na fakt, że każdy z domów, w których Jason bywał, po pewnym, względnie długim czasie od jego wizyty, padał ofiarą rabunku, przy czym sprawca bezbłędnie omijał najnowocześniejsze systemy zabezpieczające. Jason zabierał tylko to, co mógł z łatwością wynieść. Interesowały go głównie obrazy, rzeźby, biżuteria i tkaniny artystyczne. Tylko kilka razy w złodziejskiej karierze zdarzyło mu się obrobić cały dom. Wymagało to mnóstwa zachodu, przebieranek i wynajmowania ulicznych mętów do załadunku furgonetki, teraz bezpiecznie ukrytej w garażu kryjówki w dalekim Catskills.

W tamtym domu występował jako ktoś zupełnie inny; mieszkający daleko sąsiedzi wiedzieli jedynie, że jest samotnikiem, który unika życia towarzyskiego. Nikt poza sprzątaczką i rzemieślnikami dokonującymi od czasu do czasu drobnych napraw nie przekroczył nigdy progu jego wiejskiej rezydencji, ani jednak owa kobieta, ani fachowcy od gazu czy hydrauliki nie mieli bladego pojęcia, jaką wartość mają zgromadzone tam przedmioty.

Jeśli oficjalny dom Jasona w Alpine był zachwycająco urządzone, ten drugi, w Catskills, wprost zapierał dech w piersiach. Jason przechowywał w nim najcenniejsze ze swych łupów; te, z którymi nie miał serca się rozstać. Każdy sprzęt miał wartość muzealną. Ścianę jadalni zdobił wspaniały Frederic Remington; *vis a vis* stał sheratonowski kredens, na którym połyskiwał wazon Peachblowa.

Wszystkie meble i przedmioty w Alpine zostały nabyte za pieniądze pochodzące ze sprzedaży skradzionych dzieł. Jason starannie unikał trzymania w tym domu czegokolwiek, co mogłoby się kojarzyć z kradzieżami; przypadkiem mógł się bowiem trafić dociekliwy gość o fotograficznej pamięci. Dlatego zupełnie szczerze i na luzie wygłaszał uwagi w rodzaju: „Ładna sztuka, prawda? Kupiłem to w zeszłym roku na aukcji u Sotheby’ego”. Albo: „Trafiła mi się okazja - byłem akurat w okolicy, gdy urządzano wyprzedaż w posiadłości Parkerów”.

Jedyna nieostrożność, jaką Jason popełnił, zdarzyła się przed dziesięciu laty. Jego sprzątacze z Alpine rozpadł się notes i kartki poleciały na podłogę. Zbierając je, nie zauważyła tej z kodami bezpieczeństwa czterech rezydencji w Apine, gdzie także pracowała. Jason spisał numery i podrzucił kartkę do torebki kobiety, nim ta zorientowała się, że ją zgubiła. Następnie, wiedziony przez los na pokuszenie, włamał się po kolei do Elliotów, Ashtonów i Donatellich. A na deser do Reardonów. Nawet po tylu latach nie był w stanie wspomnieć bez dreszczu grozy tamtego koszmarne wieczoru.

Ale to było dawno, a Skip Reardon odsiadywał wyrok w pudle, bez nadziei na skuteczną apelację. Teraz Jason czynił honory domu na przyjęciu. Z uśmiechem wysłuchiwał wyrzucanych w tempie karabinu maszynowego powitań Alice Bartlett Kinellen.

- Mam nadzieję, że Bob też się zjawi - powiedział.

- Och, na pewno. Nie odważy się nadepnąć mi na odcisk - odparła Alice, piękna blondynka o typie urody przypominającym Grace Kelly. Niestety, brakowało jej ciepłego uśmiechu i wdzięku księżnej Monaco. Alice Kinellen była zimna jak góra lodowa. A przy tym nudna i zaborcza, stwierdził w myśli Jason. Jak ten biedny Kinellen z nią wytrzymuje? - Jest na kolacji z Jimmym Weeksem - trzepała dalej Alice, sącząc szampana. - Potąd wciągnięty w jego sprawę. - Znaczącym gestem przeciągnęła palcem po gardle.

- Jeśli tak, to mam nadzieję, że Jimmy też się zjawi - szczerze po wiedział Jason. Wiedział jednak dobrze, że tak się nie stanie. Weeks od lat u niego nie bywał. Po zamordowaniu Suzanne Reardon trzymał się od Alpine z daleka. Przed jedenastu laty poznał bowiem Suzanne właśnie na przyjęciu w domu Jasona Arnotta.

Środa, 25 października

Frank Green był wściekły. Szeroki uśmiech, w jakim ostatnio tak chętnie prezentował nowy garnitur białych zębów, nie pojawił się na jego twarzy, gdy Kerry skończyła mówić. Popatrzył na nią spode łba.

Mogłam się tego spodziewać, pomyślała. To jasne, że Frankowi nie podoba się moje wsadzanie nosa w dawno zamkniętą sprawę, dzięki której zrobił karierę. A szczególnie teraz, kiedy zamierza kandydować na gubernatora.

Po przeczytaniu całego materiału na temat „Śmierci wśród róż”, Kerry położyła się, rozmyślając, jak powinna postąpić wobec doktora Smitha. Czy byłoby właściwe zapytać go wprost o córkę, a następnie o to, dlaczego nadaje rysy zmarłej swoim pacjentkom?

Było to ryzykowne, mógł bowiem po prostu wszystkiemu zaprzeczyć i wyrzucić ją za drzwi. Skip Reardon oskarżył teścia o kłamliwe zeznania. Jeśli doktor Smith wówczas skłamał, nie ma powodu, żeby się dziś, po tylu latach, do tego przyznawał. A jeśli skłamał, to w jakim celu?

Tuż przed zaśnięciem postanowiła, że najlepiej zrobi, udając się do źródła, czyli do Franka Greena. Teraz, gdy opowiedziała prokuratorowi o wszystkim, czego się domyśliła, było oczywiste, że Frank nie zareaguje życzliwie na jej pytanie: „Czy uważasz, że doktor Smith mógł kłamać, by obciążyć Skipa Reardona?”

- Słuchaj, Kerry - odezwał się wreszcie Green. - To Reardon zabił Suzanne. Dobrze wiedział, że ona przyprawia mu rogi. Tego samego dnia, kiedy ją zabił, zapytał swego księgowego, ile może kosztować rozwód. A kiedy się dowiedział, jak dużo, dostał szału. Był bardzo bogaty, ale z drugiej strony, Suzanne porzuciła dla niego obiecującą karierę modelki. Musiałby jej zapłacić złote góry. W tych okolicznościach dowodzenie, że doktor Smith powiedział nieprawdę, jest marnowaniem pieniędzy podatników.

- Ale mówiłam ci przecież, że z nim jest coś nie tak - z namysłem powiedziała Kerry. - Frank, ja nie chcę robić kłopotów ani sobie, ani tobie; sam wiesz, jak bardzo mi zawsze zależy, żeby winny znalazł się za kratkami. Jednak ten Smith zachowuje się zupełnie inaczej niż nieutulony w żalu tatuś. Zachowuje się jak obłąkany. Żebyś ty widział jego twarz, kiedy pouczał Robin i mnie, że należy szanować urodę, jaką niektórzy mają od Boga, a niektórzy muszą zdobywać za pieniądze!

Green spojrzał na zegarek.

- Kerry, pamiętaj o tym, że niedawno wygrałaś dużą sprawę i szykujesz się do następnej. Nominacja na sędziego w drodze. Przykro mi, doprawdy, że Robin przestraszyła się ojca Suzanne Reardon, który, nawiasem mówiąc, wcale nie okazał się idealnym świadkiem oskarżenia. Mówił o córce bez cienia emocji. Był wręcz oziębły, tak suchy i konkretny, że obawiałem się, czy przysięgli go zaakceptują. Bądź rozsądna i daj sobie z tym wszystkim spokój.

Spotkanie zostało zakończone. Na odchodnym Kerry powiedziała jeszcze:

- Zamierzam jednak skontrolować, co Smith zrobił z twarzą Robin. Jonathan znalazł mi innego chirurga.

Po powrocie do swego biura Kerry poprosiła sekretarkę, żeby w najbliższym czasie nie łączyła telefonów. Musiała się spokojnie zastanowić. Rozumiała niepokój Franka Greena, którego spytała o wiarygodność koronnego świadka oskarżenia w sprawie „Śmierci wśród róż”. Nawet cień podejrzenia, że ten wspaniały orzeł Temidy mógł się kiedyś pomylić, spowodowałby spadek jego notowań w mediach, a tym samym naruszył autorytet potencjalnego gubernatora.

Cóż, może doktor Smith po prostu leczy swe obsesje po stracie córki, używając chirurgicznego

talentu do kopiowania jej twarzy, Skip Reardon zaś jest jednym z legiona morderców, którzy do końca zapierają się, twierdząc: „Ja tego nie zrobiłem”.

Nawet jeśli tak, ona nie potrafi odłożyć tej sprawy całkiem *ad acta*. W sobotę, gdy pojedzie z Robin na wizytę do nowego lekarza, spyta go, ilu specjalistów z dziedziny chirurgii plastycznej byłoby - pod względem moralnym - zdolnych do wielokrotnego nadawania pacjentom tych samych rysów.

17

Wpół do siódmej wieczorem Geoff Dorso siedział w swym gabinecie i bez entuzjazmu spoglądał na plik karteczek z wiadomościami, jakie nagromadziły się na jego biurku, kiedy był w sądzie. Odwrócił głowę. Z okien biurowca w Newark rozciągał się wspaniały widok na panoramę Nowego Jorku - widok, który nawet po męczącym dniu zawsze wpływał na niego kojąco.

Geoff był bowiem typowym dzieckiem miasta. Urodzony na Manhattanie, wychowywał się tam do jedenastego roku życia. Wówczas to rodzina postanowiła przenieść się do wygodnego domu w New Jersey. Geoff czuł jednak, że jedną nogą pozostał po tamtej stronie Hudsonu, i lubił to uczucie podwójnej przynależności.

Trzydziestoosmioletni adwokat był wysoki i szczupły - nic nie wskazywało na to, że jest strasznie łasuchem. Lśniące czarne włosy i oliwkową skórę odziedziczył po włoskich przodkach. Jasne, intensywnie błękitne oczy - po angloirlandzkiej prababce.

Geoff był starym kawalerem; trudno to ukryć. Krawaty dobierał na chybił trafił, a jego ubrania były zawsze z lekka wymiętoszone. Pokażny plik wiadomości stanowił jednak najlepsze świadectwo, jak dużym wzięciem cieszył się jako obrońca w sprawach karnych. W wewnętrznych rankingach środowiskowych również zajmował wysoką pozycję.

Szybko przerzucił karteczki, oddzielając ważne informacje od mniej ważnych. Nagle uniósł brwi. Kerry McGrath - prośba o kontakt. Zostawiła dwa numery: do pracy i do domu. O co chodzi? - zdziwił się. Nie prowadził aktualnie żadnej sprawy kontra prokuraturze w Bergen.

W minionych latach spotykał Kerry na różnych publicznych imprezach i prawniczych spędach; słyszał oczywiście, że aspiruje do stanowiska sędziego, ale tak naprawdę wcale jej nie znał. Wiadomość zaintrygowała go. Było zbyt późno, by łąpać ją w biurze. Wykręcił numer domowy.

- Ja odbiorę! - zawołała Robin, słysząc dzwonek telefonu.

I tak na pewno nie do mnie, pomyślała Kerry, próbując, czy spaghetti już mięknie. Miała nadzieję, że chorobliwa telefonomania przejdzie córce z wiekiem. Ale po chwili usłyszała głośnie: „Do cieeebie!”

Podbiegła do aparatu wiszącego na ścianie kuchni. Jakiś nieznajomy głos wymówił jej imię.

- Tak, to ja.

- Mówi Geoff Dorso.

Wiadomość z prośbą o kontakt zostawiła mu w spontanicznym odruchu. Potem trochę tego żałowała. Gdyby Frank Green dowiedział się, że ona coś knuje z adwokatem Skipa Reardona, to byłby koniec jego życzliwej sympatii. Ale cóż, kości zostały rzucone.

- Geoff, to prawdopodobnie zupełnie nieważny szczegół, ale... - Głos jej zamarł. Wykrztuś to z siebie wreszcie, skarciła się w myśli. - Geoff, moja córka miała ostatnio wypadek i operował ją doktor Charles Smith...

- Smith! - przerwał jej Dorso. - Ojciec Suzanne Reardon!

- Tak, i w tym problem. On się dziwnie zachowuje. Jest chyba szalony. - Teraz, kiedy początek miała za sobą, mówiło jej się coraz łatwiej. Opowiedziała Geoffowi o dwóch kobietach ładnych podobnych do Suzanne.

- Chcesz powiedzieć, że Smith nadaje im rysy twarzy swojej córki? - podniesionym głosem spytał Dorso. - Ale po co, do cholery?

- Tego właśnie nie wiem. W sobotę pojedę z Robin do innego lekarza. Zamierzam spytać go o chirurgiczne uwarunkowania takiej reprodukcji twarzy. Chciałabym też pogadać z samym Smithem. Przyszło mi do głowy, że gdybym zdołała się przygotować, przeczytać dokładne stenogramy jego zeznań, byłoby mi łatwiej. Oczywiście, mogę je zamówić w naszym archiwum, bo pewnie gdzieś tam leżą, ale to wymaga czasu i zachodu. Poza tym wolałabym, żeby się nie rozniosło, że się tym interesuję.

- Jutro dostaniesz kopie do rąk własnych - obiecał Dorso. - Prześlę ci je do biura.

- Nie, lepiej do domu. Podam ci adres.

- W takim razie sam je przywiozę i przy okazji pogadamy. Czy może być jutro o wpół do siódmej? Nie zabiorę ci więcej niż pół godziny, obiecuję.

- Zgoda.

- Do zobaczenia, Kerry. I dziękuję.

Trzasnęła odłożona słuchawka. Kerry spojrzała na swoją. W co ja się pakuję? - pomyślała. W głosie Geoffa słyszała nie ukrywane podniecenie. Nie powinnam używać w odniesieniu do Smitha słowa „szalony”. Mogę rozpętać coś, nad czym nie będę w stanie zapanować.

Syk i bulgot zmusił ją do odwrócenia głowy w stronę kuchenki. Wrzątek wypływał z garnka na palnik, zalewając gaz. Nie warto dłużej kontemplować tego obrazu. Zamiast pysznego *spaghetti al dente* będzie kleista, glutowata masa.

18

W środy po południu doktor Smith nie zajmował się sprawami administracyjnymi. Był to czas przeznaczony na zabiegi i badania kontrolne. Tej środy jednak doktor odwołał wszystkie wizyty. Dojeżdżając do budynku przy Sześćdziesiątej Ósmej Wschodniej, gdzie mieściła się agencja Barbary Tompkins, uśmiechnął się z zadowoleniem. Miał szczęście - zwolniło się właśnie miejsce parkingowe dokładnie naprzeciw wejścia do budynku. Doskonałe pole obserwacji.

Gdy Barbara pojawiła się w drzwiach wyjściowych, znów się uśmiechnął. Uznał, że wygląda wspaniale. Zgodnie z jego radą nosiła luźno rozpuszczone, średniej długości włosy, okalające twarz jak rama piękny obraz. Miała na sobie czerwony dopasowany żakiet, czarną spódnicę do kolan i sznurowane, stylowe półbuty. Z daleka wyglądała na osobę elegancką i zadowoloną z życia. On sam wiedział najlepiej, jak wygląda z bliska każdy detal jej twarzy.

Gdy zatrzymała taksówkę, zapalił silnik swego dwunastoletniego czarnego mercedesa i pojechał za nią. Mimo że Park Avenue, jak zwykle w godzinie szczytu, była niemożliwie zatłoczona, śledzenie taksówki nie stanowiło problemu.

Zmierzali na południe; samochód zatrzymał się w końcu przed „Four Seasons” na Pięćdziesiątej Drugiej Wschodniej. Barbara musiała umówić się tu na spotkanie. W barze o tej porze na pewno będzie tłoczno. Postanowił zaryzykować i wślizgnąć się do środka.

Po chwili jednak pokręcił głową i odjechał do domu. Niech jej widok mu na dzisiaj wystarczy. Bo przecież w zupełności wystarczy. Na moment poddał się złudzeniu, że to prawdziwa Suzanne. Teraz pragnął być sam. W gardle poczuł wzbierający szloch. Zbliżając się do śródmieścia, powtarzał

jak mechaniczna lalka: „Przykro mi, Suzanne. Tak mi przykro, Suzanne”.

Gdy Jonathan Hoover miał coś do załatwienia w Hackensack, zwykle wyciągał Kerry na szybki lunch. Argumentem było drwiące pytanie: „Ile talerzy stołowej zupy może zjeść normalny człowiek?”

Dziś Kerry, pochylona nad befsztykiem u Solariego - znajdującej się tuż za rogiem gmachu sądu przyzwoitej restauracji - zdawała mu relację z odkrycia sobowtórów Suzanne Reardon oraz swej rozmowy z Geoffem Dorso. Opowiedziała również o niechętniej reakcji Franka Greena na jej sugestie, by jeszcze raz zająć się dawno zamkniętą sprawą. Jonathan wydawał się zatroskany.

- Kerry, nie pamiętam już szczegółów, wiem tylko, że nie było wątpliwości co do winy męża. Tak czy inaczej uważam, że powinnaś trzymać się od tego z daleka, choćby z uwagi na Franka. Postawmy rzecz jasno - gubernator Marshall jest wciąż facetem w sile wieku. Odbył dwie kadencje i teoretycznie nie ma prawa ubiegać się po raz trzeci o fotel, ale przecież wszyscy wiedzą, jak bardzo mu to stanowisko odpowiada. To on wyznaczył Greena na swego następcę. Między nami mówiąc, zawarli prywatny układ. Green po czterech latach będzie z poparciem Marshalla startował do Senatu.

- A Marshall wróci do Drumthwacket?

- Właśnie. Bardzo mu się podoba życie w gubernatorskiej rezydencji. Dziś jest niemal pewne, że Green otrzyma nominację. Jest przystojny i umie przemawiać. Poza tym ma wspaniałą kartę zawodową, do czego w niemałym stopniu przyczyniła się sprawa Reardona. Przy tym jest sprytny - zamierza kontynuować linię Marshalla. Jeśli jednak ktoś wsadzi kij w szprychy tego tandemu, on pierwszy się przewróci. A konkurencja nie śpi - znajdzie się jeszcze paru amatorów na taki kąsek jak gubernatorski fotel.

- Jonathan, ja tylko chciałam ustalić, czy koronny świadek w tej sprawie miał istotne powody, żeby nie zeznać prawdy. Wiadomo, że ojcowie rozpaczają po stracie córek, ale to, co robi doktor Smith, daleko wykracza poza normę.

- Kerry, Green wyrobił sobie markę, wygrywając tę sprawę. Przyniosła mu popularność. Podczas kampanii Dukakisa główną przyczyną porażki było ujawnienie, że dopuścił do wypuszczenia mordercy, który natychmiast znów zaczął zabijać. Zdajesz sobie sprawę, jak prasa rozdmuchałaby fakt, że Green wsadził niewinnego człowieka za kratki na resztę życia?

- Jonathanie, nie posuwam się tak daleko jak ty. Nie zakładam, że Reardon jest niewinny. Po prostu wydaje mi się, że Smith nie jest całkiem normalny i że miało to wpływ na treść jego zeznań. Był głównym świadkiem oskarżenia, więc jeśli celowo obciążył Reardona, istnieje uzasadniona wątpliwość co do jego winy.

Zbliżył się kelner.

- Jeszcze filiżankę kawy, panie senatorze?

Jonathan skinął głową. Kerry zrobiła przeczący gest. Jonathan uśmiechnął się do niej.

- Pamiętasz, Kerry, tę historię z ogrodnikiem, który nie zasadził u nas tylu drzewek, ile było w umowie? Opiekowałaś się wtedy domem.

- Pamiętam - speszonym głosem odpowiedziała Kerry.

- Kiedy ludzie skończyli pracę, obesłaś cały ogród i policzyłaś drzewka, a potem, żeby dowieść swojej racji, skompromitowałaś szefa przed całą ekipą. Tak było?

- Mhm. - Kerry wpatrzyła się w pustą filiżankę.

- No i co dalej? Przypomnij mi.

- Nie podobały mu się niektóre rośliny, więc zadzwonił do was na Florydę i spytał, czy może je później zamienić na inne.

- I co jeszcze?

- Okazało się, że jest mężem ciotecznej siostry Grace.

- Wiesz już, do czego zmierzam? - mrugnął do niej Jonathan. Lecz po chwili jego głos spoważniał. - Kerry, jeśli postawisz Franka Greena w kłopotliwej sytuacji i zagrozi to jego nominacji, możesz się pożegnać z marzeniami o sędzie. Twoja kandydatura znajdzie się na samym dole pliku podań leżących na biurku gubernatora Marshalla, a ja zostanę dyskretnie poproszony o wybranie innej osoby. - Zawiesił głos i ujął dłoń Kerry. - Przemyśl to dobrze, dziecko, zanim zrobisz następny krok. Wierzę, że potrafisz podjąć właściwą decyzję.

20

Tego samego wieczora, punktualnie o wpół do siódmej, rozległ się dzwonek u drzwi. Robin pognała, żeby otworzyć Geoffowi Dorso. Kerry uprzedziła ją o wizycie kolegi-prawnika, podkreślając, że co najmniej przez godzinę będą zajęci. Robin wcześniej zjadła kolację i obiecała w tym czasie odrabiać lekcje w swoim pokoju. W zamian za to miała prawo oglądać w sobotę telewizję o godzinę dłużej niż zwykle.

Z miłym uśmiechem przyjrzała się gościowi i wprowadziła go do pokoju z kominkiem.

- Mama zaraz przyjdzie - oznajmiła. - Jestem Robin.

- Nazywam się Geoff Dorso. Twój przeciwnik jeszcze żyje? - spytał żartobliwie, wskazując wciąż świeże blizny na twarzy dziewczynki.

- Załatwiłam go na cacy. A tak naprawdę to sprawka stłuczonej szyby.

- Wygląda, że do wesela się zagoi.

- To samo uważa doktor Smith, który robił mi operację twarzy. Mama mówi, że go znasz. Ja myślę, że to świr.

- Przestań, Robin! - zwołała Kerry, schodząc ze schodów.

- Dziecko powiedziało tylko, że król jest nagi - skomentował z uśmiechem Dorso. - Miło cię znów zobaczyć, Kerry.

- I mnie jest miło - zrewanżowała się, myśląc na widok wypchanej aktówki: oby to była prawda.

- Robin...

- Już wiem, już wiem. Lekcje - wesoło zaszczębiotała Robin. - Wie pan, podpadłam ostatnio - wyjaśniła gościowi. - W dzienniczku w rubryce „prace domowe” wpisali mi „więcej pilności”.

- Wpisali ci także „skupiać uwagę” - przypomniała Kerry.

- No bo jak skończyłam odrabiać w szkole to, co było zadane do domu, przypomniałam sobie o czymś ważnym i zapytałam koleżankę. A lekcja trwała. Dobra, idę! - I Robin, machając im na pożegnanie, pognała na górę.

- Fajna dziewczyna, Kerry - powiedział Dorso. - I co za uroda! Za parę lat będziesz musiała barykadować drzwi.

- Straszna perspektywa. Czego się napijesz, Geoff? Może być kawa, wino lub coś mocniejszego.

- Nie kłopotz się. Obiecałem, że nie zabiorę ci zbyt dużo czasu. - Położył aktówkę na stoliku. -

Zajmiemy się tym tutaj?

- Tak. - Usiadła obok niego na kanapie.

Wyjął z teczki dwa grube pliki w tekturowej oprawie.

- To cały zapis procesu. Tysiąc stron. Jeśli naprawdę zależy ci na zrozumieniu tego, co się wtedy stało, radzę ci czytać uważnie. Szczerze mówiąc, od początku do końca wstyd mi dzisiaj za linię obrony, jaką wtedy przyjęliśmy. Skip nie był odpowiednio przygotowany do przesłuchania ani świadkowie oskarżenia porządnie przepytani. Poza tym sami powołaliśmy zaledwie dwóch świadków obrony, a powinniśmy ze dwudziestu.

- Czemu tak się stało?

- Byłem tylko asystentem. To była moja pierwsza praca w kancelarii Farrella i Straussa. Farrell był doskonałym adwokatem, nikt nie zaprzeczy, ale niestety, wieki temu. Gdy Skip Reardon się do niego zgłosił, okres świetności Farrella dawno minął. Farrell nie miał już woli walki - kolejna sprawa o morderstwo po prostu go nie interesowała. Uważam, że losy Skipa potoczyłyby się zupełnie inaczej, gdyby wynajął młodszego adwokata. Z mniejszą renomą, za to z jajami.

- A jaka była twoja rola?

- Żadna. Byłem zielony, świeżo po studiach, i miałem zerowe do świadczenie. W procesie w ogóle nie miałem nic do powiedzenia. Pełniłem funkcje gońca Farrella. Mimo to było dla mnie jasne, że od początku sprawa jest źle prowadzona.

- Frank Green w krzyżowym ogniu rozniósł Reardona w puch.

- Jak wiesz, zmusił Skipa do przyznania się, że on i Suzanne kłócili się tamtego dnia rano, że pytał swego księgowego o koszty rozwodu, a po powrocie do domu o szóstej znów się z nią pokłócił. Koroner ustalił, że śmierć nastąpiła między szóstą a ósmą, więc Skip w zasadzie sam się przyznał, że mógł być wówczas na miejscu zbrodni.

- W sprawozdaniu, które czytałam, jest oświadczenie Skipa, że wrócił do biura, napił się whisky i zasnął. To nie brzmi przekonująco - powiedziała Kerry.

- Może i nie brzmi, ale to szczerą prawdą. Skip prowadził interesy na dużą skalę - budowę ekskluzywnych rezydencji i centrów handlowych. Całe dni spędzał w biurze, na rozmowach z klientami. Ale gdy tylko miał okazję, bardzo lubił przebierać się w kombinezon i pracować razem ze swoimi ludźmi na budowie. Tamtego dnia też tak było. Facet był po prostu zmordowany.

Dorso otworzył pierwszy skoroszyt.

- Zaznaczyłem ci tu zeznania Skipa i Smitha. Uważamy, że w sprawę był wmieszany ktoś obcy; kochanek Suzanne. Skip ma pewność, że miała romans, może nawet kilka jednocześnie. Druga kłótnia wybuchła na widok bukietu czerwonych róż, które ona właśnie układała w wazonie, kiedy Skip wrócił do domu. To nie on je przysłał. Oskarżyciel uznał, że Skip wpadł w szał, z zazdrości udusił żonę i obsypał ciało różami. On oczywiście przysięga, że kiedy wybiegał z domu, Suzanne, wciąż w dobrym humorze, dalej układała kwiaty.

- Czy ktoś sprawdził zamówienia miejscowych kwiaciarni? Jeśli nie Skip przyniósł róże, musiał to zrobić ktoś inny.

- Tak, tyle przynajmniej Farrell zrobił. Okazało się, że żaden z kwiaciarzy w Bergen nie wysłał róż pod ten adres.

- Rozumiem.

- Kerry, wiem, że to potrwa, ale bardzo proszę, przeczytaj akta dokładnie - powiedział Geoff, wstając z kanapy. - Zwróć szczególną uwagę na zeznania doktora Smitha. I chciałbym ci towarzyszyć, jeśli oczywiście zdecydujesz się na rozmowę z nim o tych operacjach plastycznych.

Kerry odprowadziła Geoffa do drzwi.

- Zadzwoń do ciebie za parę dni - obiecała.

Na odchodnym zwrócił się do niej:

- Mam jeszcze jedną prośbę. Pojedź ze mną do więzienia w Trenton. Przysięgam na grób babki, że uwierzysz, iż Skip jest niewinny, gdy tylko sam opowie ci to wszystko. Bo on nie kłamie.

21

W więzieniu stanowym w Trenton Skip Reardon, leżąc na pryczy w swej celi, oglądał dziennik wieczorny. Było już po kolacji - jak zwykle ohydnej. Z każdym dniem w zamknięciu Skip stawał się bardziej zestresowany i rozdrażniony. Mimo to po dziesięciu latach spędzonych w tym miejscu nauczył się trzymać nerwy na wodzy. Z początku szalał - popadał w euforię po każdym złożeniu wniosku apelacyjnego, a w czarną rozpacz po jego odrzuceniu.

Obecnie na jego samopoczucie składały się znużenie i rezygnacja. Zdawał sobie sprawę, że Geoff Dorso nigdy nie zrezygnuje z walki o sprawiedliwość, z drugiej jednak strony wyczuwał zdecydowanie nie przychylny klimat. W telewizji coraz częściej krytykowano fakt, że kryminaliści wychodzą na wolność na skutek apelacji; w sądach do minowała tendencja, by wnioski takie odrzucać. Jeśli Geoff nie zdoła znaleźć odpowiednio przekonującego uzasadnienia, pewnego dowodu, dzięki któremu Skip mógłby wyjść, spędzi tu kolejne beznadziejne dwadzieścia lat.

W chwilach szczególnego załamania wciąż analizował lata sprzed wyroku. Wniosek był jasny - zachował się jak wariat. Był przecież zaręczony z Beth. Aż raz, zresztą na jej własną prośbę, wybrał się solo na przyjęcie do jej siostry i szwagra-chirurga. Beth miała się tam pojawić znacznie później, a nie chciała, by jej chłopak zmarnował sobie wieczór. Pragnęła, żeby się dobrze bawił.

O, tak, pomyślał Skip z ironią, zabawiłem się jak ta lala. Na przyjęciu byli także Suzanne i jej ojciec. Wciąż miał ją przed oczami, jak by to było wczoraj. Od razu wyczuł, że taka dziewczyna oznacza same kłopoty, co nie przeszkadzało, że oszalał na jej punkcie.

Gwałtownie poderwał się z pryczy i wyłączył odbiornik. Spojrzał na leżące na półce przy kiblu opasłe zeszyty, zawierające stenogram procesu. Każde słowo mógłby wyrecytować z pamięci. Tu jest ich właściwe miejsce, pomyślał z goryczą, spoglądając na sedes. Powiniennem je podrzeć na strzępy i spuścić wodę.

Przeciągnął się. Starał się utrzymać kondycję, ciężko pracując fizycznie, a po pracy ćwicząc na siłowni. Teraz wykonał pedantycznie codzienną porcję przysiadów i pompek. Tandetne plastikowe lustro na ścianie odbiło jego niegdyś płomiennie rude, dziś przyprószone siwizną włosy i twarz - kiedyś ogorzała od pracy na powietrzu, dziś bladą specyficzną, więzienną bladością.

W marzeniach, na które sobie od czasu do czasu pozwalał, swobodnie wychodził z więzienia i znów zajmował się budową domów. Chroniczne ograniczenie swobody ruchu i stłumiony, lecz ciągły szum więziennego życia nasuwały mu wizje budynków, które z jednej strony chronią prywatność swych właścicieli, z drugiej zaś mają okna do podłogi, w każdej chwili umożliwiające wyjście na dwór. Miał szkicowniki pełne projektów takich domów.

Gdy tylko Beth przychodziła na widzenia, do czego ostatnio próbował ją zniechęcić, pokazywał jej, co narysował od czasu poprzedniego spotkania. Rozmawiali o tych projektach, jakby miały realną szansę realizacji, jakby marzenie miało się urzeczywistnić, a Skip mógł niebawem znów powrócić do swojej ukochanej pracy.

Teraz jednak zastanawiał się, na jaki świat wyjdzie i jakie domy zobaczy, kiedy po odsiedzeniu całego wyroku opuści wreszcie to koszmarnie pudło.

Kerry słusznie przewidziała, że czekają kolejny pracowity wieczór i późno pójdzie spać. Gdy tylko za Geoffem zamknęły się drzwi, a Robin wskoczyła pod kołdrę, ona zabrała się do studiowania stenogramu procesu.

O wpół do dziesiątej zatelefonowała Grace Hoover.

- Jonathan ma zebranie. Leżę już w łóżku, ale nie chce mi się spać. Poplotkujemy trochę? Masz chwilkę?

- Dla ciebie zawsze, Grace - szczerze odpowiedziała Kerry. Od piętnastu lat, jak długo znała Hooverów, obserwowała stopniowe niedołączenie Grace. Laskę zastąpiły kule, kule z czasem zastąpił wózek inwalidzki, aktywny zaś, społecznikowski tryb życia zmienił się w wymuszone domatorstwo. Grace utrzymywała wprawdzie kontakty z przyjaciółmi i bywała wraz z mężem na prozonych kolacjach, lecz, jak zwierzyła się Kerry, kosztowało ją to coraz więcej wysiłku.

Kerry wiedziała, że Grace jest bardzo dzielna i nigdy się nie skarży. „Człowiek powinien robić to, co do niego należy” - orzekła kiedyś sucho, gdy Kerry próbowała wyrazić słowami, jak bardzo podziwia jej odwagę.

Po wymianie codziennych nowin okazało się że Grace nie dzwoni ot tak, bez powodu.

- Kerry, będę szczerą. Wiem, że jadłaś dziś obiad z Jonathanem. Miałam wrażenie, że po waszej rozmowie wrócił bardzo zdenerwowany. - Tu Grace wdała się w dłuższy wywód na ten temat, konkludując: - Wiesz, kochanie, że Jonathan po dwudziestu latach w Senacie ma spore wpływy, lecz to nie wystarczy, by cię poprzeć na stanowisko sędziego u gubernatora. Zwłaszcza jeśli utrudnisz kampanię wyznaczonemu przez niego następcy. Mówię ci o tym z własnej inicjatywy - dodała. - Jonathan nie ma pojęcia, że postanowiłam do ciebie zadzwonić.

Musiał się przejąć, skoro ze wszystkiego jej się zwierzył, pomyślała Kerry. Dobrze, że biedaczka nie widzi, czym się w tej chwili zajmuję. Kerry postanowiła zbagatelizować sprawę, przekonując Grace, że nie ma zamiaru wsadzać kija w mrowisko.

- Wierz mi, Grace, jeśli okaże się, że doktor Smith zeznał nieprawdę, to Frank Green, otwierając na nowo proces Reardona, tylko zyska sobie dodatkowe punkty. Nie sądzę, by stracił w oczach wyborców, przyznając, że w najlepszej wierze przyjął słowa Smitha za prawdę. Wtedy nie miał przecież powodów, by w nie wątpić. Pamiętaj poza tym, że ja sama wcale nie jestem przekonana, że zapadł niesprawiedliwy wyrok. Przypadek zdarzył, że ta sprawa ze Smithem obudziła mój niepokój. Żeby spać spokojnie, muszę się przekonać, jak było naprawdę.

Gdy skończyły rozmowę, Kerry wróciła do lektury. Odkładając teczki, miała przed sobą plik własnych notatek, pytań i uwag.

Czerwone róże: czy Skip Reardon kłamał, wypierając się, że je przyniósł lub kazał przysłać do domu? A jeśli on nie kłamał, to kto je przysłał?

Dolly Bowles, opiekunka do dziecka, która tego wieczoru pełniła swe obowiązki w domu naprzeciwko, twierdzi, że o dziewiątej wieczorem zauważyła obok domu Reardonów jakiś samochód. W sąsiedztwie jednak było akurat przyjęcie i goście parkowali na pobliskich ulicach.

Dolly wypadła fatalnie na przesłuchaniu. Frank Green przypomniał w sądzie, że aż sześć razy w ciągu roku podnosiła fałszywy alarm, meldując o pojawieniu się w okolicy „podejrzanych osobników”. Za każdym razem okazywali się Bogu ducha winnymi dostawcami. Dolly została zdyskwalifikowana jako świadek. Kerry była pewna, że przysięgli zignorowali jej zeznania.

Skip Reardon nigdy przedtem nie wszedł w konflikt z prawem i uważany był za porządnego obywatela. Mimo to powołano tylko dwóch świadków obrony, którzy to potwierdzili. Dlaczego?

W Alpine, niedługo przed śmiercią Suzanne, zdarzyła się seria włamań. Skip Reardon zeznał, że po odkryciu zwłok żony stwierdził brak części jej biżuterii. Powiedział, że ktoś grasował w ich wspólnej sypialni. Jednak na toaletce poniewierało się luzem sporo wartościowych klejnotów, a powołana przez oskarżenie dochodząca sprzątaczką bez namyślnie zeznała, że Suzanne miała zwyczaj zostawiać swoje rzeczy gdzie popadnie. „Zawsze przymierzała trzy lub cztery suknie i rzucała je na podłogę, jeśli jej się nie spodobały. Na toaletce stale było pełno rozsypanego pudru, a mokre ręczniki walały się po całej łazience. Nie lubiłam tej pracy, chciałam wymówić”.

Rozbierając się do snu, Kerry jeszcze raz przepowiedziała sobie wszystko w myślach. Postanowiła, że w pierwszej kolejności zrobi dwie rzeczy: umówi się na spotkanie z doktorem Smithem i odwiedzi Skipa Reardona w więzieniu.

Wciągu dziewięciu lat, jakie minęły od rozvodu, Kerry umawiała się od czasu do czasu z różnymi mężczyznami, ale żaden nie okazał się tym jedynym. Jej najbliższą przyjaciółką była Margaret Mann, z którą dzieliła pokój w akademiku podczas nauki w Boston College. Marg też była drobną blondynką i często je mylono. Teraz pracowała w banku. Miała własne mieszkanie na Sześćdziesiątej Ósmej Zachodniej. Pozostała fantastyczną kumpelką. Od czasu do czasu w piątkowy wieczór Kerry zamawiała opiekunkę dla Robin i jechała na Manhattan. Jadły z Margaret kolację i szły potem do teatru czy kina. Najczęściej jednak godzinami plotkowały przy kawie. Tego wieczora, po przeczytaniu dokumentów pozostawionych przez Geoffa Dorso, Kerry przyjechała do Margaret i z przyjemnością rozsiadła się na kanapie, przy stoliku, na którym stała deska z serami i winogrona. Gospodyni napełniła kieliszki.

- Do dna! Wyglądasz bosko!

Kerry miała na sobie nowy ciemnozielony kostium - długi żakiet i spódniczka do kolan.

- Dzięki! Nareszcie znalazłam czas, żeby się wybrać do miasta i kupić parę nowych ciuchów. Stroiłam się przez cały ostatni tydzień.

- A pamiętasz, jak twoja mama, malując usta, mówiła zawsze: „Uważajcie, dziewczyny, bo nie znacie dnia ani godziny?” - zaśmiała się Marg. - I miała rację!

- Chyba tak. Jest z Samem już piętnaście lat, ale gdy przyjeżdżają do nas albo my z Robin jedziemy do Kolorado, trzymają się za rączki jak zakochani.

- Szkoda, że nas to ominęło - zażartowała Margaret. I zaraz spytała zupełnie serio: - Jak tam Robin? Mam nadzieję, że blizny ładnie się goją.

- Wszystko w porządku. Zapisalam ją na konsultację do innego chirurga. Jutro ma wizytę.

- Też chciałam ci to doradzić - z wahaniem powiedziała Margaret. - Opowiadałam komuś w pracy o tym wypadku i wymieniłam nazwisko doktora Smitha. Jeden z naszych agentów, Stuart Grant, od razu nadstawił uszu. Powiedział, że jego żona zapisała się do Smitha, bo chciała usunąć sobie worki pod oczami. Poszła raz i już nie chciała do niego wrócić. Wyczuła, że coś z nim nie w porządku.

- A nie mówiła dlaczego? - Kerry aż się wyprostowała z wrażenia.

- Ma na imię Susan, ale doktor ciągle się mylił i mówił na nią Suzanne. Kiedy powiedziała, że chciałaby sobie naciągnąć skórę pod oczami, zaproponował jej operację całej twarzy. Przekonywał, że robi z niej wielką piękność i że głupotą jest z tego nie skorzystać.

- Kiedy to było?

- Chyba ze trzy lub cztery lata temu. O, i jeszcze coś mi się przypomniało. Smith wygłosił Susan cały wykład o tym, że piękność wymaga poczucia odpowiedzialności, a osoby, które nie umieją zrobić z niej właściwego użytku, budzą zazdrość i agresję u innych. - Marg urwała nagle, wpatrując się w przyjaciółkę. - Co ci jest, Kerry? Zmieniłaś się na twarzy.

- Marg, to, co powiedziałaś, jest dla mnie strasznie ważne. Czy jesteś pewna, że Smith mówił o kobietach, które prowokują zazdrość i agresję?

- Oczywiście. Powtarzam ci słowo w słowo, co mi opowiedział Stuart.

- Dasz mi numer do Stuartów? Chciałabym pogadać z jego żoną.

- Mam zanotowany w biurze. Mieszkają w Greenwich, ale mają zastrzeżony telefon, więc musisz poczekać do poniedziałku. A właściwie dlaczego cię aż tak przypiliło?

- Powiem ci przy kolacji - powiedziała Kerry w roztargnieniu. Strony stenogramu z procesu przelatywały jej w głowie jak na obrotowym notatniku. Doktor Smith zeznał, że jego córka bała się o swe życie, ponieważ Skip Reardon był bezpodstawnie zazdrosny. Czyżby kłamał? Czyżby Skip Reardon miał powody do zazdrości? A jeśli miał, to o kogo?

W sobotę o ósmej rano zadzwonił Geoff Dorso.

- Odebrałem twoją wiadomość. Dziś po południu wybieram się do Skipa, do Trenton. Pojedziesz? - Wyjaśnił jeszcze, że aby zapisać się na widzenie o trzeciej, trzeba się stawić na kwadrans przed drugą w rejestracji.

- Oczywiście, że pojadę. - Kerry, nieprzytomna ze snu, zdziwiona była swą odruchową odpowiedzią. - Muszę tylko załatwić kontrolną wizytę Robin. Spotkamy się na miejscu.

W dwie godziny później Kerry wraz ze zniecierpliwioną córką siedziały w poczekalni gabinetu doktora Bena Rotha.

- Przepadnie mi mecz - marudziła Robin.

- Tylko troszeczkę się spóźnisz, nie przejmuj się - pocieszała ją Kerry.

- Strasznie się spóźnię! - nie dawała się przekonać Robin. - Dlaczego nie mogliśmy tu przyjechać po meczu?

- Szkoda, że nie możesz zajrzeć do notesu pana doktora - droczyła się z nią Kerry.

- Ale ty jesteś, mammo!

- Proszę bardzo, pani McGrath, doktor czeka - zwróciła się do nich recepcjonistka.

Doktor Roth, sympatyczny i poczciwie wyglądający mężczyzna o ciepłym uśmiechu, był miłą odmianą po sztywniactwie doktora Smitha. Uważnie obejrzał szwy na twarzy Robin.

- Prawdopodobnie tuż po wypadku rany wyglądały groźnie, ale na szczęście przecięcia były powierzchowne i nie uszkodziły głębszej warstwy tkanki. Wszystko goi się znakomicie, nie będzie problemów.

- Super. Dzięki! Mammo, chodźmy już! - zawołała uradowana Robin.

- Zaczekaj w recepcji, Robin. Muszę jeszcze chwilę porozmawiać z panem doktorem - powiedziała Kerry spokojnym, lecz nie znoszącym sprzeciwu tonem.

Córka doskonale wiedziała, iż oznacza to: „Nie życzę sobie żadnych dyskusji”.

- Dobrze, dobrze. - Robin z teatralnym westchnieniem wyszła z gabinetu.

- Wiem, że pacjenci czekają, ale to bardzo ważna sprawa, panie doktorze.

- Mamy czas. O co chodzi, pani McGrath?

Kerry w telegraficznym skrócie opowiedziała o swoich obserwacjach w gabinecie doktora Smitha.

- W tej sytuacji chciałabym spytać pana o dwie rzeczy. Po pierwsze, czy zdołałby pan upodobnić twarz dowolnej pacjentki do twarzy innej kobiety, czy może potrzebne są do tego sprzyjające czynniki, na przykład zbliżona struktura budowy czaszki? I po drugie, zakładając, że takie powielanie twarzy jest możliwe, czy lekarze o pańskiej specjalności celowo to praktykują?

W dwadzieścia minut później Kerry i Robin pędziły autem w stronę szkolnego boiska. O ile matkę od urodzenia ciągnęło do sportu, o tyle córka, choć ambitna, nie była typem zawodniczki. Kerry spędziła mnóstwo czasu, wożąc ją na treningi i zachęcając do gry w piłkę. Teraz jednak, patrząc, jak mała celnym rzutem lokuje piłkę w bramce, nie mogła przestać myśleć o rzeczowych

wyjaśnieniach doktora Rotha: „Owszem, zdarza się, że chirurg wymodeluje kilku osobom podobny nos lub podbródek, lecz nie zetknąłem się z przypadkiem, by ktoś celowo reprodukował twarze pacjentów”.

Wpół do dwunastej Kerry pomachała córce na pożegnanie. Ustaliły po drodze, że Robin wróci ze swoją najlepszą przyjaciółką Cassie i spędzi popołudnie w domu jej rodziców.

W kilka minut później jechała drogą do Trenton. Kilka razy zdarzyło jej się już być na widzeniu w więzieniu stanowym. Wysokie mury i wieże strażnicze zawsze sprawiały przygnębiające wrażenie. Nie było to miejsce, do którego chciałoby się wracać.

25

Geoff czekał na Kerry w sali rejestracyjnej.

- Strasznie się cieszę, że mogłaś przyjechać - powiedział na powitanie. Podczas oczekiwania na widzenie wymienili niewiele słów. Geoff wyczuł, że Kerry nie chce, aby ją w jakikolwiek sposób nastawiać.

Punktualnie o trzeciej przyszedł po nich strażnik.

Kerry zastanawiała się, idąc, jak też Skip Reardon może teraz wyglądać. Ostatni raz widziała go dziesięć lat temu, podczas ogłoszenia wyroku. Zapamiętała wysokiego, szerokiego w barach, przystojnego młodego faceta o płomiennie rudych włosach. Ale bardziej od twarzy czy sylwetki wryły jej się w pamięć jego słowa: „Doktor Smith kłamie! Przed Bogiem i sądem przysięgam, że jest kłamcą!”

Gdy siedzieli w sali widzeń, spytała Geoffa, co mówił o niej Skipowi.

- Tylko ogólnie mu wspominałem, że prywatnie zainteresowałaś się tą sprawą i że chcesz z nim pogadać. Przysięgam ci, że nie robiłem mu żadnych nadziei.

- W porządku. Mam do ciebie zaufanie.

- Już idzie.

W drzwiach pojawił się Skip Reardon w więziennym drelichu i koszuli bez kołnierzyka. W jego rudych włosach pojawiły się pasma siwizny, a dokoła oczu zmarszczki, lecz poza tym niewiele się zmienił. Przy powitaniu jego twarz rozjaśnił uśmiech.

Kerry zobaczyła w tym uśmiechu nadzieję. Serce jej się ścisnęło. Uznała, że powinna zachować więcej ostrożności i nie palić się tak do tej wizyty, póki lepiej nie pozna sprawy. Trudno - co się stało, to się nie odstanie.

Geoff od razu przeszedł do rzeczy.

- Skip, jak już wspominałem, pani McGrath chciałaby ci zadać kilka pytań.

- Jasne. Odpowiem na każde, choćby nie wiem co - rzekł poważnym tonem, z lekką nutą rezygnacji. - Zna pani to powiedzenie? Nie mam nic do ukrycia...

Kerry zareagowała uśmiechem, po czym równie rzeczowo jak Geoff zadała swoje kluczowe pytanie:

- Doktor Smith podczas rozprawy zeznał pod przysięgą, że jego córka, a pana żona, obawiała się pańskich gróźb. Pan utrzymywał, że doktor kłamie. W jakim celu miałby kłamać w tej akurat sprawie?

- Pani McGrath, gdybym potrafił logicznie wyjaśnić sens zeznań Smitha, nie siedziałbym teraz tutaj - odparł Reardon, splatając palce. - Suzanne i ja byliśmy małżeństwem przez cztery lata i przez cały ten okres widywałem Smitha raczej rzadko. Ona spotykała się z nim od czasu do czasu na kolacji w Nowym Jorku albo zapraszała go do naszego domu. Przeważnie jednak wtedy, kiedy

podróżowałem w interesach. Moja firma rosła jak na drożdżach. Budowałem dużo w całym stanie i kupowałem nowe tereny pod inwestycje w Pensylwanii. Dlatego każdy taki wyjazd trwał co najmniej kilka dni. Jeśli już się natykałem na Smitha, nie mieliśmy sobie zbyt wiele do powiedzenia, ale nie zauważyłem też oznak jawnej wrogości z jego strony. Nigdy nie zachowywał się tak, jakby uważał mnie za zagrożenie dla swojej córki.

- Czy, kiedy już zdarzało się wam przebywać razem, we trójkę, zauważył pan w jego zachowaniu wobec córki coś szczególnego?

Skip bezradnie spojrzął na swego adwokata.

- Ty masz lepsze gadanie, Geoff. Jak by to ująć w słowa? Proszę zaczekać, niech no się skupię. Dam pani przykład. Kiedy chodziłem do szkółki parafialnej, siostry doprowadzały nas do szału swoim ciągłym gadaniem i przypominaniem, że w świętych miejscach musimy się zachowywać nabożnie i z szacunkiem. No i właśnie, on ją dokładnie tak traktował, jak jakąś świętość czy relikwię. Nabożnie.

Co za dziwne słowo, zupełnie nie na miejscu, pomyślała Kerry.

- Był wobec niej bardzo opiekuńczy - dodał Reardon. - Pamiętam, jak kiedyś jechaliśmy razem do restauracji. Smith zauważył, że Suzanne nie zapięła pasów, więc palnął jej mówkę na temat nieodpowiedzialnego zachowania. Strasznie się zapalił, nawet za bardzo, jak na mój gust.

Kerry uznała, że ten opis bardzo przypomina wykład, jaki Smith wygłosił jej i Robin. Trochę wbrew własnym intencjom musiała przyznać, że Skip robi wrażenie człowieka otwartego i szczerego.

- A w jaki sposób ona się do niego odnosiła?

- Przeważnie z szacunkiem, jak normalna córka do ojca. Chociaż pod koniec... to znaczy na krótko przed śmiercią, kiedy zdarzało mi się widzieć ich razem, wyglądała na zirytowaną, jakby ją czymś drażnił.

Kerry zmieniła temat, pytając Skipa o szczegóły zeznania, w którym twierdził, że niedługo przed śmiercią Suzanne stroiła się w kosztowną biżuterię, która nie była prezentem od niego.

- Szkoda, że tu nie ma mojej staruszki, ona by to pani udowodniła w pół minuty. Mama wycięła z jakiegoś magazynu zdjęcie Suzanne zrobione na aukcji dobroczynnej. W kłapie kostiumu ma na nim staroświecką brylantową szpilkę. Świetnie to widać. Fotka była zrobiona na kilka tygodni przed morderstwem. Przysięgam pani, że ta szpilka i parę innych drogich błyskotek, które wzięły się nie wiadomo skąd, bo nie ode mnie, znajdowały się w jej kasetce na biżuterię tamtego ranka. Bardzo dobrze pamiętam, bo o nie też się pokłóciliśmy. Były tam rano, a wieczorem nagle zniknęły.

- Sugeruje pan, że ktoś je zabrał?

Pytanie speszyło Skipa.

- Nie mogę twierdzić na sto procent, że ktoś je wziął, bo Suzanne sama je mogła zwrócić. Twierdzą tylko, że rano były w domu, a po morderstwie już nie. Próbowałem namówić gliniarzy, żeby zajęli się śledztwem także w tej sprawie, ale było widać od początku, że mi nie wierzą. Uznali, że mówię to po to, żeby ich zmylić, i że wymyślam jakąś korzystną dla siebie bujdzę o włamywaczu i mordercy.

Było jeszcze coś, jak pamiętam - ciągnął w zamyśleniu. - Mój tata walczył w drugiej wojnie i przez następne dwa lata stacjonował w Niemczech. Przywiózł stamtąd na pamiątkę miniaturową ramkę, którą podarował mamie jako prezent zaręczynowy. Z kolei mama po darowała ją Suzanne jako prezent ślubny. Suzanne włożyła tam swoją najładniejszą fotografię i trzymała ją na nocnej szafce w naszej sypialni. Kiedy razem z matką jeszcze przed moim aresztowaniem porządkowaliśmy rzeczy Suzanne, staruszka zauważyła brak ramki. A ja pamiętam, że jeszcze rano stała na szafce.

- Czy chce pan powiedzieć, że tej nocy, kiedy zginęła Suzanne, ktoś był w domu i skradł biżuterię razem z pamiątkową ramką? - spytała Kerry.

- Mówię o tym, co według mnie zniknęło. Nie wiem, gdzie się po działo, podobnie jak nie wiem, czy ma to w ogóle związek z samym morderstwem. Twierdzę tylko, że pewne rzeczy były w domu i zniknęły, a policja nie chciała tego w ogóle badać.

Kerry podniosła wzrok znad notatek i bacznie spojrzała wprost w oczy siedzącego naprzeciw mężczyzny.

- Skip, a jak układały się sprawy z żoną?

Reardon westchnął głęboko.

- Kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem, to jakby piorun we mnie strzelił. Była fantastycznie piękna. Inteligentna. Dowcipna. Stuprocentowa kobieta z gatunku tych, co to przy nich każdy knypek czuje się, jakby miał dwa metry wzrostu. A po ślubie... - Skip znów westchnął i zamilkł na moment. - Po ślubie był żar, ale nie było między nami ciepła, pani McGrath. W domu nauczono mnie prostych zasad moralności i wierności. Uważałem, że jak się człowiek żeni, to na wieki. Że rozwód jest absolutną ostatecznością. Bywało nam dobrze razem, nie mówię, że nie. Ale gdyby w czasie naszego małżeństwa ktoś mnie spytał, czy jestem szczęśliwy albo chociaż zadowolony, tobym musiał powiedzieć, że nie. Nie przeszkadzało mi to zresztą aż tak bardzo, bo strasznie dużo pracowałem, ciągle byłem zajęty w firmie, więc udawało mi się unikać takich pytań. Co do Suzanne, to brakowało jej chyba tylko gwiazdki z nieba. Forsa płynęła szerokim strumieniem. Zbudowałem jej dokładnie taki dom, jaki sobie wymarzyła. Całe dni spędzała w klubie, grała w golfa i w tenisa. Przez dwa lata z pomocą specjalisty skupowała meble, żeby dom urządzić do ostatniego szczegółu tak, jak chciała. Mieliśmy takiego gościa, też z Alpine, nazywa się Jason Arnott. Ten to się zna na antykach! Jeździł z Suzanne na każdą aukcję i podpowiadał, co ma licytować. Kreacje kupowała u najdroższych projektantów. Była jak dziewczynka, która chce, żeby codziennie przychodził święty Mikołaj. Nasz układ polegał na tym, że ja harowałem jak wół, a ona miała mnóstwo wolnego czasu. Robiła wszystko, na co jej przyszła ochota. Uwielbiała snobistyczne przyjęcia i różne imprezy, na które zlatywał się tłum reporterów. Zawsze sprawdzała potem, czy w gazetach są jej zdjęcia. Dość długo wydawało mi się, że jest całkiem szczęśliwa, ale te raz, jak tak patrzę wstecz, to myślę, że była ze mną tylko z braku laku.

- Aż... - wtrącił Geoff.

- Aż wreszcie poznała kogoś, na kim zaczęło jej zależeć - ciągnął Reardon. - To wtedy zaczęła dostawać biżuterię, o której mówiłem. Część z tego była nowoczesna, a część to te zabytkowe starocie. Mówiła, że to prezenty od ojca, ale ja wiem, że mydliła mi oczy. Ojciec zresztą odziedziczył po niej całą biżuterię, łącznie z tą ode mnie.

Opowieść przerwał strażnik, pokazując, że czas minął. Więzień wstał i jasnym wzrokiem spojrzał w oczy Kerry.

- Pani McGrath, zapewniam, że siedzę tu niesprawiedliwie, a ten łajdak, który zamordował Suzanne spaceruje na wolności. Gdzieś musi być na to dowód.

Geoff i Kerry ramię w ramię szli w stronę parkingu.

- Pewnie nie pozwolisz się zaprosić na obiad - zagadnął Dorso - ale może byśmy wpadli gdzieś szybko coś przekąsić?

- Nie mogę, pędzę prosto do domu. Muszę ci powiedzieć, Geoff, że z tego, co tu dzisiaj usłyszałam, absolutnie nie wynika, że doktor Smith kłamał, świadcząc przeciw Skipowi Reardonowi. On sam twierdzi, że mieli poprawne, a nawet całkiem niezłe stosunki. Słyszałeś, jak mówił, że nie wierzył Suzanne, która zapewniała, że dostaje biżuterię od ojca. Jeśli akurat o tę biżuterię był

najbardziej zazdrosny, to... - Kerry nie dokończyła zdania.

Co niedziela Robin służyła do mszy o dziesiątej. Kerry, patrząc, jak córka powoli kroczy za księdzem do ołtarza, wspominała czasy, kiedy jako dziecko też bardzo pragnęła służyć do mszy, ale ministrantami mogli być jedynie chłopcy.

Wszystko się zmienia, myślała w zadumie. Nigdy nie wyobrażałam sobie mojej córeczki przy ołtarzu, nigdy nie przypuszczałam, że się rozwiodę z mężem, nigdy nie marzyłam, że pewnego dnia zostanie sędzią. Że mogłabym zostać sędzią, poprawiła się natychmiast. Dobrze wiedziała, że Jonathan ma świętą rację. Stawianie w kłopotliwej sytuacji Franka Greena było równoznaczne z atakowaniem gubernatora. Strzeliłaby sobie samobójczą bramkę. Widzenie ze Skipem Reardonem mogło się stać ostatnim gwoździem do trumny. Po co się napraszać o kłopoty? Za mało biedy sobie w życiu napytała?

Z Bobem Kinellenem przeszła długą drogę z nieba do piekła. Kochała go. Porzucając dom, złamał jej serce. Miejsce rozczarowania i bólu szybko zajęła złość - na niego, ale i na siebie, że tak długo była zaślepiona, nie widząc, że Bob kieruje się w życiu wyłącznie oportunistycznym. Teraz, po latach, doszła wreszcie do stadium względnej obojętności, o ile nie dotyczyło to Robin. Patrząc na modlące się obok pary - w jej wieku, starsze, młodsze, różnie - poczuła, że ogarnia ją smutek. Jak zawsze. Gdyby tylko Bob był takim człowiekiem, za jakiego go uważała... Gdyby chociaż był taki, za jakiego sam siebie ma... W tym roku obchodziliby jedenastą rocznicę ślubu. Z pewnością mieliby więcej niż jedno dziecko. Kerry zawsze marzyła o trójce.

Robin przygotowywała właśnie naczynia do konsekracji. Podniosła głowę i spojrzała na matkę. Spojrzeniu towarzyszył uśmiech. Kerry poczuła w sercu ukłucie wzruszenia. O co mi chodzi, skarciła się, dlaczego się skarzę, czemu narzekam? Przecież mam ją, i to jest najważniejsze. Związki się rozpadają albo są kulawe, ale przecież coś po nich pozostaje. To cudowne dziecko nie wzięło się przecież znikąd - jest córką moją i Boba Kinellena.

Patrzyła na Robin, a jej myśl powędrowała do innej pary: doktora Smitha i jego córki Suzanne. Suzanne też urodziła się jako wynik unikatowej kombinacji genów Smitha i jego byłej żony. W trakcie zeznań doktor powiedział, że po rozwodzie żona wyprowadziła się do Kalifornii i tam powtórnie wyszła za mąż, on zaś zgodził się na adopcję Suzanne przez ojczyma, w jej najlepiej pojętym interesie, skoro miała się u nich wychowywać. „Po śmierci matki wróciła do mnie. Byłem jej potrzebny”.

Skip Reardon powiedział, że doktor Smith traktował swą córkę „nabożnie”. Po usłyszeniu tego słowa przez głowę Kerry przemknęła nieprawdopodobna myśl. To, że doktor Smith dokonywał na innych kobietach operacji mających upodobnić je do jego córki, było faktem. Nikt jednak nigdy nie zastanawiał się, czy przypadkiem nie zoperował niegdyś samej Suzanne.

Kerry i Robin właśnie kończyły obiad, kiedy zadzwonił Bob i zaprosił córkę na kolację. Alice wyjechała na tydzień z dziećmi, a on miał akurat interes w Catskills - poszukiwał domku wypoczynkowego na zimę.

- Czy Robin może się tam ze mną wybrać? Już dawno obiecałem jej kolację w mieście. Obiecuję,

że odwożę ją przed dziewiątą.

Robin skakała ze szczęścia, a już za godzinę pakowała się do samochodu ojca.

Wolne popołudnie było darem niebios; Kerry mogła wreszcie jeszcze raz na spokojnie przejrzeć stenogramy z procesu Reardona. Samo czytanie dawało pewne pojęcie o przesłuchaniach świadków, dość jednak blade. Martwe literki i zeznania żywych ludzi to zupełnie co inne go. Kerry nie mogła widzieć twarzy świadków, słyszeć tonu ich głosu, którą to możliwość miała ława przysięgłych. Wrażenie, jakie wywiera ją świadkowie zawsze ma ogromny wpływ na werdykt. Ława przysięgłych obserwowwała i oceniała doktora Smitha. Było jasne, że zrobił dobre wrażenie i uwierzono mu.

27

Geoff Dorso kochał futbol i był zaprzysięgłym kibicem Gigantów, uczęszczającym co tydzień na ich stadion w Meadowlands. Nie był to główny powód, dla którego kupił mieszkanie akurat tam, ale często powtarzał, że doskonale się złożyło. Mimo sportowego zaangażowania nie mógł tego popołudnia skupić uwagi na grze swoich faworytów przeciw Kowbojom z Dallas. Cały czas myślał o wczorajszym widzeniu w Trenton, zastanawiając się, co Kerry McGrath myśli o sprawie po lekturze akt i osobistym kontakcie ze Skipem.

Papiery dostarczył jej we czwartek. Ciekawe, czy już je przeczytała. Miał cichą nadzieję, że sama poruszy ten temat podczas oczekiwania na widzenie w więzieniu, ale nawet się nie zająknęła. Próbował przekonywać sam siebie, że sceptycyzm jest w pewnym sensie cechą jej zawodu, a sygnały negatywnego stosunku do sprawy po widzeniu ze Skipem nie oznaczają wcale, że umywa od wszystkiego ręce.

Gdy Giganci w ostatniej minucie zdobyli decydującą bramkę, Geoff wraz z innymi wydawał zwycięskie okrzyki, odmówił jednak, gdy kumple próbowali go zaciągnąć po meczu na piwo. Zamiast tego wrócił do domu i zadzwonił do Kerry. Był podniecony wieścią, że nie dość iż przeczytała komplet akt, ale ma do niego, Geoffa, szereg pytań.

- Tak bardzo chciałbym, żebyśmy się spotkali - powiedział. I po myślał: a czemu nie spróbować? Najwyżej odmówi. - Masz może czas dziś wieczorem? Co myślisz o wspólnej kolacji?

28

Po sześćdziesiątce Dolly Bowles przeprowadziła się do córki zamieszkałej w Alpine. Stało się to przed dwunastu laty, kiedy owdowiała. Przerazała ją myśl o życiu w samotności, a jeszcze bardziej denerwowała perspektywa pozostania w ogromnym, pełnym wspomnień domu.

Dolly Bowles, owszem, była nerwowa, ale istniały ważne psychologiczne przyczyny tego faktu. Dawno temu, gdy była jeszcze dzieckiem, zdarzyło jej się otworzyć drzwi dostawcy, który okazał się rabusiem. Do dziś śniło jej się w nocnych koszmarach, jak obie z matką, związane, patrzyły bezsilnie na złodzieja, który obrabiał dom. Po tym wypadku nigdy nie wyzbyła się podejrzliwości w stosunku do obcych i kilka razy naraziła się na gniew zięcia, bez powodu naciskając guzik alarmu, gdy była sama w domu. Wydawało jej się, że słyszy jakieś dziwne głosy albo widzi na ulicy nieznanymi osobników.

Jej córka Dorothy i zięć Lou często wyjeżdżali. Gdy Dolly zamieszkała z nimi, wnuki wciąż jeszcze wymagały opieki, ale po kilku latach usamodzielniały się, wyprowadziły z domu i Dolly została bez zajęcia. Z początku próbowała zabijać czas różnymi pracami domowymi, lecz stała gosposia szybko dała jej do zrozumienia, że sama sobie świetnie radzi.

Wreszcie jednak Dolly znalazła zajęcie, które wszystkim odpowiadało - zaczęła udzielać się jako opiekunka do dzieci okolicznych sąsiadów. Naprawdę kochała dzieciaki i potrafiła się z nimi bawić godzinami. Sama była tak sympatyczna, że wszyscy ją uwielbiali. Ludzi irytowało tylko jedno - że Dolly ma zwyczaj wzywać policję zupełnie bez powodu i opowiadać, że w okolicy kręcą się podejrzane typki. Od czasu gdy zeznawała jako świadek w procesie Reardona, nie zrobiła tego jednak ani razu. Mimowolnie wzdrygała się na każde przypomnienie tego, co zdarzyło się w sądzie. Prokurator zrobił z niej kompletną idiotkę, a córka i szwagier latami mieli pretensje, że upierała się, by zeznawać.

Ale Dolly wiedziała swoje. Musiała zeznać prawdę, był to jej moralny obowiązek. Znała dobrze Skipa Reardona i chciała mu pomóc. Poza tym naprawdę zauważyła obcy samochód, tak samo zresztą jak pięcioletni Michael, dziecko nieco opóźnione w rozwoju, którego pilnowała tamtego wieczora. Mały dobrze zapamiętał auto, ale adwokat Skipa zabronił jej o tym wspominać.

- To tylko zaszkodzi naszej sprawie - orzekł pan Farrell. - Wszystko, o co panią prosimy, to stwierdzenie, że widziała pani ciemny samochód zaparkowany przed bramą Reardonów o dziewiątej, i że ten mercedes sedan odjechał stamtąd w kilka minut później.

Dolly była pewna, że na tablicy rejestracyjnej zauważyła cyfrę „3” i literę „L”. Ale prokurator kazał zrobić eksperyment. Z umieszczonej w końcu sali sądowej tablicy rejestracyjnej nie zdołała odczytać numeru. Mało tego, ten człowiek wydobył od niej, że bardzo lubi Skipa Reardona, bo jest uczynny i pewnego wieczora pomógł jej odkopać samochód, który ugrzązł w zaspie.

Dolly zdawała sobie sprawę, że skoro Skip okazał jej serce, nie znaczy to wcale, iż nie jest zdolny do zbrodni. Intuicja mówiła jej jednak, że jest niewinny, więc modliła się o niego każdej nocy. Czasami, tak jak teraz, gdy pilnowała dzieci naprzeciwko domu Reardonów, wyglądała przez okno i wspominała wieczór, kiedy zamordowano Suzanne. Myślała także o małym Michaelu (teraz to już piętnastoletnie chłopisko; jego rodzina wyniosła się z Alpine), który postukał paluszkami w szybę, wskazując czarny wóz i powiedział: „Dady auto!”

Nie zdawała sobie natomiast sprawy, że w tym samym czasie, we wczesny niedzielny wieczór, zaledwie dziesięć mil dalej, w „Villa Cesare” w Hillsdale, ona sama jest przedmiotem rozmowy Kerry McGrath i Geoffa Dorso.

29

Na zasadzie milczącego porozumienia Kerry i Geoff poruszyli temat Reardonów dopiero przy kawie. Podczas kolacji Geoff opowiadał jej o swoim dzieciństwie w Nowym Jorku.

- Wydawało mi się, że nasza rodzina z New Jersey mieszka na pustyni - mówił. - I dopiero wtedy, kiedy sami się przeprowadziliśmy, polubiłem to miejsce i zgodziłem się tam zostać. - Opowiedział potem Kerry o swoich czterech młodszych siostrach.

- Zazdroszczę ci - powiedziała. - Sama jestem jedynaczką. Zawsze strasznie lubiłam bawić się u koleżanek, które miały dużo rodzeństwa. Marzyłam, żeby mieć braci lub siostry. Ojciec zmarł, kiedy miałam dziewiętnaście lat, a w dwa lata później mama drugi raz wyszła za mąż i wyniosła się do Kolorado. Widujemy się zaledwie dwa razy do roku.

- Więc nie masz specjalnego oparcia w rodzinie. - Spojrzenie Geoffa zmiękło.

- Nie, ale matkę i ojca zastępują mi Hooverowie. Grace i Jonathan od lat traktują mnie jak rodzoną córkę.

Rozmawiali o studiach, zgodnie przyznając, że pierwszy rok to prawdziwy koszmar, którego za nic nie chcieliby przeżyć jeszcze raz.

- Dlaczego wybrałaś adwokaturę? - spytała Kerry.

- Sam nie wiem... to nie było całkiem uświadomione. Pamiętam, że kiedy byłem mały, to mieliśmy w bloku sąsiadkę, Annę Owens. Strasznie fajną kobietę, po prostu fantastyczną. Kiedyś... mogłem mieć z osiem lat... pędziłem korytarzem, żeby złapać windę, i wpadłem prosto na nią. Przewróciła się. Każdy dorosły na jej miejscu zacząłby się na mnie drzeć albo poleciałby na skargę do matki. Ale ona się tylko po zbierała i powiedziała: „Geoff, gdzie tak pędzisz, przecież winda za chwilę znów tu przyjedzie” - i wybuchnęła śmiechem. Możesz sobie wyobrazić, jak mi było głupio.

- To nie tłumaczy jeszcze, dlaczego zostałeś obrońcą.

- Nie. Ale parę miesięcy później, gdy Annę Owens zostawił mąż, poszła do mieszkania jego kochanki i zastrzeliła go. Jestem pewien, że nie była całkiem świadoma tego, co robi. Jej adwokat w ten właśnie sposób ustawił linię obrony, ale i tak poszła na dwadzieścia lat do paki. Chyba chodzi mi o tak zwane okoliczności łagodzące. Jeśli wierzę, że zaistniały albo że oskarżony jest niewinny, tak jak Skip Reardon, wtedy z przekonaniem bronię sprawy. - Geoff przerwał po chwili spytał: - A dlaczego ty zostałeś prokuratorem?

- Mnie chodzi o ofiary i ich rodziny - powiedziała Kerry z prostotą. - Gdybym miała wyciągnąć praktyczne wnioski z twojego rozumowania, to mogłabym zabić Boba Kinellena, a ty byś mnie wybronił z powodu okoliczności łagodzących.

W oczach Geoffa zamigotały iskierki irytacji, ale szybko zastąpił je wyraz rozbawienia.

- Być może, Kerry, ale jakoś nie mogę sobie wyobrazić, że biegasz za facetem ze spluwą.

- Nie, dopóki... - Kerry zacięła się, lecz po chwili ciągnęła dalej. - Dopóki by ktoś nie zagroził Robin. Żeby ją uratować, nie zawahała bym się przed niczym. Tego jednego jestem pewna.

Po kolacji Kerry opowiedziała Geoffowi, jak głęboko przeżyła śmierć ojca.

- Byłam na drugim roku w Boston College. Mój ojciec latał jako kapitan w liniach PanAm i w końcu został wybrany wiceprezesem za rządu. Odkąd skończyłam trzy lata, podróżowałam z rodzicami po całym świecie. Tata był dla mnie wszystkim - głośno przełknęła ślinę. - Aż nagle, pewnej soboty, pamiętam, bo przyjechałam na weekend do domu, powiedział, że źle się czuje. Nie chciał wzywać lekarza, bo to było kilka dni po badaniach okresowych. Powiedział, że do rana mu się poprawi. A rano już się nie obudził.

- A matka po dwóch latach drugi raz wyszła za mąż? - spytał łagodnie Geoff.

- Tak, zanim jeszcze zrobiłam dyplom. Sam był wdowcem i dobrym przyjacielem taty. Gdy tata umarł, Sam miał właśnie przejść na emeryturę. Zamierzał przenieść się na stałe do Vail - ma tam śliczny dom. Obydwojgu jest tam teraz wspaniale.

- Co by twój ojciec powiedział na małżeństwo z Bobem Kinellenem?

- Bystry jesteś, Geoff. Myślę, że nie szalałby ze szczęścia - zaśmiała się Kerry.

Przy kawie przeszli wreszcie do rzeczy. Zaczęła Kerry.

- Dziesięć lat temu siedziałam na sali podczas ogłoszenia wyroku. Wyraz twarzy Skipa, tak jak jego słowa, na trwałe został mi w pamięci. Od tamtej pory słyszałam mnóstwo przestępców zaklinających się, że są niewinni - no bo i co mieli do stracenia? - ale coś w jego głosie kazało mi wątpić w sprawiedliwość wyroku.

- Po prostu mówił prawdę.

- Uprzedzam cię, Geoff, że zamierzam się zachowywać jak *advocatus diaboli* i nic mnie od tego nie powstrzyma. Nie uwierzę na słowo, że Reardon jest niewiniątkiem, choć oczywiście lektura stenogramu wzbudziła we mnie mnóstwo wątpliwości. Wczorajsze widzenie niczego nie zmieni. Albo on kłamie, albo doktor Smith, *tertium non datur*. Skip ma mnóstwo powodów, Smith żadnego. Uważam, że Reardona obciąża fakt, iż w dniu morderstwa rozważał rozwód z żoną i wściekł się,

kiedy zrozumiał, ile by go to kosztowało.

- Kerry, Skip Reardon to typowy *self-made man*. O własnych siłach wyszedł z biedy i zrobił majątek dzięki własnej pracy. Suzanne już go wystarczająco kosztowała. Słyszałaś, jak opowiadał, że cały dzień nic nie robiła, tylko wylegiwała się na kanapie, dla rozrywki kupując najdroższe ciuchy i meble. - Przerwał na chwilę. - Nie, to nie to. Wygadywanie, a prawdziwa złość, to dwie różne rzeczy. Nie morduje się żony ot tak, nawet mając do niej kupę pretensji. Skip mógł zrobić karczemną awanturę, ale nie zabić. Nawet gdyby rozwód kosztował go złote góry, byłby zadowolony, mogąc się wykupić z tego parszywego układu i zacząć życie od początku.

Pojawił się wątek purpurowych róż.

- Święcie wierzę, że to nie Skip je przysłał - powiedział Geoff, wolno pijąc kawę. - Jeśli przyjmujemy takie założenie, na scenie pojawi się trzecia anonimowa osoba.

Geoff zapłacił rachunek. Dalej rozmawiali na temat sprawy. Oboje zgodzili się, że właśnie zeznanie Smitha stało się dla Skipa gwoździem do trumny.

- Pomyśl sama - mówił Geoff - doktor zeznał, że Suzanne bała się ataków zazdrości Skipa. Skoro się aż tak bardzo obawiała, to dlaczego demonstracyjnie układała w wazonie kwiaty, które dostała od innego mężczyzny, jak twierdzi Skip? Czy widzisz w tym jakiś sens?

- To słowa Skipa. Skąd możemy wiedzieć, że mówi prawdę? - argumentowała Kerry.

- Ja mu wierzę - żarliwie przekonywał Geoff. - A poza tym nikt nie potwierdził zeznań doktora Smitha, a przecież Reardonów znało mnóstwo osób. Gdyby Skip rzeczywiście był agresywny w stosunku do żony, ktoś by to przecież zauważył.

- Może i tak. Dlaczego w takim razie obrona nie powołała świadków, którzy zaprzeczyliby, że Skip objawiał chorobliwą zazdrość? Dlaczego było tylko dwóch ekspertów? Nie, Geoff, obawiam się, że twoje rozumowanie nie da się obronić. Przysięgli nie mieli najmniejszego powodu, by wątpić w słowa Smitha. W dodatku to lekarz, a całe społeczeństwo ma zaufanie do lekarzy, mamy to wpojone od dziecka.

W drodze powrotnej milczeli. Geoff odprowadził Kerry do samych drzwi i wyjął klucz z jej dłoni.

- Mama mi zawsze mówiła, że damom należy otwierać drzwi. Mam nadzieję, że nie uznasz tego za molestowanie seksualne?

- Nie. Pewnie dlatego, że też jestem staroświecka. - Kerry spojrzała w górę, na rozgwieżdżone niebo. Nagły podmuch zimnego wiatru przejął ją dreszczem. Geoff zauważył to i szybko otworzył drzwi.

- Trochę za lekko się ubrałaś. Wskakuj szybko do środka.

Sam stał bez ruchu na ganku, najwyraźniej nie licząc na zaproszenie. Na pożegnanie zapytał:

- I co dalej robimy?

- Chciałabym jak najszybciej pogadać ze Smithem. Zobaczymy, na kiedy się ze mną umówi. Ale wolę iść do niego sama.

- Dobrze, będziemy w kontakcie. Zadzwoń za parę dni - Geoff uśmiechnął się i zszedł po schodkach na podjazd. Kerry zamknęła drzwi i weszła do pokoju z kominkiem. Nie od razu zapaliła światło. Chciała dobrze zapamiętać wzruszającą chwilę, kiedy Geoff wziął od niej klucz i otworzył drzwi. Podeszła do okna i obserwowała światła je go samochodu, póki nie zniknął za zakrętem.

Z tatą jest super, myślała Robin, sadowiąc się wygodnie obok Boba na przednim siedzeniu jaguara. Właśnie obejrzeli domek, który Bob Kinellen ewentualnie miał kupić. Robin uważała, że domek też jest super, ale tacie się nie spodobał.

- Marzę o takim, gdzie można do samych drzwi dojechać na nartach od wyciągu - powiedział. - Będę się musiał jeszcze rozejrzeć.

Robin wzięła ze sobą aparat, a jej ojciec cierpliwie czekał, aż wypstryka drugą rolkę filmu. Na szczytach było niewiele śniegu, ale Robin uznała, że światło jest fantastyczne. Ostatnie zdjęcia poświęciła na zachód słońca, a potem wyruszyli w drogę powrotną. Tata obiecał, że zabierze ją na najlepsze krewetki na świecie.

Robin wiedziała, że mama jest na tatę wściekła, bo nie zadzwonił po wypadku. Ale przecież zostawił wiadomość! To prawda, że nie zbyt często widywała ojca, ale kiedy już byli razem, pozwalał jej na wszystko.

Do restauracji dotarli około wpół do siódmej. Rozmawiali o wszystkim, pałaszując krewetki i eskalopki. Robin wymogła na tacie obietnicę, że w tym sezonie wybiorą się razem na narty, tylko we dwójkę.

- Niech sobie mama pochodzi na randki - mrugnął Bob do córki.

- Mama rzadko się z kimś umawia - powiedziała Robin. - Polubiłam nawet takiego jednego faceta, który parę razy przyszedł do nas w lecie, ale mama mówi, że to nudziarz.

- A co robił?

- Chyba był inżynierem, nie wiem dokładnie.

- Mama jest prawnikiem i głównie prawo ją interesuje. Prędzej czy później dogada się z innym prawnikiem.

- Możliwe! Wiesz, przedwczoraj był u nas jeden adwokat - powiedziała Robin. - Całkiem fajny. Ale ja myślę, że to było spotkanie w interesach - dodała z powagą.

- Pamiętasz, jak się nazywał? - Bob Kinellen, który dotąd słuchał Robin jednym uchem, nagle się zainteresował.

- Geoff Dorso. Przyniósł mamie jakieś dokumenty do czytania.

Gdy ojciec nagle zamilkł, Robin wyczuła, że może powiedziała zbyt wiele i teraz tata jest na nią zły.

Gdy wsiedli do samochodu, Robin od razu usnęła i obudziła się dopiero wpół do dziesiątej, gdy samochód zahamował. Była zadowolona, że jest już w domu.

30

Kongres stanu New Jersey przeżywał sądne dni: odbywające się dwa razy w tygodniu publiczne posiedzenia Izby Reprezentantów i Senatu cieszyły się wciąż rosnącą popularnością. Nie bez powodu, bo przecież gubernatorska kampania wyborcza już się rozpoczęła, elektryzując kulisy obydwu izb.

Fakt, że ustępujący gubernator Marshall udzielił swego poparcia prokuratorowi Frankowi Greenowi, nie przypadł do gustu jego partyjnym kontrkandydatom. Jonathan Hoover zdawał sobie sprawę, że najmniejsza skaza na reputacji Greena zostanie bezlitośnie wykorzystana przez konkurentów. Z każdej igły zrobią widły. Wystarczy trochę nagłośnienia w mediach, a nominacja Greena stanie pod znakiem za pytania. Za wcześnie jeszcze mówić o wygranej.

Hoover jako przewodniczący Senatu miał ogromny wpływ na politykę swej partii. Jednym z powodów, dla jakich po raz piąty odbywał czteroletnią kadencję na tym urzędzie, była jego zdolność długofalowe go przewidywania. Wyborcy cenili ten dar. W dniach sesji w Trenton Jonathan zawsze umawiał się na kolacje ze znajomymi. Dziś zaprosił gubernatora.

Po zebraniu Senatu Jonathan wrócił do biura, polecił sekretarce notowanie wiadomości i zasiadł przy biurku z dłońmi splecionymi pod brodą. Grace w takich chwilach mówiła zawsze: „Jonathan się modli”.

Po jakimś czasie wstał i podszedł do okna, żeby popatrzeć na ciemniejące niebo. Właśnie podjął ważną decyzję. Kerry McGrath, grzebiąca się w starej sprawie Reardona, mogła narobić mnóstwo kłopotów. Prasa, radio i telewizja uwielbiają takie historie. I nawet gdyby miało nic z tego nie wyjść, co przewidywał Jonathan, obraz Franka Greena ucierpi, gdy sprawa nabierze rozgłosu. Być może jego kandydatura w ogóle przepadnie.

Oczywiście Kerry może się w porę opamiętać - na co po cichu liczył - i dać sobie spokój, nim sprawa zostanie rozdmuchana. Niemniej jednak jego obowiązkiem było uprzedzić o wszystkim gubernatora i wycofać z konkursu jej kandydaturę na sędziego okręgowego. Jonathan wiedział, jak bardzo gubernator weźmie sobie do serca to, że jedna z najpewniejszych kandydatek zaangażowała się w taką krecią robotę.

31

W poniedziałek rano Kerry znalazła na biurku paczkę. Okazało się, że to cenna porcelanowa figurka Royal Doulton, znana pod nazwą „Jesienny wiatr”. Do przesyłki dołączony był list:

Kochana Pani McGrath,

Nasz dom został sprzedany. Pozbyliśmy się już całego wyposażenia, bo przenosimy się do wujostwa do Pensylwanii.

Mama zawsze miała tę figurkę przy łóżku. Odziedziczyła ją po babci i bardzo lubiła na nią patrzeć.

Tylko dzięki Pani ten facet, co zabił naszą mamę, odsiedzi zasłużoną karę. Jesteśmy bardzo wdzięczni. Chcielibyśmy podarować Pani tę pamiątkę po mamie i w ten sposób podziękować za wszystko.

List podpisali Chris i Ken, nastoletni synowie kobiety zamordowanej przez swego podwładnego. Kerry poczuła łyzy wzruszenia, obracając w dłoniach cenne dzieło sztuki. Wezwała sekretarkę i podyktowała krótką odpowiedź:

Drodzy chłopcy,

Prawo zabrania mi przyjmowania jakichkolwiek prezentów, ale gdyby to było możliwe, pamiątka od Was byłaby dla mnie najcenniejsza na świecie. Chris, Ken, przez pamięć Waszej Mamy zaopiekujcie się figurką w moim imieniu.

Podpisując list, myślała o osieroconych braciach, o ich wzajemnej więzi i uczuciu łączącym ich ze zmarłą matką. Co by było z Robin, gdyby mnie zabrakło? - zastanawiała się, lecz po chwili potrząsnęła głową, odganiając ponure myśli. Czarne scenariusze mogą poczekać; na razie miała do zbadania o wiele bardziej skomplikowany związek między córką a ojcem.

Zadzwoiła do gabinetu doktora Smitha; odezwała się telefonistka z biura usług: „Będzie po jedenastej. Czy mam przekazać wiadomość?”

Około południa Kerry odebrała telefon od pani Carpenter.

- Chciałabym w jak najszybszym terminie umówić się na spotkanie z doktorem Smithem - powiedziała Kerry, dodając: - To bardzo ważne.

- W jakiej sprawie? - spytała pielęgniarka.

- Proszę powiedzieć doktorowi, że w sprawie Suzanne. - Kerry zdecydowała się zagrać w otwarte karty. Musiała odczekać przy telefonie dobre pięć minut, nim usłyszała chłodny, opanowany głos chirurga.

- Czego pani sobie życzy?

- Chciałabym porozmawiać z panem na temat zeznania złożonego na procesie Skipa Reardona, doktorze. Zależy mi na czasie.

Zgodził się na spotkanie w gabinecie o siódmej trzydzieści następnego ranka. Oznaczało to, że będzie musiała się zerwać z łóżka po szóstej i poprosić sąsiadkę o dopilnowanie, by Robin nie zasnęła do szkoły.

Szkoła na szczęście nie stanowiła problemu. Robin co rano chodziła tam razem z dwiema koleżankami z sąsiedztwa, a była już na tyle duża, że sama potrafiła zrobić sobie płatki z mlekiem na śniadanie.

Kerry zadzwoniła teraz do Margaret i zanotowała numer Stuarta Granta.

- Mówiłam mu już, że interesujesz się tym chirurgiem. Stuart mówi, że jego żona całe przedpołudnie będzie w domu - powiedziała przyjaciółka.

Susan Grant podniosła słuchawkę po pierwszym sygnale. Powtórzyła dokładnie to samo, co Kerry usłyszała już wcześniej od Margaret.

- O Boże, do dziś pamiętam, jak mnie wystraszył. Chciałam zrobić sobie mały zabieg koło oczu, ale doktor Smith nalegał na przemodelowanie całej twarzy. I ciągle mówił do mnie „Suzanne”. Czuję, że jeśli się zgodzę, w ogóle nie poznam potem siebie w lustrze.

Przed przerwą obiadową Kerry zadzwoniła do Joego Palumbo z prośbą, by do niej wpadł.

- Mam coś ekstra i potrzebuję twojej pomocy - powiedziała, gdy usadowił się naprzeciw jej

biurka. - Chodzi o sprawę Reardonów.

Joe był zaskoczony, więc Kerry wyjaśniła mu, na jaki wpadła trop w gabinecie doktora Smitha. Z oporami zdradziła mu także, że była w Trenton na widzeniu ze Skipem i, mimo że wszystko dotąd robiła nieoficjalnie i na własną rękę, wyrok budzi jej poważne wątpliwości.

Palumbo zagwizdał cicho.

- Joe, chciałabym, żeby to na razie zostało między nami. Frankowi Greenowi nie podoba się, że grzebię w tej sprawie.

- Ciekawe dlaczego - mruknął Palumbo.

- W dodatku Frank sam mi powiedział parę dni temu, że Smith zachowywał się w sądzie zupełnie bez emocji, jakby to wszystko zupełnie go nie dotyczyło. Dziwne jak na zrozpaczonego ojca, prawda? Doktor Smith zeznał przed ławą przysięgłych, że rozszedł się z żoną, gdy córka była małym dzieckiem, i zezwolił na adoptowanie jej przez ojczyma nazwiskiem Wayne Stevens, mieszkającego w Kalifornii. Suzanne dorastała w jego domu w Oakland. Chciałabym, żebyś mi odszukał faceta. Ciekawa jestem, co powie o Suzanne, jak ją zapamiętał. Ale najbardziej zależy mi na jej zdjęciu z czasów, kiedy była nastolatką.

Kerry wyjęła ze skoroszytu zawierającego zapis procesu kilka stron i pchnęła je przez biurko do Palumbo.

- A tu masz zeznanie opiekunki, która w krytyczny wieczór pilnowała dziecka sąsiadów po drugiej stronie ulicy. Twierdzi, że widziała obcy samochód przed bramą Reardonów około dziewiętej wieczorem. Wciąż mieszka u córki i zięcia w Alpine. Pogadaj z nią, dobrze?

- Oczywiście, Kerry. - Oczy Joego zabłyśły. - Zrobić koło pióra Naszemu Wodzowi to dla mnie prawdziwa przyjemność.

- Daj spokój, Joe, Frank jest w porządku - obruszyła się Kerry. - I nie mam najmniejszego zamiaru „robić mu koło pióra”. Tylko że parę rzeczy w tej sprawie nie jest dla mnie jasnych, a głównie późniejsze postępowanie doktora Smitha i reprodukcje twarzy pacjentek. Jeśli w więzieniu wylądował przypadkiem niewinny człowiek, moim obowiązkiem jest to naprawić. Ale najpierw muszę być tego pewna.

- Rozumiem cię - powiedział Palumbo. - Nie bierz mi za złe tamtych słów. Zasadniczo zgadzam się z tobą, że Green jest w porządku. Nie podoba mi się tylko, że zawsze cudzymi rękami wyjmuję kasztany z ognia.

32

Gdy doktor Smith odłożył słuchawkę po rozmowie z Kerry McGrath, poczuł, że jego prawa ręka coraz bardziej drży. Mimo iż natychmiast objął ją lewą, drżenie nie ustępowało.

Pani Carpenter, przekazując mu w imieniu tej McGrath wiadomość, że chodzi o Suzanne, popatrzyła na niego dziwnym wzrokiem. Imię Suzanne nic pielęgniarce nie mówiło, lecz na pewno zastanawiała się, co też miała znaczyć ta dziwna wiadomość.

Zajrzał do karty Robin Kinellen. Pamiętał, że jej rodzice są rozwiedzeni, lecz nie zadał sobie wcześniej trudu, żeby sprawdzić dane matki. Tymczasem w rubryce „zawód” było napisane, że jest zastępcą prokuratora okręgowego w Bergen. Doktor zastanowił się chwilę... nie, nie pamiętał jej z procesu, to pewne...

Z zamyślenia wyrwało go pukanie do drzwi. To pani Carpenter przypominała, że w gabinecie numer jeden czeka już pacjentka.

- Wiem, wiem - powiedział Smith opryskliwie, wskazując gestem, żeby sobie poszła. Jeszcze raz

zajrzał do karty Robin. Była na badaniach kontrolnych jedenastego i dwudziestego trzeciego. Sprawdził, że jedenastego była umówiona także Barbara Tompkins, a Pamela Worth dwudziestego trzeciego. Co za pech, pomyślał. Kerry McGrath zapewne zauważyła obydwie i ich twarze przypomniały jej Suzanne.

Doktor Smith jeszcze długo siedział w zamyśleniu za swym biurkiem. O co tej kobiecie chodzi? Dlaczego wraca do starej sprawy? Przecież nic się nie zmieniło. Wymowa faktów jest oczywista. Skip Reardon odsiaduje wyrok w pudle i długo jeszcze tam pozostanie. Smith doskonale zdawał sobie sprawę, że Skip znalazł się w więzieniu na skutek jego zeznań. I bardzo dobrze, pomyślał z mściwą goryczą. Dziś, po dziesięciu latach, brzmiałyby tak samo. Nie zmieniłby w nich ani jednego słowa.

33

Jimmy Weeks, ściśnięty jak szynka w kanapce między Robertem Kinellenem i Anthonym Bartlettem, siedział w sali rozpraw okręgowego sądu federalnego i obserwował nie kończący się proces selekcji przysięgłych w swym własnym procesie o fałszowanie zeznań podatkowych.

Po trzech tygodniach strony zaakceptowały wspólnie zaledwie sześciu członków ławy. Kobieta, którą teraz przesłuchiowano, należała do gatunku ludzi, których bał się najbardziej. Nieskazitelnie uczciwa i praworządna podpora społeczeństwa. Po raz enty wybrano ją na przewodniczącą Klubu Kobiet w Westdale; jej mąż pracował w zarządzie jednej z dużych firm inżynieryjnych, a obaj synowie studiowali w Yale.

W miarę kolejnych pytań zachowanie kobiety stawało się coraz bardziej protekcyjne. Stronie oskarżającej na pewno się spodobała. Z jej pogardliwych spojrzeń, rzucanych od czasu do czasu w jego kierunku, łatwo wywnioskował, że uważa go za podłego oszusta, zwyczajne ściervo.

Gdy sędzia skończył zadawać pytania, Jimmy Weeks pochylił się do ucha Roberta i szepnął:

- Akceptujemy ją.

- Oszalałeś? - Bob nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Wiem, co mówię, Bobby. - Jimmy zniżył głos. - Będę ją miał w kieszeni. - Jimmy spojrział w stronę stanowiska obrony, obok którego siedział za stołem niewzruszony jak skała Barney Haskell ze swym prawnikiem. Kinellen zapewniał, że gdyby Haskell złamał układ i zgodził się wystąpić jako świadek obrony, zetrze go na proch.

Może tak, a może nie. Jimmy Weeks nie był tego całkowicie pewien, a dotąd całe swe życie opierał na pewnikach. Teraz wiedział, że jednego z przysięgłych ma po swojej stronie, a licząc z dzisiejszą kandydatką - dwójkę.

Pozostawała do załatwienia sprawa ekszony Kinellena, mieszającej się w starą historię Reardonów. Dla własnego dobra musi zdusić to w zarodku. Oby tylko nic nie dotarło do Haskella, bo spróbuje dogadać się z oskarżycielem za cenę ratowania własnej skóry.

34

Późnym popołudniem w gabinecie Geoffa Dorso zabrzączał interkom i głos sekretarki poinformował szefa o wizycie pani Taylor:

- Uprzedzałam, że prawdopodobnie nie przyjmie jej pan, skoro nie miała wyznaczonego wcześniej terminu. Ona jednak mówi, że to bardzo ważne i że zajmie panu najwyżej pięć minut.

- Oczywiście, że ją przyjmę - powiedział Geoff. Skoro Beth Taylor zdecydowała się przyjść bez

uprzedzenia, sprawa musi być naprawdę pilna.

Oczekiwał jej z przyspieszonym pulsem. Modlił się, żeby nie była zwiastunem złej wiadomości o starej pani Reardon, matce Skipa. Po ogłoszeniu wyroku miała ona atak serca, który powtórzył się po pięciu latach. Wyszła z tego, przysięgając wszem i wobec, że poty nie wybierze się do grobu, póki jej syn będzie cierpiał za nie popełnioną zbrodnię.

Matka codziennie pisała do Skipa optymistyczne, serdeczne liściki, pełne planów na przyszłość. Podczas ostatniego widzenia Geoff wysłuchał fragmentu tej korespondencji: Na porannej mszy przypomniałam Bogu, że wciąż czekamy w kolejce na sprawiedliwość Najwyższego. I wyobraź sobie, mój synu, że usłyszałam w duszy jego głos. Powiedział, że to już niedługo... Po przeczytaniu tego listu Skip zaśmiał się ironicznie: „Wiesz, Geoff, że prawie w to uwierzyłem?”

Gdy Beth pojawiła się w drzwiach, Geoff wyszedł jej naprzeciw i serdecznie ją uściskał. Ilekroć widział tę kobietę, nie mógł się po wstrzymać od irracjonalnego gdybania -jak szczęśliwe życie mógłby mieć Skip Reardon, gdyby nigdy nie spotkał Suzanne i zamiast niej poślubił Beth Taylor.

Beth właśnie dobiegała czterdziestki, podobnie jak Skip. Była dużą, wysoką kobietą o krótkich, kręconych, kasztanowych włosach, ożywionych inteligencją piwnych oczach i miłej, pełnej życzliwości i ciepła twarzy. Piętnaście lat temu zaręczyła się ze Skipem. Była wówczas nauczycielką; od tamtej pory skończyła wyższe studia i teraz pracowała jako konsultantka w szkole średniej, pomagając przyszłym absolwentom w wyborze zawodu.

Na jej twarzy malowało się zakłopotanie. Geoff zaprowadził ją do przytulnego kąta z fotelami i niskim stolikiem.

- Mam świeżo zaparzoną kawę. Napijesz się? - zaproponował.

- Tak, dziękuję. - Uśmiech z jej twarzy zniknął równie szybko, jak się pojawił. Geoff obserwował kobietę niepostrzeżenie, napełniając filiżanki. Była raczej zakłopotana niż załamana. To znaczy, że u pani Reardon wszystko w porządku. Nagle przebiegła mu przez głowę inna myśl - a może Beth zakochała się w kimś i teraz nie wie, jak powiedzieć o tym Skipowi? To mogło się zdarzyć, dlaczego nie, ale dla Skipa byłby to bardzo ciężki cios.

Beth nie zostawiła mu wiele czasu na domysły, od razu przechodząc do rzeczy:

- Geoff, wczoraj wieczorem rozmawiałam ze Skipem przez telefon. Jest w ciężkiej depresji. Bardzo się o niego martwię. Sam wiesz najlepiej, jaki gorący jest w tej chwili temat ograniczenia prawa do powtórnych apelacji. Dotyczy to przede wszystkim skazanych za morderstwo. Skipa trzymała dotąd nadzieja, że któryś z kolejnych wniosków o apelację zostanie rozpatrzony pozytywnie. Dobrze go znam - kiedy zupełnie straci nadzieję, po prostu umrze. Mówił mi o tej kobiecie z prokuratury, która u niego z tobą była. Jest pewien, że mu nie uwierzyła.

- Sądziś, że ma myśli samobójcze? - szybko spytał Geoff. - W tej sprawie możemy zrobić coś konkretnego, na przykład uprzedzić strażników.

- Nie, broń Boże! - zaprotestowała przerażona Beth. - Nie to miałam na myśli. Skip nie popełni samobójstwa, bo wie, że zabiłby w ten sposób matkę. Ja tylko... - bezradnie rozłożyła ręce - ...zastanawiam się, jak i skąd dać mu tę nadzieję, której tak strasznie potrzebuje. Inaczej mówiąc, czy są jakieś racjonalne przesłanki, żeby wznowić proces?

Gdyby przyszła z tym tydzień temu, pomyślał Geoff, musiałbym jej powiedzieć, że wyczerpałem wszystkie możliwości i wykorzystałem każdą najmniejszą szansę. Ale kontakt z Kerry McGrath daje pewną nadzieję.

Spokojnie, bez podniecenia i nadmiernego optymizmu, zrelacjonował Beth odkrycie, jakiego Kerry dokonała w gabinecie doktora Smitha. Twarz Beth pojaśniała. Geoff modlił się w duchu, by ten trop znów nie zaprowadził Skipa i jego ukochanej na manowce.

- Więc Kerry McGrath jest zainteresowana i bada tę sprawę? - Oczy Beth wypełniły się łzami.

- Oczywiście, Beth. To niezwykła... niezwykle uparta osoba. - Mówiąc te słowa Geoff przywołał w myśli obraz Kerry; niecierpliwy gest, jakim odrzucała z czoła pasmo jasnych włosów, zmarszczkę między brwiami, gdy się nad czymś zastanawiała, mgłę melancholii w oczach, kiedy wspominała ojca, silne, choć szczupłe ciało, zakłopotany uśmiech, kiedy padało nazwisko Boba Kinellena, i rozjaśnioną dumą twarz, gdy opowiadała o córce.

Wciąż miał w uszach jej niski głos, prawie szept, a w oczach zawstydzony, pensjonarski uśmiech, jakim zareagowała na otwarcie dla niej drzwi. Było jasne, że od przedwczesnej śmierci ojca nikt się tak naprawdę nie opiekował tą dziewczyną.

- Geoff, czy gdybyśmy spróbowali jeszcze jednej apelacji, znów powinniśmy przemilczeć mój związek ze Skipem?

Pytanie przywróciło go do rzeczywistości. Beth poruszyła ten aspekt sprawy, o którym dotąd nie powiedziano w sądzie ani słowa. Na krótko przed śmiercią Suzanne Skip i Beth znów zaczęli się spotykać. Przypadkiem wpadli na siebie na ulicy i Skip zaprosił Beth na lunch. Przegadali wiele godzin. Podczas tej rozmowy Skip wyznał swej dawnej dziewczynie, jak źle układa mu się w małżeństwie i że nie może odżałować, iż porzucił ją dla Suzanne. „Głupio postąpiłem - po wiedział - ale zamierzam z tym skończyć. Od czterech lat gram rolę męża Suzanne, z czego przez ostatnie trzy wciąż się zastanawiam, dla czego jestem z nią, a nie z tobą”.

Tej nocy, kiedy zginęła Suzanne, Skip i Beth byli umówieni na kolację. W ostatniej chwili ona zmuszona była odwołać spotkanie, co spowodowało, że Skip wrócił do domu i zastał żonę układającą w wazonie róże.

Przed procesem Geoff zgodził się z sugestią głównego adwokata, Tima Farrella, że powołanie Beth na świadka byłoby ryzykowne. Oskarżenie na pewno podchwyciłoby ten fakt, ukazując Skipa w nie dobrym świetle. Oprócz tego, że rozwścieczyła go wiadomość o kosztach rozwodu, miał całkiem realny powód, żeby pozbyć się żony na dobre.

Z drugiej strony jednak zeznanie Beth mogło podważyć stwierdzenie doktora Smitha, że Skip był chorobliwie zazdrosny o Suzanne.

Póki Kerry nie opowiedziała Geoff owi o tym, co zauważyła w gabinecie doktora, adwokat był pewien, że podjęli wówczas trafną decyzję. Teraz jednak wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Popatrzył w oczy Beth.

- Nie wspominałem dotąd Kerry o twoim istnieniu, ale teraz uważam, że powinniście się spotkać i pogadać. Jeśli chcemy, by następna apelacja była coś warta, musimy wyłożyć wszystkie karty na stół.

Wychodząc z domu na spotkanie z doktorem Smithem, Kerry usiłowała dobudzić śpiącą Robin mimo jej protestów i zakopywania się pod kołdrą.

- Wstawaj, Robin - nalegała. - Wykaż się chociaż raz dorosłością, skoro masz pretensje, że traktuję cię jak dziecko.

- Bo traktujesz - wymamrotała dziewczynka.

- Więc dziś masz szansę to zmienić. Wstań i ubierz się, bo inaczej znowu zaśniesz. Pani Weiser zadzwoni na wszelki wypadek o siódmej. Zostawiłam ci na stole płatki i sok. Pamiętaj, żeby wychodząc do szkoły dobrze zamknąć drzwi.

Robin ziewnęła i zacisnęła powieki.

- Robin, błagam cię.

- Dobra. - Robin z westchnieniem rezygnacji wysunęła obie nogi spod kołdry. Przetarła oczy i odgarnęła rozczochrane włosy z twarzy. Kerry pogłaskała ją po głowie.

- Mogę ci zaufać?

- Mhm. - Mruknięciu towarzyszył senny uśmiech.

- No to świetnie. - Kerry ucałowała Robin w czubek głowy. - Wszystko ma być tak jak zwykle. Nastawię alarm. Nie otwieraj nikomu. Wyłącz go na chwilę, jak będziesz wychodzić, a potem znowu włącz. Niech cię nikt nie podwozi, chyba że któreś z rodziców Cassie albo Courtney.

- Wiem, mam, wiem - jęknęła Robin z teatralnym gestem rozpacz.

Kerry zrobiła śmieszny grymas.

- Ja też wiem, że w kółko powtarzam ci jedno i to samo. Zobaczymy się wieczorem. Alison przyjdzie o trzeciej.

Alison była studentką, która pilnowała Robin, kiedy Kerry nie było w domu. Kerry zastanawiała się nawet, czy nie zamówić jej na rano, zanim mała wyjdzie do szkoły, ale ugięła się w obliczu żywiołowego protestu Robin.

- Cześć, mam!

Robin nasłuchiwała cichnących na schodach kroków matki, a potem podbiegła do okna, by obserwować jej odjazd.

W pokoju było chłodno. Do siódmej, kiedy zwykle wstawiała, zrobi się ciepło i przytulnie. Robin pomyślała, jak dobrze byłoby na chwilę z powrotem wskoczyć do łóżka. Tylko na minutkę.

Punkt siódma, po sześciu dzwonek, podniosła wreszcie słuchawkę.

- Bardzo dziękuję, pani Weiser, oczywiście, że wstałam.

Przecież wstałam, pomyślała, wyskakując w pośpiechu z łóżka.

Mimo wczesnej pory po drodze na Manhattan tworzyły się miejsca mi korki. Jazda spod miasta do śródmieścia, na Fifth Avenue, gdzie mieścił się gabinet doktora Smitha, zabrała Kerry pełną godzinę. Spóźniła się o trzy minuty.

Otworzył jej osobiście. Formalna uprzejmość, jaką okazywał pod czas obu wizyt kontrolnych z Robin, zniknęła bez śladu. Nie powiedział nawet „dzień dobry”.

- Mogę poświęcić pani dwadzieścia minut i ani chwili dłużej - oświadczył, wskazując drogę do swego prywatnego gabinetu.

No i dobrze, pomyślała Kerry, przynajmniej wiem, w co gramy. Usiadła *vis a vis* biurka Smitha i wypaliła bez ogródek:

- Panie doktorze, tu, w poczekalni, zobaczyłam aż dwie kobiety do złudzenia podobne do pańskiej zamordowanej córki Suzanne. Obudziło to moją ciekawość, więc w ubiegłym tygodniu zapoznałam się ze stenogramem procesu Skipa Reardona.

Nie uszedł jej uwagi grymas nienawiści, który przemknął po twarzy Smitha na dźwięk tego nazwiska. Oczy mu się zwężiły, usta zacisnęły w twardą kreskę, brwi najeżyły, a na policzkach pojawiły się dwie głębokie pionowe bruzdy. Kerry spojrzała chirurgowi prosto w oczy.

- Proszę mi wierzyć, doktorze, że bardzo współczuję panu po stracie córki. Oboje jesteśmy rozwiedzionymi rodzicami. Oboje mieliśmy w życiu tylko jedno dziecko, właśnie córkę. Pamiętam, jak po telefonie umierałam z obawy, że mojej Robin stało się coś złego. Mogę sobie tylko wyobrazić, co pan czuł po śmierci Suzanne.

Patrzył na nią bez słowa, siedząc ze splecionymi dłońmi. Miała wrażenie, że dzieli ich niewidzialna emocjonalna bariera nie do przebycia. Jeśli intuicja jej nie zawodziła, dalszy tok rozmowy był do przewidzenia. Po wysłuchaniu, co Kerry ma do powiedzenia, Smith potwierdził zdawkowo, że także zna ból straty i rodzicielską miłość, po czym odprowadzi ją do drzwi. Jak zatem przełamać tę barierę? Postanowiła pójść na całość.

- Doktorze Smith, to właśnie pańskie zeznanie pogrążyło Skipa Reardona i zagwarantowało mu wysoki wyrok. Powiedział pan w sądzie, że Skip był nieprzytomnie zazdrosnym mężem i że pańska córka żyła w strachu. On natomiast przysięga, że nigdy nie groził Suzanne.

- Wobec tego kłamie. - Głos doktora był zupełnie beznamiętny. - Ten człowiek był naprawdę zazdrosny. Sama pani powiedziała, że Suzanne była moim jedynym dzieckiem. Moim dzieckiem. Łożyłem na jej utrzymanie. Odniosłem sukces zawodowy i w dojrzałym życiu mogłem jej ofiarować to wszystko, czego nie miała jako dziecko. Dlatego z autentyczną przyjemnością obdarowywałem ją prawdziwą biżuterią. Ale Reardon, mimo moich zapewnień, nie chciał w to uwierzyć. Wciąż ją oskarżał, że spotyka się z innymi mężczyznami.

Czyżby właśnie to robiła? - zastanowiła się Kerry, nim zadała kolejne pytanie.

- Dlaczego zatem Suzanne, obawiając się o swe życie, nie rozstała się ze Skipem Reardonem?

Refleksy pierwszych porannych promieni słońca odbijały się w szklach Smitha, tak że Kerry nie mogła widzieć wyrazu oczu doktora. Czyżby były równie zimne i obojętne jak jego głos?

- Suzanne, inaczej niż jej matka, wierzyła, że małżeństwo to prawdziwe partnerstwo. Pech chciał, że zakochała się w Reardonie. Śmiertelny pech. A jeszcze większym pechem było to, że nie

traktowała jego gróźb poważnie.

Kerry czuła, że ta rozmowa zmierza donikąd. Przyszła pora na pytanie, które drażyło ją od dawna, choć nie mogła przewidzieć, jakie będą jego skutki.

- Proszę mi powiedzieć, doktorze, czy kiedykolwiek robił pan córce operacje plastyczne?

Zareagował oburzeniem.

- Pani McGrath, należę do starej szkoły, wyznajęcej zasadę, że chirurg nie powinien operować nikogo z własnej rodziny, z wyjątkiem sytuacji zagrożenia życia. To pytanie mnie obraża. Suzanne urodziła się piękna.

- Upodobnił pan do niej co najmniej dwie ze swoich pacjentek. Dlaczego?

- Odpowiem pani - powiedział Smith, ostentacyjnie spoglądając na zegarek - ale to będzie koniec naszej rozmowy. Nie wiem, w jakiej mierze jest pani zorientowana w problematyce chirurgii plastycznej. Pięćdziesiąt lat temu zawód ten był jeszcze w powijakach. Po korekturach nosa pacjenci mieli stale podrażnione nozdrza. Operacje niemowląt i dzieci, na przykład z zajęczą wargą, były niezwykle bolesne. Dziś chirurgia poczyniła ogromne postępy, a rezultaty są doskonałe. W krótkim czasie przeszliśmy bardzo długą drogę. Teraz służymy nie tylko gwiazdom filmowym, ale i zwykłym szarym ludziom. Każdemu, kto tego potrzebuje czy pragnie. - Zdjął na chwilę okulary i potarł czoło, jakby go nagle rozboleła głowa. - Rodzice przyprowadza ją na zabiegi młodych ludzi, dziewczyny i chłopaków, którzy nie potrafią pogodzić się ze swoim wyglądem. Wczoraj operowałem piętnastolatka, któremu uszy odstawały tak bardzo, że wszyscy zwracali na nie uwagę. Gdy zdejmemy opatrunek, ujawnią się wreszcie całkiem przyjemne rysy tego chłopca. I problem zniknie. Operuję kobiety, które były w młodości piękne, a teraz widzą w lustrze jedynie zmarszczki i worki pod oczami. Podciągam im skórę na czole, ukrywając bliznę pod linią włosów, i wygładzam policzki, wycinając zbędną skórę za uszami. Nadaję im nie tylko o dwadzieścia lat młodszy wygląd, ale też przywracam utraconą pewność siebie, silniejszą osobowość - zapalał się do własnego wykładu. - Mógłbym pokazać pani zdjęcia licznych ofiar wypadków - przed i po operacji. Pomogłem wielu ludziom. Spytała pani, czemu niektóre z pacjentek przypominają moją córkę. Powiem pani. W ciągu ostatnich dziesięciu lat przyszło do mnie kilka nieszczęśliwych szarych myszek, a ja byłem w stanie obdarzyć je wybitną urodą.

Kerry czuła, że niebawem Smith skończy wyjaśnienia i pożegnają. Uprzedziła go.

- Wobec tego czemu kilka lat temu powiedział pan swojej niedoszłej pacjentce, Susan Grant, że piękność może stać się przekleństwem, bo wywołuje zazdrość i agresję? Czy nie miał pan przypadkiem na myśli Suzanne? Czy zaprzeczy pan, że Skip Reardon mógł mieć poważne powody do zazdrości? Być może istotnie obdarzał pan córkę biżuterią, na którą jej męża nie było stać, ale kto wobec tego przysłał jej w dniu śmierci róże, skoro Skip zeznał pod przysięgą, że nie on?

- Pani McGrath, uprawia pani swój zawód wystarczająco długo, aby wiedzieć, że mordercy przed sądem zawsze udają niewiniątka - odparł Smith, wstając. - A teraz żegnam.

Kerry nie mogła już nic zrobić. Posłusznie ruszyła do drzwi. Idąc za Smithem, zauważyła, że doktor jakoś dziwnie trzyma prawą rękę, sztywno przyciśniętą do boku. Czyżby ukrywał drżenie dłoni? Tak. Przy drzwiach powiedział jeszcze:

- Zdaje sobie pani chyba sprawę, że samo nazwisko Reardona przyprawia mnie o mdłości. Proszę zadzwonić do pani Carpenter - niech prześle kartę Robin do innego lekarza. Nie chcę mieć już z panią ani pani córką nic wspólnego.

Stał tak blisko, że Kerry mimowolnie cofnęła się o krok. Przestraszyła się tego człowieka. Jego oczy, płonące gniewem i nienawiścią, przewiercały ją na wylot. Gdyby miał pistolet, pewnie by go użył, po myślała.

Robin zamknęła drzwi i właśnie schodziła z ganku, gdy dostrzegła niewielki ciemny samochód, parkujący po drugiej stronie ulicy. Obce auta nieczęsto tu widywano, zwłaszcza o tej porze, więc ten ją zaintrygował.

Było chłodno. Wsunęła książki pod pachę i zaciągnęła suwak aż po szyję. Przyśpieszyła kroku. Na rogu zwykle czekały Cassie i Courtney. Dziś była o kilka minut spóźniona.

Na ulicy panował spokój. Teraz, kiedy wszystkie liście już opadły, nagie drzewa wyglądały ponuro i obco. Robin pożałowała, że nie wzięła rękawiczek.

Idąc chodnikiem, obejrzała się na obcy samochód. Okno od strony kierowcy zaczęło się opuszczać; lecz nie otworzyło się do końca. Wpatrywała się w szybę, usiłując rozpoznać siedzącego w aucie człowieka, ale akurat wyjrzało słońce i jego odbicie oślepiło ją. Nagle z okna wysunęła się w jej stronę trzymająca coś ręka. Przestraszona Robin zaczęła biec przed siebie. Samochód ruszył za nią z rykiem silnika. Gdy już jej się zdawało, że w nią uderzy, zrobił gwałtowny zakręt i znikł w głębi ulicy.

Robin z płaczem rzuciła się na przełaj przez trawnik i nacisnęła dzwonek do drzwi sąsiadów.

38

Joe Palumbo skończył swoje zadanie w Cresskill i stwierdził, że jest dopiero wpół do dziesiątej. Był zaledwie o parę minut drogi od Alpine, postanowił więc skorzystać z okazji i odwiedzić Dolly Bowles, opiekunkę, która zeznawała w sprawie Reardona. Na szczęście miał w notatniku jej numer telefonu.

Gdy zadzwonił i przedstawił jej się jako agent dochodzeniowy prokuratury okręgowej w Bergen, Dolly zareagowała dość nieufnie. Kiedy jednak wyjaśnił, że to Kerry McGrath, pełniąca funkcję zastępcy prokuratora, jest zainteresowana jej zeznaniami, lody zostały przełamane. Dolly powiedziała, że zna panią McGrath z prasy, z niedawnego procesu mężczyzny, który zamordował swoją szefową, i że bardzo się cieszy, iż sprawiedliwość zwyciężyła. Opowiedziała Joemu straszną historię z dzieciństwa, kiedy to wraz z matką zostały skrepowane i okradzione we własnym domu przez bandytę.

- Cieszę się, że to właśnie pan i pani McGrath chcecie ze mną rozmawiać o tamtej nocy.

- No cóż - powiedział Joe - na razie sam chętnie z panią pogadam. Kerry prawdopodobnie zgłosi się później.

Nie odpowiedziała od razu. Palumbo nie mógł wiedzieć, że Dolly znów ujrzała w wyobraźni drwiącą minę przesłuchującego ją Franka Greena.

- Wolę jednak - powiedziała z godnością - aby pani Kerry McGrath porozmawiała ze mną osobiście. Poczekam, aż znajdzie czas.

39

Kerry dotarła do sądu za kwadrans dziesiąta, znacznie później niż zwykle. Przewidując, że może mieć z tego powodu nieprzyjemności, zadzwoniła do biura i uprzedziła, że musi załatwić sprawy służbowe na mieście. Frank Green co dzień punktualnie od siódmej siedział za swym biurkiem.

Wszyscy z tego pokpiwali, ale on najwyraźniej był przekonany, że cała załoga musi mu towarzyszyć na pokładzie. Kerry zdawała sobie sprawę, że gdyby dowiedział się, jakie to „sprawy służbowe” zatrzymały ją dziś rano, nie miałyby lekkiego życia.

Gdy naciskała kod cyfrowy przy drzwiach, recepcjonistka uprzedziła:

- Kerry, szef cię oczekuje.

A niech to szlag, pomyślała Kerry.

Wchodząc do jego biura, od razu wyczuła, że wcale nie jest zły. Znała Franka Greena od tylu lat, że jego nastroje nie były dla niej żadną tajemnicą. Jak zwykle, zaczął prosto z mostu.

- Kerry, z Robin wszystko w porządku. Jest teraz u pani Weiser. Naprawdę, nic jej się nie stało.

- A co mogłoby się stać? - wykrztusiła Kerry przez ściśnięte gardło.

- Właściwie to nie bardzo wiadomo. Robin mówiła, że wyjechałaś z domu wpół do siódmej. -

Przy tych słowach w oczach Greena zabłysła iskierka ciekawości.

- Zgadza, się.

- Kiedy Robin wychodziła do szkoły, zauważyła po drugiej stronie ulicy jakiś obcy samochód.

Gdy weszła na chodnik, szyba od strony kierowcy lekko się uchyliła i wyciągnęła się ręka z jakimś przedmiotem. Robin nie rozpoznała, co to było i nie dojrzała twarzy kierowcy. Samochód nagle ruszył ostro w jej kierunku. Myślała, że ją potrąci, ale zakreślił nagle i odjechał w drugą stronę.

Robin pobiegła do sąsiadów.

- I jest tam teraz? - Kerry opadła na krzesło.

- Tak. Możesz do niej zadzwonić albo nawet pojechać, jeśli to konieczne. Zastanawiam się, czy to wybujała wyobraźnia Robin, czy ktoś naprawdę próbował ją nastraszyć. A właściwie to ciebie.

- Nie rozumiem dlaczego?

- Bywały już takie wypadki, zwłaszcza po głośnych sprawach. A ty właśnie wygrałaś proces, o którym się publicznie mówiło. Facet, którego skazali, to element, ma krewnych i znajomych, a dobrze wiesz, jaka solidarność panuje w tym środowisku.

- Odniosłam wrażenie, że jego rodzina to przyzwoici ludzie - powiedziała Kerry. - A co do twojej pierwszej hipotezy, to zapewniam cię, że Robin nie fantazjuje. Nie mogłaby zmyślić niczego podobnego. - Zawahała się. - Chociaż... pierwszy raz wyprawiłam ją samą do szkoły, a przed wyjściem sto razy kładłam jej w uszy, co ma robić, a czego się wystrzeżać.

- Zadzwon z mojego aparatu - zaproponował Green. Robin podniosła słuchawkę już po pierwszym dzwonku.

- Wiedziałam, mam, że to ty dzwonicz. Już jest fajnie. Chciałabym iść do szkoły. Pani Weiser mnie odwiedzi. I pamiętaj, że dzisiaj wieczorem idziemy na Halloween.

Kerry podjęła błyskawiczną decyzję. Oczywiście, lepiej, żeby Robin poszła do szkoły, niż żeby siedziała i rozpamiętywała w kółko tę historię.

- Zgoda, ale odbiorę cię za piętnaście trzecia. Nie wracaj sama. A teraz daj mi panią Weiser, Rob - powiedziała Kerry. Odkładając słuchawkę spytała: - Nie masz nic przeciwko temu, Frank, że wyjdę dziś wcześniej z biura?

- Jasne, że nie, Kerry. - Jego uśmiech był szczery. - Nie muszę cię chyba upominać, żebyś domowe przesłuchanie przeprowadziła delikatnie. Musimy się dowiedzieć, czy naprawdę ktoś się na nią zaczął. I jeszcze coś: czy nie wydaje ci się, że Robin jest trochę za mała na taką samodzielność?

- Tak, masz rację. To się już nie powtórzy - odparła Kerry, dobrze wiedząc, czemu miało służyć ostatnie pytanie. Frank był ciekaw, co aż tak ważnego kazało jej zostawić dziewczynkę samą w domu.

Nieco później tego samego dnia wpadł do Kerry Joe Palumbo i opowiedział o rozmowie z Dolly Bowles.

- Nie chciała się ze mną rozmawiać. Powiedziała, że chce się widzieć tylko z tobą.

- Dobrze, wobec tego zaraz się z nią umówię.

Po kilku słowach Kerry po drugiej stronie linii nastąpił dziesięciminutowy monolog.

Palumbo założył nogę na nogę i z rozbawieniem obserwował jej bezskuteczne wysiłki, by wtrącić choćby jedno zdanie. Zirykowało go jednak, gdy na propozycję, że Kerry przyjedzie wraz z agentem Palumbo, najwyraźniej padła odpowiedź „nie”. W końcu Kerry odłożyła słuchawkę.

- Dolly Bowles ma uraz od czasu tamtego procesu i źle reaguje na ludzi z biura prokuratora. Taka była główna myśl tego, co mówiła. A potem zaczęła mi klarować, że córka i zięć zabronili jej komukolwiek opowiadać o tym, co widziała dziesięć lat temu, ale teraz ich nie ma, wracają dopiero jutro. Jeśli więc chcę się z nią widzieć, to mam ostatnią szansę dziś koło piątej, co mnie zmusza do nie lada gimnastyki. Obiecałam, że jeszcze to potwierdzę.

- Uda ci się stąd urwać?

- Byłam umówiona na kilka spotkań, ale postaram się wszystko odwołać. - Kerry opowiedziała jeszcze Joemu, co rano przydarzyło się Robin.

Palumbo wstał, próbując zapiąć marynarkę, choć przy jego obwodzie w pasie był to daremny wysiłek.

- Przyjadę do ciebie o piątej. Ty pojedziesz do pani Bowles, a ja zaproszę Robin na hamburgera i pogadamy sobie spokojnie. - Widząc grymas na twarzy Kerry, dodał: - Słuchaj, wiem, że jesteś bystra, ale w tym, co dotyczy Robin, nie umiesz być obiektywna. A co do rozmów ze świadkami, to nie próbuj uczyć ojca dzieci robić.

Kerry wpatrzyła się w Joego. Jak zwykle był ubrany nieporządnie, a na jego biurku panował bałagan, ale musiała przyznać, że w swojej robocie jest bezbłędny. Sama była świadkiem, jak wypytywał małe dzieci tak skutecznie, że żadne się nie spostrzegło, iż ta rozmowa to w istocie śledztwo. Nie mogła lepiej trafić.

- W porządku - zgodziła się.

40

We wtorek po południu Jason Arnott jechał z Alpine do ukrytej za wzgórzami posiadłości w okolicy Ellenville w Catskills, gdzie gromadził swe bezcenne skarby.

Kupno tego domu było kolejnym objawem nie kontrolowanego od ruchu, który kazał mu kraść piękne przedmioty, ujrzone w znajomych domach. Wszystko to robił z umiłowania piękna. Kochał je w każdej postaci, uwielbiał patrzeć na piękne przedmioty i dotykać ich. Czasem potrzeba wzięcia czegoś do ręki, pogłaskania, była wręcz przejmująca i nie do opanowania. Był to rodzaj szczególnego daru, mającego swoje dobre i złe strony. Jasno czuł, że pewnego dnia napyta sobie biedy. O mały włos, a raz już by wpadł. Irytowało go, gdy goście podziwiali głośno dywany, meble, obrazy i rzeźby w jego oficjalnym domu w Alpine. Uśmiechał się sam do siebie, wyobrażając sobie ich reakcję, gdy by wyznał szczerze: „Moim zdaniem, ten dom to nędzna graciarnia”.

Ale to, oczywiście, nigdy się nie zdarzy, podobnie jak Jason nigdy nie pokaże nikomu swoich prywatnych zbiorów. Są jego, i tylko jego. I tak powinno pozostać.

Dziś Halloween, przypomniał sobie, skręcając w drogę nr 17. Cieszył się, że uciekł z Alpine. Nie miał najmniejszej ochoty, by nękały go poprzebierane dzieciaki, co chwila naciskając dzwonek. Potrzebował odpoczynku.

Podczas weekendu wybrał się do Bethesdy w Maryland. Zamieszkał w miejscowym hotelu. Dokonał rabunku w niedalekim Chevy Chase, bogatym domu, gdzie kilka miesięcy wcześniej gościł na przyjęciu. Gospodyni, Myra Hamilton, informowała wszystkich i każdego z osobna, że na dwudziestego ósmego października szykuje ślub syna w Chicago i z tej okazji cała rodzina wyjedzie do miasta.

Rezydencja Hamiltonów nie była przesadnie duża, ale gustownie urządzona, gdyż właściciele od lat kolekcjonowali dzieła sztuki. Jasonowi aż ślinka leciała na wspomnienie szafirowoblękitnej pieczętki do listów roboty Fabergego, z uchwytem w kształcie złotego jaja. Ten przedmiot oraz mały kobierzec z Aubusson, ozdobiony motywem różanym, który wisiał u Hamiltonów na ścianie, wzbudziły jego największe pożądanie.

Teraz oba przedmioty, bezpieczne w bagażniku samochodu Jasona, zmierzały do miejsca swego przeznaczenia. Jason wzdrygnął się mimowolnie. Dziwne, ale dziś nie czuł radosnego podniecenia i tryumfu, jak to zwykle bywało, gdy osiągał upragniony cel. Męczyło go mętne, nieokreślone przeczucie, że coś mu grozi. Zaczął krok po kroku powtarzać w myślach swe poczynania.

Z alarmem poradził sobie bardzo łatwo. Tak jak się spodziewał, w domu nie było żywej duszy. Z początku miał ochotę skorzystać z okazji i pomyszkować, szukając innych cennych łupów, lecz powstrzymał się. Postanowił zastosować opracowany wcześniej plan i zabrać tylko te przedmioty, które upatrzył sobie na przyjęciu.

Ledwie skręcił w drogę 240, minęły go na pełnym gazie dwa auta policyjne z włączonymi syrenami i kogutami na dachu, wjeżdżając w drogę, z której przed chwilą wyjechał. Niewątpliwie pędziły do Hamiltonów. Czyżby mieli jakieś dodatkowe zabezpieczenie? Z pewnością. Musiał to być system niezależny od głównego alarmu.

Zastanawiał się, na czym ten system może polegać. Kamery? Przy dzisiejszej technice łatwo je ukryć. Jason miał wprawdzie na głowie pończochę, jak zawsze w domach, które zaszczycił swoim zainteresowaniem, ale w pewnej chwili zrobił głupstwo i zdjął ją, by przyjrzeć się z bliska małej rzeźbie z brązu. Figurka okazała się zresztą bezwartościową podróbką.

Istnieje jedna szansa na milion, że kamera zarejestrowała moją twarz, uspokajał się w myślach. Postanowił zlekceważyć złe przeczucia i dalej robić swoje, najwyżej jakiś czas odczekać.

Popołudniowe słońce już prawie schowało się za górami, gdy wjechał na podjazd. W końcu poczuł znajome uczucie przyjemnego podniecenia. Najbliżsi sąsiedzi mieszkali wiele mil stąd, a sprzątaczką była tu wczoraj. Maddie - tęga, solidna, pozbawiona wyobraźni i nie zadająca żadnych pytań prosta kobieta - pracowała rzetelnie. Wszystko na pewno aż lśni czystością.

Maddie nie odróżniłaby wprawdzie prawdziwego aubussona od dywanika za dziesięć dolarów z wyprzedaży, należała jednak do tej rzadkiej rasy ludzi, którzy czerpią prawdziwą satysfakcję ze swej pracy i - czymkolwiek się zajmują - zawsze dążą do doskonałości. W ciągu dziesięciu lat pracy u Jasona może raz zdarzyło jej się wyszczerbić filiżankę.

Jason uśmiechnął się na myśl o reakcji Maddie, gdy zobaczy dywan z Aubusson na ścianie holu i pieczęć Fabergego w jego sypialni. „Jeszcze mu mało tych gratów do odkurzania” - pomyśli ta prostoduszna istota i zabierze się metodycznie do porządków.

Zaparkował przy bocznym wejściu i niecierpliwie otworzył drzwi, jak zawsze wzruszony w oczekiwaniu na widok swoich skarbów. Sięgnął do kontaktu. Widok tak wielu wspaniałych dzieł sprawił mu niemal fizyczną przyjemność. W kilka minut później, gdy jego podróżny sakwojaż, niewielki pakunek z zakupami z delikatesów oraz nowe zdobycze bezpiecznie znalazły się w środku, Jason zamknął drzwi i zabezpieczył zamek. Wieczór się rozpoczął.

Najpierw gospodarz wszedł po schodach na górę i położył pieczęć na antycznej toalecie. Potem

przez długą chwilę ją podziwiał, a następnie nachylił się, by porównać to cudo z miniaturową ramką, która stała przy jego łóżku od dziesięciu lat.

Ramka była namacalnym dowodem, że czasami dawał się zwieść. Całkiem przyzwoita kopia Fabergego, ale oczywiście nie autentyk. Teraz, przy zestawieniu obu przedmiotów, było to widać jak na dłoni. Jej błękitna emalia w porównaniu z głębią barwy szafirowej pieczęci wydawała się mętna. Złota bordiura wysadzana perełkami też nie miała cech autentycznego warsztatu carskiego złotnika. Ale z ramki uśmiechała się do niego twarz Suzanne.

Jason nie lubił wracać myślami do tamtej nocy - taki szmat czasu, blisko jedenaście lat temu! Dostał się do środka przez otwarte okno saloniku w apartamentach Reardona. Wiedział, że dom powinien być pusty. Rano Suzanne sama powiedziała mu, że jest umówiona na kolację w mieście, a Skip też miał wrócić późno. Jason znał kod systemu alarmowego, ale gdy zbliżył się do domu, zobaczył szeroko otwarte okno. W ciemności wszedł po schodach na piętro. W sypialni zauważył znaną mu już wcześniej miniaturową ramkę. Stała na szafce nocnej. Z odległości paru kroków wyglądała na autentyk. Jason właśnie zaczął się jej uważniej przyglądać, gdy usłyszał podniesiony głos Suzanne. W panice wsunął ramkę do kieszeni i ukrył się w szafie.

Teraz znów spojrzał na ramkę. Przez te wszystkie lata nieraz zastanawiał się, jaki to perwersyjny odruch każe mu trzymać w ramce fotografię Suzanne zamiast ją usunąć lub w ogóle wyrzucić bibelot. Przecież to tylko kopia.

Teraz jednak, wpatrując się w ramkę i zdjęcie, zrozumiał wreszcie, dlaczego nigdy tego nie zrobił. To zdjęcie pomagało mu utrzymywać zaledwie na skraju pamięci wspomnienie, jak ohydnie wykrzywione i zdeformowane były rysy Suzanne, gdy uciekając, mijał jej zwłoki.

41

- No, nareszcie jest po wszystkim. Mamy przysięgłych i powinniśmy być z nich zadowoleni - powiedział Bob Kinellen do swego klienta z entuzjazmem, którego w głębi duszy wcale nie odczuwał. Jimmy Weeks spojrzał na niego z kwaśną miną.

- A moim zdaniem, Bobby, ława jest beznadziejna, z paroma zaledwie wyjątkami.

- Miej do mnie zaufanie.

- Bob ma rację. Zaufaj mu - poparł zięcia Anthony Bartlett, a jego wzrok powędrował na drugi koniec stołu obrony, gdzie siedział ponuro zapatrzony w przestrzeń Barney Haskell, podpierając brodę rękami. Bob też na niego spojrzał. Dla teścia treść jego rozumowania była oczywista: Haskell jest cukrzykiem. Nie zaryzykuje odsiadywania wyroku. Dużo wie: zna fakty i cyfry... ostro będziemy musieli się napracować, żeby wszystko zamącić. No i wiedział o Suzanne...

Proces miał się rozpocząć następnego dnia rano. Jimmy Weeks po opuszczeniu gmachu sądu nie powiedział nawet do widzenia, tylko podszedł prosto do swego auta. Szofer otworzył mu tylne drzwi i od jechali.

Kinellen i Bartlett patrzyli za nimi.

- Wracam do biura - oznajmił Bob teściowi. - Mam jeszcze kupę roboty.

- Wiem - chłodnym tonem przytaknął Bartlett. - Zobaczymy się jutro, Bob.

Pewno, że się zobaczymy, myślał Kinellen w drodze na podziemny parking. Dystansujesz się, żebym za ciebie powyciągał kasztany z ognia. I jeśli ktoś ma się poparzyć, to ja, a nie ty.

Wiedział, że Bartlett zdołał zgromadzić milionowe zaskórniaki. Nawet gdyby Weeks został skazany, a kancelaria zbankrutowała, po starszym partnerze Boba spłynie to jak woda po gęsi. Prawdopodobnie będzie spędzał więcej czasu z żoną w Palm Beach.

A ja ryzykuję wszystko, myślał Kinellen, podając bilet garażowemu. Cała moja kariera wisi na włosku. Ciekawe, z jakiego powodu Jimmy tak bardzo nalegał, żeby zostawić w ławie tę Wagner? Co on knuje?

42

Geoffowi udało się dodzwonić do Kerry na chwilę przed jej wyjściem z biura. Powiedziała mu szybko, że rozmawiała z doktorem Smithem i o piątej jest umówiona z Dolly Bowles, ale teraz nie ma czasu na dłuższą rozmowę, bo śpieszy się po Robin do szkoły.

- Kerry, jestem strasznie ciekaw, co wynikło z tej rozmowy ze Smithem i co powie ci pani Bowles. Zjesz ze mną kolację?
- Wolałabym dziś zostać w domu, ale jeśli nie masz nic przeciw sałacie i spaghetti, to...
- Zapomniałaś, że jestem Włochem?
- To co, o wpół do ósmej?
- Umowa stoi.

Gdy Kerry odebrała Robin po lekcjach, zrozumiała, że dziewczynka, marząc już tylko o przebierankach i wygłupach z okazji Halloween, prawie zapomniała o porannym incydencie. Właściwie to jak by się go nawet wstydziła. Kerry postanowiła nie robić córce przykrości i nie poruszała tego tematu. Przynajmniej na razie.

Wróciły do domu. Kerry powiedziała wynajętej studentce, że zwalnia ją na całe popołudnie. Choć raz zachowałam się jak inne matki, pomyślała na widok grupki poprzebieranych dzieciaków. Po chwili zjawił się Joe Palumbo.

Detektyw dzierzył pod pachą wypchaną tekę, w którą znacząco postukał palcem.

- Protokoły z policyjnych przesłuchań świadków przed rozpoczęciem procesu Reardona - powiedział. - Mam tu zeznanie Dolly Bowles. Chodź, rzucimy na nie okiem, sprawdzisz, czy przypadkiem nie zmieniła zdania. - Joe spojrzał na Robin - Ho, ho, ale masz przebranie!
- Jestem wiedźmą - powiedziała dziewczynka - ale długo się zastanawiałam, czy nie lepiej być truposzem.

Kerry nie zdawała sobie sprawy ze swej pełnej wstrętu miny, póki nie napotkała pełnego zrozumienia spojrzenia Palumbo.

- Nie teraz, Joe, muszę już lecieć - rzuciła szybko i wybiegła z domu.

Podczas dwudziestominutowej jazdy do Alpine Kerry ledwo panowała nad nerwami. Przed wyjściem udało jej się jednak namówić Robin do opowiedzenia w skrócie, co się wydarzyło rano. Ale potem mała już nie chciała do tego wracać. Kerry pragnęłaby wierzyć, że córka przesadza, ale dobrze знаła swoje dziecko i była pewna, że opowiadanie Robin jest zgodne z faktami.

Dolly Bowles już na nią czekała. Gdy tylko samochód zaparkował przy bramie okazałego domu w stylu Tudorów, drzwi się otworzyły.

Dolly okazała się drobną staruszką o rzadkich siwych włosach, szczupłej twarzy i bystrych oczach. Poruszała ustami. Gdy Kerry weszła na schody, kontynuowała monolog:

- ...no mówię, że kropka w kropkę jak na tym zdjęciu w „The Record”. Bardzo żałowałam, że miałam akurat zajęcia przy dzieciach i nie mogłam obejrzeć sprawozdania z procesu tego okropnego mordercy.

Wprowadziła Kerry do przestronnego holu i wskazała drzwi po lewej stronie, prowadzące do

małego przytulnego saloniku.

- Siądźmy tutaj. Główny salon jest za duży jak na mój gust. Powtarzam córce, że aż echo tam dzwoni, ale ona uważa, że to wspaniałe miejsce na duże imprezy. Dorothy uwielbia przyjęcia. Oczywiście wtedy, gdy oboje są w domu. Teraz, kiedy Lou przeszedł na emeryturę, ani na chwilę miejsca nie zagrzeją. W kółko tylko jeżdżą, to tu, to tam, jakby im się paliło pod nogami. Po co wobec tego trzymają na stałe gosposię? Nie pojmuję. Powtarzam córce, weź kobietę do sprzątanania raz na tydzień, to przynajmniej zaoszczędzisz pieniądze. Ale coś mi się zdaje, że oni nie chcą, żebym nocowała sama w tym pustym domu. Oczywiście, że nie lubię być sama, jednak z drugiej strony...

O Boże, pomyślała Kerry, bardzo miła starsza pani, ale tego słowo-toku dłużej nie wytrzymam. Wybrała zwykłe krzesło z prostym oparciem, gospodyni zaś usadowiła się na obitej perkalem kanapce.

- Pani Bowles - zaczęła Kerry - nie chciałabym zabierać pani czasu, a poza tym jeden z przyjaciół został z moją córką i nie mogę nadużywać jego cierpliwości, jeśli więc można prosić, to...

- Ach, więc ma pani córeczkę? Jak to miło! Ile ma lat?

- Dziesięć. Wie pani, chciałabym spytać o...

- Tak młodo pani wygląda! Nigdy bym nie zgadła, że ma pani dziesięcioletnią córkę.

- Dziękuję, ale pozory mylą. - Kerry poczuła, że wkracza na grząski grunt i za chwilę zostanie wciągnięta w koszmarną banalną konwersację. - Pani Bowles, miałyśmy porozmawiać o tamtej nocy, kiedy za mordowano Suzanne Reardon.

Kwadrans później, gdy już wysłuchiwała wszystkich szczegółów o sąsiadach domu, gdzie doszło do zbrodni, u których Dolly pilnowała wówczas dziecka, lekko opóźnionego w rozwoju Michaela, trafiła na żyłę złota.

- W zeznaniach jest mowa o tym, że widziała pani obcy samochód, parkujący przed bramą Reardonów, i że nie był to wóz żadnego z gości bawiących na przyjęciu u sąsiadów trochę dalej. Skąd ta pewność?

- Bo sama rozmawiałam z tymi sąsiadami. Zaprosili na kolację trzy inne pary, wszystkie z Alpine. Znałam tych ludzi. Więc potem, kiedy prokurator Green zrobił ze mnie w sądzie taką idiotkę, zadzwoniłam do wszystkich tych państwa po kolei. I wie pani co? Nikt z nich nie miał dady auta.

- Dady auta? - powtórzyła odruchowo Kerry.

- Tak mówił Michael, mój podopieczny. Wie pani, ten mały był chyba daltonistą, w każdym razie miał problem z rozróżnianiem kolorów. Kiedy wskazywało się samochód i pytało, jaki ma kolor, nie umiał odpowiedzieć. Ale choćby nie wiem ile aut stało w pobliżu, zawsze rozróżnił samochód ojca albo kogoś z rodziny. Kiedy tamtej nocy powie dział „dady auto”, pokazał mi paluszką czarnego, czterodrzwiowego mercedesa typu sedan. „Dada” mówił na dziadka, który często zabierał go na przejażdżki swoim samochodem - właśnie czterodrzwiowym mercedesem sedanem. Na ulicy było ciemno, ale na końcu podjazdu Reardonów paliła się latarnia, więc Michael wyraźnie widział ten wóz.

- Dlaczego zatem w sądzie powiedziała pani, że to pani widziała auto?

- Owszem, tak powiedziałam, chociaż samochodu nie było tam jeszcze o wpół do ósmej, kiedy szłam do Michaela, a gdy chłopak mi go pokazał, auto już ruszało, więc nie mogłam mu się dobrze przyjrzeć. Ale pewna jestem, że zauważyłam trójkę i literę „L” na tablicy rejestracyjnej. - Dolly Bowles pochyliła się w stronę Kerry, a jej oczy za szklami w okrągłej oprawce zrobiły się również okrągłe. - Pani McGrath, proszę mi wierzyć, że powiedziałam adwokatowi Skipa Reardona całą prawdę, jak pani teraz. Ten adwokat chyba nazywał się Farrer... nie, Farrell. Wyjaśnił mi, że informacji z drugiej ręki sąd w ogóle nie bierze pod uwagę. A gdyby nawet, to obserwacja

upośledzonego dziecka tylko by mnie ośmieszyła i nikt by nie uwierzył, że stał tam jakiś samochód. Źle mi poradził. Jestem pewna, że gdybym opowiedziała przysięgłym o Michaelu, który ucieszył się na widok auta dziadka, to uwierzyliby mi i pomogłabym Skipowi. - Jej starczy głos przestał nagle drżeć; stał się silny i pewny. - Pani McGrath, parę minut po dziewiątej czarny czterodrzwiowy mercedes sedan odjechał spod bramy domu Reardonów. To absolutnie pewny fakt.

43

Jonathanowi Hooverowi nie smakowało tego wieczora martini. Zwykle cieszyła go ta pora dnia, kiedy mógł w spokoju sączyć łagodny dzin, zaprawiony trzema - dokładnie trzema! - kroplami wermutu, z dodatkiem dwóch oliwek. Do tego fotel na biegunach i towarzystwo Grace, której opowiadał o wszystkich wydarzeniach dnia.

Dziś nie dość, że sam miał problemy, ale dostrzegł także, iż coś nurtuje Grace. Gdyby chodziło o ból fizyczny, nawet taki nie do zniesienia, z pewnością i tak nie usłyszałby od niej słowa skargi. Na zasadzie milczącej umowy nigdy nie poruszali tego tematu. Już wiele lat temu Jonathan nauczył się, że należy poprzestać na banalnym: „Jak się masz, kochanie?”, na co nieodmiennie otrzymywał odpowiedź: „Dziękuję, całkiem nieźle”.

Artretyzm, bezlitośnie zniekształcający ciało, nie odebrał Grace zamiłowania do eleganckich strojów. Nosiła teraz bluzki i suknie z długimi luźnymi rękawami, skrywającymi spuchnięte przeguby, wieczorami zaś powiewne szaty, które najlepiej maskowały coraz bardziej zdeformowaną figurę. Kiedy, jak teraz, na wpeł leżała na sofie, nie było widać jej skrzywionych pleców, lecz przede wszystkim błyszczące jasnoszare oczy na tle alabastrowej cery. Tylko dłonie, przypominające powykręcane szpony, bezlitośnie świadczyły o postępującym niedowładzie.

Jonathan był rannym ptaszkiem, a Grace zwykle do południa pozostawała w łóżku, więc wspólne wieczory były jedyną okazją do intymnej rozmowy. Teraz Grace rzuciła szybkie spojrzenie na męża i powiedziała z kwaśnym uśmieszkiem:

- Wiesz, Jon, kiedy tak patrzę na ciebie, to jakbym spoglądała w lustro. Coś ci leży na sercu i mam przeczucie, że wiem co. Chodzi o Kerry. Rozmawiałam z nią.

- Tak? - Jonathan uniósł brwi.

- Obawiam się, że nie zrezygnuje ze sprawy Reardona.

- Co ci powiedziała?

- Ważniejsze, czego mi nie powiedziała. To była gra uników. Wysłuchała mnie, a potem oświadczyła, że ma powody, by wątpić w zeznania doktora Smitha. Nie ma wprawdzie dowodów, że Reardon nie zabił żony, ale czuje wewnętrzny przymus, żeby wszystko wyświecić do końca. Wymiar sprawiedliwości powinien być sprawiedliwy, powiedziała.

- Grace, ta dziewczyna ma doprawdy przesadne poczucie sprawiedliwości. Wręcz chorobliwe. - Jonathan zaperzył się, twarz mu poczerwieniała. - Wczoraj wieczorem poprosiłem gubernatora, żeby odłożył przekazanie do oceny Senatowi nazwisk kandydatów. Zgodził się.

- Jonathanie!

- To przedostatni dzwonek - jedyna rzecz, jaką mogłem zrobić, zamiast prosić o wycofanie z listy nazwiska Kerry. Nie miałem wyboru. Grace, dobrze wiesz, jakim Prescott Marshall był znakomitym gubernatorem. We współpracy z nim udało mi się przekonać Senat do zreformowania prawa podatkowego, ustaw o opiece społecznej i finansów stanowych. Chciałbym, żeby za cztery lata znów kandydował. Nie przepadam za Greenem, ale wydaje mi się, że będzie przez ten czas spokojnie wygrzewał stołek i nie zmarnuje tego wszystkiego, czegośmy z Marshalllem dokonali. Kiedy jednak

na stołku zasiądzie nie Green, tylko fuks z innej partii, wtedy wszystkie nasze reformy wezmą w łeb.

Gdy wykrzyczał to wszystko, cała złość nagle z niego wyparowała. Spojrzał na Grace jak zmęczony życiem, starzejący się sześćdziesięciolatek. W takich chwilach nie silił się na młodzieńczy wigor.

- Zaproszę dziewczyny na niedzielny obiad - powiedziała Grace. - Będiesz miał okazję przekonać Kerry, że brnie w ślepią uliczkę. Dla czego miałaby poświęcać własną karierę dla tego Reardona? To nie ma sensu.

- Zatelefonuj do niej jeszcze dziś - rzekł Jonathan.

44

Geoff Dorso zadzwonił co drzwi punktualnie jak w zegarku. Otworzyła mu Robin, wciąż jeszcze w kostiumie i charakterystycznej wiedźmy. Miała brwi grubo poczernione węglem i ubieloną twarz, na której rysowała się sieć zmarszczek. Na ramiona opadały jej zmierzwione kudły czarnej peruki.

- Ojej! - Geoff aż się wzdrygnął. - Przestraszyłaś mnie.

- Super! - Robin była zachwycona. - Fajnie, że przyszedł pan na czas. Mam zaproszenie na bal. Będzie konkurs na najokropniejszy kostium. Muszę lecieć.

- Wygrasz. Jesteś bezkonkurencyjna - powiedział Geoff, wchodząc do holu. - No, no... Pachnie fantastycznie.

- Mama robi grzanki z czosnkiem. Maaamooo! Przyszedł pan Dorsooo!

Drzwi do kuchni były w drugim końcu holu. Geoff uśmiechnął się mimo woli na widok Kerry, która wypadła z niej jak bomba, wycierając ręce w ścierkę. Miała na sobie ciemnozielone spodnie i podobnego koloru bluzę z kapturem. Geoff ze wzruszeniem patrzył na złociste błyski w jej włosach i piegi na nosie.

Wygląda jak studentka, pomyślał, dostrzegając zarazem, że jej ciepły uśmiech kontrastuje z poważnym spojrzeniem.

- Fajnie, że już jesteś, Geoff. Wejdz i rozgość się. Muszę cię na parę minut zostawić.

Odprowadzę Robin. To niedaleko.

- Sam ją chętnie odprowadzę - zaproponował Geoff. - Jestem jeszcze w płaszczu.

- Zgoda - powiedziała Kerry. - Ale odstaw ją pod same drzwi, dobrze? Chodzi mi o to, żebyś jej nie zostawiał na podjeździe.

- Mamo! - zaprotestowała Robin. - Już się nie boję. Będę ostrożna, przysięgam.

- Ale ja się boję.

O co tu chodzi? - zdziwił się w myślach Geoff. Ale głośno powiedział tylko:

- Mam młodsze siostry, Kerry, więc to dla mnie nie nowina. Póki chodziły do szkoły, zawsze je odprowadzałem i przyprowadzałem z prywatki, więc nieźle to potrafię. Bierz miotłę, Robin, i idziemy. Bo chyba masz miotłę, co?

Po drodze Robin opowiedziała mu o porannym zdarzeniu.

- Mama przeważnie nie przejmuje się byle czym, ale teraz to się chyba porządnie wystraszyła - zwierzyła się dziewczynka. - Strasznie się o mnie trzęsie. Właściwie żałuję, że się w ogóle o tym dowiedziała.

- Robin, posłuchaj mnie uważnie. - Geoff zatrzymał się nagle i spojrzał małej wiedźmie prosto w oczy. - Byłoby o wiele gorzej, gdy byś jej o tym nie powiedziała. Obiecuj mi, że zawsze będziesz mówić, jeśli się zdarzy coś niezwykłego.

- Obiecuję. Jestem dobra w dotrzymywaniu słowa. Mamie już wcześniej obiecałam. - Krzywo

umalowane usta wykrzywił chytry uśmieszek. - Chyba że chodzi o ranne wstawanie. Nienawidzę wstawać z łóżka.

- To zupełnie tak samo jak ja - powiedział Geoff.

W pięć minut później, gdy siedział już na kuchennym stołku i obserwował, jak Kerry przyrządza sałatę, zdecydował się na pytanie wprost.

- Robin opowiedziała mi, co się dzisiaj stało. Czy, twoim zdaniem, należy to traktować poważnie?

- Jeden z naszych agentów, Joe Palumbo, rozmawiał dzisiaj z Robin - odpowiedziała Kerry, wrzucając zielone listki do salaterki. - Przejął się tym. Uważa, że każdego by przestraszył samochód hamujący tuż za plecami, ale Robin mówiła jeszcze o opuszczonej szybie i ręce... Joe uważa, że ktoś jej zrobił zdjęcie. - Głos Kerry zadrżał.

- Ale po co?

- Nie wiem. Frank Green myśli, że to może mieć związek z moim ostatnim wygranym procesem. Ja mam inne przeczucia. Może to jakiś zbrodzenie uwziął się na Robin? Nie wiem, ale istnieje taka możliwość. - Kerry nerwowo darła liście sałaty. - Muszę dojść do tego, kto ma interes, żeby straszyć moje dziecko. I jak mogę temu zapobiec.

- Ciężko ci musi być. Tak borykać się z tym samotnie... - łagodnie powiedział Geoff.

- Bo jestem rozwiedziona, co? Bo Robin nie ma na co dzień ojca, tak? Popatrz lepiej na jej blizny. To się zdarzyło akurat wtedy, kiedy była pod opieką własnego tatusia. Nie zapiął jej pasów, mimo że jeździ jak wariat, gwałtownie hamuje, a potem dodaje gazu. Nie obchodzi mnie, że Bob Kinellen musi koniecznie pozować na *macho*, ale jestem pewna, że ja sama lepiej się nią opiekuję. - Wrzuciła ostatni liść sałaty do miski i powiedziała pojednawczo: - Przepraszam cię, Geoff, za ten wybuch. Wyraźnie mam nie najlepszy dzień. Przykro mi, ale to nie będzie uroczą kolacyjką. Opowiem ci za to o rozmowach z doktorem Smithem i panią Bowles.

Kiedy już mieli za sobą grzanki czosnkowe i sałatę na przystawkę, zaczęła:

- Smith nienawidzi Skipa Reardona jakimś szczególnym rodzajem nienawiści. To nietypowe. - Widząc, że Geoff nie bardzo rozumie, mówiła dalej. - Typowe zachowania znam bardzo dobrze. Krewni ofiary nienawidzą mordercy i domagają się kary. Nienawiść miesza się u nich z wściekłością i pasją, które aż z nich kipią. Rodzice wyciągają stare zdjęcia i pokazują, jaką śliczną mieli córeczkę. Wciąż to przeżywają i opowiadają, że w trzeciej klasie zamordowana dziewczyna wygrała konkurs recytatorski. Załamują się nerwowo, płaczą, krzyczą, ze wszystkich sił próbują odreagować tragedię. Matki, a jeszcze częściej ojcowie, błagają o konfrontację z mordercą, przysięgając, że zabiją go własnymi rękami. Jednak w wypadku Smitha.... Nic z tych rzeczy. Krystalicznie czysta nienawiść, zimna jak lód.

- I jaki z tego wniosek?

- Moim zdaniem, albo Skip Reardon jest urodzonym mordercą, albo musimy ustalić, od kiedy Smith tak strasznie go znienawidził. Trzeba się też dowiedzieć, jak naprawdę wyglądały układy między ojcem a córką. Pamiętasz, sam zeznał, że nie widział jej prawie dwadzieścia lat, od czasów niemowlęctwa aż do dorosłości. Pojawiła się u niego zupełnie niespodziewanie. Wnioskując ze zdjęć, odznaczała się wyjątkową urodą... - Kerry wstała. - Pomyśl o tym, a ja skończę sos do spaghetti. Potem opowiem ci, jak było u Dolly Bowles.

Geoff był tak zaintrygowany tą historią, że nawet nie poczuł smaku wspaniałego makaronu z *frutti di mare*.

- Problem w tym - kończyła Kerry - że zarówno oskarżenie, jak obrona nawet nie dopuściła do

świadomości, że Michael może być wiarygodnym świadkiem.

- Tim Farrell osobiście rozmawiał z panią Bowles - przypomniał sobie Geoff. - Może i coś rzucił mimochodem o upośledzonym dziecku, które widziało samochód, ale nie przywiązywał do tego żadnej wagi. Więc i ja również.

- To długa piłka - powiedziała Kerry - ale Joe Palumbo, wiesz, ten nasz agent, przyniósł tu dziś protokoły z wstępnych przesłuchań policyjnych. Mam zamiar uważnie się w nie wczytać i wynotować nazwiska facetów, z którymi Suzanne mogła być blisko. W wydziale komunikacji sprawdzą bez trudu, który z tych ludzi jeździł dziesięć lat temu czarnym mercedesem sedanem. Oczywiście istnieje możliwość, że samochód był zarejestrowany na kogoś innego albo wypożyczony. Wtedy zabrnjemy donikąd. - Spojrzała na elektroniczny zegar wmontowany w kuchenkę. - Mamy jeszcze trochę czasu.

- O której kończy się zabawa? - Geoff wiedział, że Kerry myśli o Robin.

- Teoretycznie o dziewiątej, może trochę później. Normalnie dzieci nie bawią się całą noc, ale przecież Halloween jest tylko raz do roku. Napijesz się kawy? Może być z ekspresu albo rozpuszczalna. Od dawna chcę kupić maszynkę do cappucino, ale ciągle zapominam.

- Może być espresso. Teraz ja ci opowiem o romansie Skipa z Beth Taylor.

Kerry wysłuchiwała go uważnie.

- Mogę zrozumieć, dlaczego Tim Farrell nie chciał powołać tej Taylor na świadka, ale z drugiej strony... - powiedziała wolno. - Jeśli Skip był w niej zakochany w tym czasie, gdy zdarzyło się morderstwo, to zeznania Smitha nie są już tak wiarygodne.

- Trafiałś w sedno. Zachowanie Skipa wobec Suzanne na widok kwiatów od innego mężczyzny można streścić krótko: baba z wozu, koniom lżej.

Zadzwoił telefon. Geoff spojrzał na zegarek.

- Mówiłaś, że Robin powinna wrócić o dziewiątej. Pójdę po nią, a ty sobie spokojnie porozmawiaj.

- Dzięki - Kerry sięgnęła po słuchawkę. - Halo? Słuchała przez chwilę, a potem powiedziała ciepło:

- Jak to miło, Jonathan, sama chciałam do ciebie dzwonić.

Geoff pomachał jej i poszedł po płaszcz.

Gdy wracali do domu, Robin opowiadała mu, jak dobrze się bawiła, mimo że nie zdobyła pierwszej nagrody:

- No bo przysłała taka kuzynka Cassie, która miała kostium śmierci. A żeby był jeszcze straszniejszy, mama naszyła jej prawdziwe kości. No więc nie miałam żadnych szans. Bardzo dziękuję, panie Dorso, że pan po mnie przyszedł.

- Widzisz, Robin, tak to w życiu jest. Raz na wozie, raz pod wozem. A w ogóle to mów mi po imieniu.

Gdy Kerry otworzyła drzwi, Geoff od razu dostrzegł, że coś się stało. Coś bardzo przykrego. Kerry z wyraźnym zniecierpliwieniem słuchała entuzjastycznej opowieści Robin, ale w końcu nie mogła już wytrzymać.

- Bardzo dobrze, Robin, teraz już pora spać. Obiecałaś...

- Wiem, wiem, siusiu, paciorek i spać. - Robin cmoknęła matkę w policzek. - Kocham cię, mamó. Dobranoc, Geoff. - Mała pobiegła na górę.

Geoff patrzył na drżące ze zdenerwowania wargi Kerry. Wziął ją za ramię, zaprowadził do kuchni i zamknął za sobą drzwi.

- Co się dzieje?

- Gubernator miał jutro przedstawić w Senacie listę trzech kandydatur na stanowisko sędziego.

Byłam na liście. A Jonathan spowodował przesunięcie rozpatrzenia tej sprawy, i to ze względu na mnie.

- Senator Hoover ci to zrobił? - z niedowierzaniem wykrzyknął Geoff. - A ja myślałem, że się przyjaźnicie. - Spojrzał na nią i zmarszczył brwi. - Słuchaj, czy to ma związek ze sprawą Reardona i Frankiem Greenem?

Nie musiał czekać na odpowiedź - sprawa była jasna.

- Kerry, cholernie mi przykro, naprawdę. Ale powiedziałaś przecież, że chodzi o „przesunięcie”, a nie skreślenie cię z listy.

- Jonathan nigdy by mnie nie wycofał, nie on. Tego jestem pewna. - Głos Kerry był teraz spokojniejszy. - Ale wiem także, że jego przyjaźń dla mnie ma swoje granice. Powiedziałam mu o wizycie u Smitha i Dolly Bowles.

- I co on na to?

- Nie zrobiło to na nim większego wrażenia. Uważa tylko, że grzebiąc się w tej sprawie, podważam kompetencje i wiarygodność Franka Greena. Poza tym wystawiam urząd prokuratora na otwartą krytykę, że marnujemy tylko pieniądze podatników na sprawę zamkniętą dziesięć lat temu. Jego zdaniem, pięć nieudanych apelacji wystarczają co potwierdza słuszność wyroku.

Potrząsnęła głową, jakby pomagało jej to w zebraniu myśli. A potem odwróciła wzrok.

- Przepraszam, że zabrałam ci czas, Geoff, ale Jonathan ma rację. Morderca odsiaduje wyrok, był sądzony przez uczciwych ludzi, a kolejne sądy apelacyjne potwierdzają ich zdanie. Dlaczego miałabym to kwestionować? - Kerry odwróciła się i spojrzała mu w oczy. - Winny jest w więzieniu, a ja mam dosyć tej sprawy - oświadczyła z całym przekonaniem, na jakie ją było stać.

Twarz Geoffa stężała od tłumionego gniewu i zawodu.

- Dobrze, skoro tak. Dobranoc, Wysoki Sądzie - powiedział. - I dzięki za spaghetti.

45

W laboratorium FBI w Quantico czwórka agentów wpatrywała się w ekran komputera, na którym rysował się profil złodzieja z Chevy Chase.

Ściągnął maskę, chcąc obejrzeć z bliska statuetkę. Na pierwszy rzut oka obraz utrwalony przez ukrytą kamerę wydawał się beznadziejnie zamazany, ale po zabiegach „czyszczenia”, niektóre z rysów jego twarzy stały się całkiem wyraźne. Do rozpoznania to za mało, pomyślał starszy agent Si Morgan. Widać tylko nos i usta mężczyzny. Ale to było wszystko, co mieli i co ewentualnie mogłoby odświeżyć czyjąś pamięć.

- Zrobmy ze dwie setki odbitek i roześlijmy do domów, gdzie były podobnego typu włamania. Tylko tyle możemy zrobić, ale nie wolno nam przegapić szansy. - Twarz Morgana przybrała ponury wyraz. - Mam nadzieję, że jak już go dopadniemy, to jego odcisk będzie pasował do tego, który zostawił morderca matki kongresmena Peale'a. Umarła biedaczka tylko dlatego, że wróciła nie w porę do domu.

46

Wczesnym rankiem w Oakland, w Kalifornii, Wayne Stevens siedział w salonie wygodnego dużego domu w stylu hiszpańskim i czytał gazetę. Dwa lata temu przeszedł na emeryturę, zostawiając firmę ubezpieczeniową młodszym partnerom. Wydawał się człowiekiem całkiem zadowolonym z życia. Jego pocziwe oblicze miało wyraz jowialny i pogodny. Regularne uprawianie sportów utrzymywało go w dobrej kondycji. Dwie zamężne córki z wnukami mieszkały o niespełna pół godziny drogi. Od ośmiu lat żył szczęśliwie z trzecią żoną Catherine, lecząc rany po poprzednich dwóch burzliwych związkach.

I wtedy właśnie zadzwonił telefon. Już od pierwszych słów było jasne, że nieznany rozmówca, mówiący z silnym akcentem ze wschodniego wybrzeża, spowoduje powrót do niemiłych wspomnień.

- Panie Stevens, moje nazwisko Palumbo, agent śledczy prokuratury w Bergen. Czy to prawda, że Suzanne Reardon była pańską pasierbicą?

- Suzanne Reardon? Nie znałem takiej osoby. Ale chwileczkę... Czyżby miał pan na myśli Susie?

- Tak nazywał pan Suzanne?

- Miałem pasierbicę imieniem Susie, ale to było zdrobnienie od Sue Ellen, a nie Suzanne - wyjaśnił Stevens i nagle zdał sobie sprawę, że inspektor, mówiąc o niej, użył czasu przeszłego. - Czy coś jej się stało?

Oddalony o trzy tysiące mil Joe Palumbo mocniej zacisnął palce na słuchawce.

- To pan nie wie, że Suzanne czy Susie, jak pan mówi, od dziesięciu lat nie żyje? Została zamordowana. - Palumbo nacisnął guzik ma szyny rejestrującej.

- O mój Boże... - Głos Stevensa zamarł. - Nie, nic nie wiedziałem. Co roku wysyłałem jej kartki na Boże Narodzenie na adres ojca, doktora Smitha. Ani razu nie odpisała.

- Kiedy ostatni raz pan ją widział?

- Osiemnaście lat temu, wkrótce po śmierci jej matki, a mojej drugiej żony Jean. Susie zawsze była nieszczęśliwą dziewczyną z kompleksami. Sprawiała nam kłopoty. Byłem wdowcem, gdy żeniłem się z jej matką. Miałem już dwie córki i adoptowałem Susie. Wychowywaliśmy wszystkie trzy razem z Jean. Po jej śmierci, gdy Susie dostała odszkodowanie z polisy ubezpieczeniowej, od razu oświadczyła mi, że wybiera się do Nowego Jorku. Miała dziewiętnaście lat. W kilka miesięcy później dostałem od niej przykry, złośliwy list. Pisała, że przez całe życie czuła się z nami źle i dlatego teraz nie życzy sobie żadnych kontaktów. Informowała, że zamieszka ze swym prawdziwym ojcem. Oczywiście natychmiast zatelefonowałem do doktora Smitha, ale był wyjątkowo niegrzeczny i opryskliwy. Powiedział, że zezwalając na adopcję córki, popełnił wielki błąd.

- Więc Suzanne, czyli Susie, w ogóle z panem nie rozmawiała?

- Nigdy. Uszanowałem jej decyzję. Miałem nadzieję, że z czasem się uspokoi. Odezwie się do nas, przyjedzie. Co się z nią stało?

- Dziesięć lat temu jej mąż został skazany za zabójstwo z zazdrości.

Obrazy z przeszłości przesunęły się w wyobraźni Wayne Stevensa niby niemy film. Zobaczył Susie jako chudą dziewczynkę, a później pulchną nastolatkę, która wprawdzie grała w tenisa i golfa, ale bez żadnych sportowych ambicji i satysfakcji. Susie nasłuchującą dzwonka telefonu, który nigdy nie dzwonił do niej. Patrzącą z zazdrością na przyrodnie siostry, wystrojone na randkę, trzaskającą ze złością drzwiami, gdy wychodziły, a potem wracającą do swego pokoju.

- Z zazdrości o to, że miała romans z innym mężczyzną? - spytał z niedowierzaniem.

- Tak. - Joe Palumbo natychmiast wychwycił zdziwienie w głosie rozmówcy. Już wiedział, że intuicja Kerry okazała się słuszna - warto było zapoznać się z rodzinnym domem i latami dorastania Suzanne. - Panie Stevens, czy umiałby pan opisać mi, jak wyglądała pańska pasierbica?

- Sue była... - Stevens się zawahał. - Sue nie była ładna - dokończył cicho.

- Czy ma pan jej zdjęcia? A jeśli tak, to czy mógłby pan mi je przysłać? - spytał Palumbo. - Chodzi mi o te tuż sprzed wyjazdu do Nowego Jorku.

- Oczywiście. Ale dlaczego interesuje to pana teraz, dziesięć lat po jej śmierci?

- Bo istnieje możliwość, że zapadł w tej sprawie niesprawiedliwy wyrok.

Wielki Boże, Kerry wyczuła nie żyłą złota, ale całą kopalnię diamentów, myślał Joe, odkładając słuchawkę, kiedy już wymógł obietnicę, że Stevens wyśle zdjęcia wieczorną pocztą.

47

Ledwo Kerry weszła do biura, zadzwoniła sekretarka Greena z wezwaniem do szefa.

- Co się dzieje, Kerry? - Frank swoim zwyczajem nie marnował słów. - Słyszałem, że gubernator odłożył decyzję o nominacjach. Podobno z twojego powodu. Może mógłbym ci jakoś pomóc?

Pewnie, że mógłbyś, pomyślała Kerry. Możesz powiedzieć gubernatorowi, że jesteś zachwycony perspektywą ujawnienia sądowej pomyłki twojego autorstwa. I że nie obchodzi cię, jakie to może mieć dla ciebie konsekwencje. Mógłbyś postąpić jak prawdziwy skaut, Frank.

Zamiast tego powiedziała:

- Och, to nic takiego, niedługo wszystko wróci do normy.

- Nie poprzytykałaś się chyba z senatorem Hooverem, co?

- Dobrze wiesz, że jesteśmy w najlepszej przyjaźni. - Gdy odwróciła się, by odejść, Green dodał:

- Kerry, coś mi tutaj nie gra. Nie rozumiem, po co to odwlekanie, jakby ktoś się z tobą bawił w kotka i myszkę. Ja też czekam na nominację i wściekłbym się, gdyby mi ktoś nabruździł. Jedziemy na tym samym wózku, nie?

Kerry skinęła tylko głową i wyszła.

Za drzwiami swego pokoju rozpaczliwie usiłowała zebrać myśli i zmusić się do normalnej pracy. Przeglądała dokumenty. Dostała zawiadomienie, że sąd okręgowy właśnie wskazał podejrzanego w sprawie nieudanego napadu na stację benzynową. Oskarżenie było poważne - usiłowanie zabójstwa i napad z bronią w rękę. Pracownik stacji został postrzelony i wciąż przebywał na oddziale intensywnej terapii. Jeśli nie przeżyje, rabuś zostanie oskarżony o morderstwo.

Poprzedniego dnia sąd apelacyjny zakwestionował wyrok skazujący pewną kobietę za zabójstwo. Była to swego czasu głośna sprawa; stwierdzenie sądu apelacyjnego, że niewłaściwie przeprowadzono obronę, nie kompromitowało na szczęście biura prokuratora.

Przecież planowałyśmy, że Robin będzie trzymać Biblię podczas przysięgi. Jonathan i Grace chcieli ofiarować mi komplet sędziowskich tóg. Margaret, najlepsza przyjaciółka, chciała podać mi togę przed przysięgą. „Ja, Kerry McGrath, przysięgam uroczyście, że....”

Łzy popłynęły jej po twarzy na wspomnienie niecierpliwego głosu Jonathana, przypominającego o pięciu odrzuconych apelacjach Reardona. Oczywiście, że miał rację. Kerry postanowiła, że koło południa zadzwoni do niego i obieca, iż na dobre rozstanie się z tą sprawą.

Ocknęła się, gdy do drzwi już po raz trzeci głośno zapukano. Szybko otarła łzy.

- Proszę wejść.

W gabinecie pojawił się Joe Palumbo.

- Sprytna z ciebie dziewczynka, Kerry.

- Chyba nie bardzo. Co słyhać?

- Mówiłaś, że ciekawi cię, czy Smith robił córce operację.

- Powiedział, że nie, Joe. Powtarzałam ci to przecież.

- Wiem, ale prosiłaś przy okazji o sprawdzenie przeszłości Suzanne. No to teraz posłuchaj. - Rozradowany Joe położył na biurku magnetofon. - Nagrałem prawie całą rozmowę z Wayne'em Stevensenem, ojczymem Suzanne Reardon - wyjaśnił, naciskając klawisz.

Kerry słuchała z mieszanymi uczuciami. A więc Smith jednak jest kłamcą, pomyślała, wspominając, z jakim oburzeniem zareagował na jej pytanie. Kłamcą, a zarazem świetnym aktorem.

Kiedy nagranie się skończyło, Joe popatrzył na nią wyczekująco.

- I co dalej, Kerry?

- Nie wiem - powiedziała słabym głosem.

- Nie wiesz?! Przecież Smith łże jak pies!

- Nie mamy dowodu. Poczekajmy lepiej na te zdjęcia od Stevensa, zamiast się tak podniecać. Wiele szarych myszek po dobrym fryzjerze, kuracji odchudzającej i w profesjonalnym makijażu nagle zmienia się w królowy.

- Jasne. Jasne jak to, że mi tu zaraz kaktus wyrośnie - powiedział ze znaczącym gestem Palumbo.

48

Deidre Reardon usłyszała rozpacz w głosie syna, rozmawiając z nim w niedzielę, a potem we wtorek przez telefon. Zaniepokojona, nie zważając na trudy podróży, w środę wybrała się do Trenton.

Drobna Irlandka, po której syn odziedziczył ognistorude włosy, błękitne oczy i mleczną, piegowatą cerę, dobiegała już siedemdziesiątki. Wyglądała na swoje lata, zwłaszcza gdy była zatroskana. Energiczne niegdyś ruchy zaczynały zdradzać słabość, chód stał się mniej zdecydowany. Podupadające zdrowie kazało jej zrezygnować z posady w sklepie sieci A&S. Dorabiała sobie do

emerytury prowadzeniem księgowości w parafii. Pieniądze, które zaoszczędziła w lepszych czasach, gdy Skipowi dobrze się powodziło, dawno się rozeszły - przede wszystkim na bezskuteczne apelacje.

Pani Reardon dotarła do więzienia po południu. Ponieważ nie był to dzień regulaminowych widzeń, mogła się z synem porozumieć tylko przez interkom. Odgradzała ich szklana szyba. Jedno spojrzenie matki wystarczyło. Stało się to, czego Deidre od dawna najbardziej się obawiała - Skip stracił wszelką nadzieję.

Zwykle, gdy trochę się łamał, rozpraszała jego zły humor ploteczkami z sąsiedztwa i parafii. Takich wiadomości chętnie wysłuchuje ktoś, kto wprawdzie wyjechał z rodzinnej okolicy, ale spodziewa się niebawem wrócić. Ta metoda nie mogła jednak poskutkować przy prawdziwej depresji.

- Co się stało, Skip? - spytała wprost.

- Mamo, wczoraj wieczorem zadzwonił Geoff. Ta kobieta z prokuratury chce się ze wszystkiego wycofać. Umywa ręce. Zmusiłem Geoffa, żeby mi nie mydlił oczu i powiedział całą prawdę.

- Jak ona się nazywa? - Deidre postanowiła trzymać się konkretów. Wiedziała, że pocieszenie syna na nic się nie zda.

- McGrath. Kerry McGrath. Niedługo ma zostać sędzią. Znając moje parszywe szczęście, na pewno trafi do sądu apelacyjnego i utraci każde odwołanie, jakie jeszcze z Geoffem wysmażymy.

- Jak długo trwa procedura mianowania sędziów?

- To bez znaczenia, mamo. Nam się przecież nigdzie nie śpieszy, prawda? - Skip przyznał się matce, że odmówił rozmowy z Beth. - Mamo, niech ona wreszcie zacznie żyć własnym życiem. Nie może się tak beznadziejnie dla mnie poświęcać.

- Skip, ona cię kocha.

- To niech się odkocha. Mnie się to kiedyś udało.

- Przestań, Skip. - Deidre Rerdon poczuła duszności, co zawsze zwiastowało bezwład rąk i przejmujący ból w piersi. Doktor ostrzegał, że za tydzień czeka ją kolejny bypass, jeśli angioplastyka nie poskutkuje. Nie wspomniała dotąd o tym Skipowi i nie zamierzała tego robić teraz.

Przełknęła łzy, widząc, jak strasznie czuje się pokrzywdzony. Zawsze był takim dobrym dzieckiem. Nigdy nie rozrabiał ani nie sprawiał kłopotów w szkole. Nawet jako niemowlę nie płakał, gdy się zsiusiał lub chciało mu się spać. Z rozczuleniem wspominała, jak kiedyś przepętnął z pokoju do sypialni, wyciągnął przez pręty łóżeczka kocyk, otulił się nim i zasnął na podłodze.

Kiedy Deidre weszła z kuchni do pokoju, nie mogła go znaleźć. Zaczęła gorączkowo biegać po małym mieszkanku, nawołując synka, przestraszona, że mógł jakimś cudem wydostać się za drzwi i zagubić. Teraz miała identyczne uczucie. Skip się zagubił.

Mimowolnie wyciągnęła rękę, jakby chciała go dotknąć przez szybę. Pragnęła objąć go i przytulić, tego dobrego, uczciwego mężczyznę, który dla niej wciąż był jej małym synkiem. Chciała go utulić, pocieszyć, przekonać, że wszystko będzie dobrze, tak jak pocieszała go dawno temu, gdy stłukł łokieć lub kolano. Wreszcie znalazła właściwe słowa.

- Skip, nie życzę sobie tego słuchać. Nie wolno ci podejmować decyzji za Beth, skoro ona cię kocha. Sama zobaczę się z tą Kerry McGrath. Przecież nie przyszła tu do ciebie bez powodu. Prokuratorzy nie wpadają tak sobie z wizytą do ludzi po wyroku. Dowiem się, co ją do tego skłoniło i dlaczego chce się teraz wycofać. Ale musisz mi pomóc. Nie pogrążaj mnie, zachowując się w ten sposób.

Czas widzenia minął jak jedna chwila. Deidre nie płakała, kiedy strażnik wyprowadzał Skipa. A potem energicznie otarła wilgotne oczy. Jej usta w zaciśniły się w twardą, pełną determinacji linię. Wstała, poczekała chwilę, aż ustąpi ból serca, i szybkim krokiem wyszła z więzienia.

Zima się zbliża, pomyślała Barbara Tompkins. Wracała pieszo z biura przy Sześćdziesiątej Ósmej do mieszkania na rogu Sześćdziesiątej Pierwszej i Trzeciej Alei. Żałowała, że nie wzięła cieplejszego płaszcza. A zresztą... Czy na dworze było ciepło, czy zimno, ona czuła się po prostu fantastycznie.

Nie było dnia, w którym nie błogosławiłaby cudu własnej przemiany, dokonanej przez doktora Smitha. Nie chciało jej się wierzyć, że minęły zaledwie dwa lata, odkąd wyrwała się z Albany. Tkwiła w tej dziurze, załatwiając drobne ogłoszenia w gazetach dla byle jakich firm kosmetycznych.

Najmilszą z klientek była Nancy Pierce. Nancy zawsze żartowała, że ona i Barbara to szare myszki z kompleksem niższości. Sama miała na co dzień do czynienia z przepięknymi modelkami. Aż pewnego dnia Nancy wzięła dłuższy urlop i wróciła przemieniona w seksbombę. Nie tylko nie kryła, lecz otwarcie chwaliła się, że to cudowny efekt operacji plastycznej.

- Posłuchaj tylko - opowiadała Barbarze - moja siostra ma twarz jak Miss Ameryki, ale całe życie walczy z nadwagą. Mówi, że ma gdzieś w środku szczupłą, zgrabną dziewczynę, która z całych sił próbuje się wydostać. To samo było ze mną - mieszkała we mnie ślicznotka, która strasznie chciała się pokazać. Moja siostra trafiła do Złotych Wrót. Ja trafiłam do doktora Smitha.

Patrząc na jej nową urodę i podziwiając pewność siebie, Barbara postanowiła, że gdy tylko zdobędzie pieniądze, zrobi dokładnie to samo. Pragnienie to niebawem się spełniło. Dobiegająca dziewięćdziesiątki kochana ciocia Betty zostawiła Barbarze w spadku okrągłe trzydzieści pięć tysięcy dolarów z instrukcją, że może je przepuścić, na co chce, byle się dobrze bawiła.

Barbara świetnie zapamiętała pierwszą wizytę u doktora Smitha. Gdy wszedł do gabinetu, zachowywał się zimno i odpychająco. „O co pani chodzi?” - warknął opryskliwie na powitanie.

„Chcę być ładna i wiem, że pan może mi w tym pomóc” - powiedziała wtedy nieśmiało Barbara. A potem, czując nagły przypływ odwagi, dodała: „Chcę być bardzo piękna”.

Smith bez słowa skierował na jej twarz strumień światła. Uniósł jej podbródek i przebiegł palcami po owalu twarzy, badając układ kostny. Najdłużej zatrzymał się przy czole i kościach policzkowych.

„Dlaczego?” - spytał w końcu, przestając się w nią wpatrywać.

Powiedziała mu o pięknej kobiecie, którą ma w środku i która walczy, by wydostać się z zaskorupionej twarzy. Wyznała też, że wszyscy zawsze jej powtarzali, że uroda nie jest w życiu najważniejsza. „Ale dla mnie jest!” - wybuchnęła na koniec.

„Gdyby tak nie było, nie zawracałbym sobie panią głowy” - odparł z nieoczekiwanie miłym uśmiechem.

Operacja była długa, skomplikowana i przebiegała etapami. Doktor powiększył jej podbródek i zmniejszył uszy. Zlikwidował ciemne worki pod oczami i wysubtelnił zbyt ciężkie powieki, przez co oczy wydały się większe i bardziej błyszczące. Dzięki zabiegowi jej wargi stały się pełne i kuszące, a z policzków zniknęły blizny po trądziku. Nos zyskał delikatny profil, a łuki brwi uniosły się do góry. Oczywiście resztę ciała trzeba było także dopasować do nowego wizerunku.

Doktor poradził jej, by poszła do fryzjera i zmieniła kolor włosów z mysiego na prawie czarny, ciemnobrunantny. Nowa barwa włosów podkreśliła biel karnacji, uzyskaną metodą głębokiego złuszczenia na skórka. W tym samym salonie kosmetycznym nauczono ją robić najbardziej korzystny dla urody makijaż. Resztę spadku zainwestowała w nowy zestaw ciuchów. Smith polecił ją swemu projektantowi przy Siódmej Alei. Pod okiem specjalisty Barbara po raz pierwszy w życiu

zgrupowała zestaw wytwornej i modnej garderoby.

Doktor Smith poradził jej także, by przeniosła się na stałe do Nowego Jorku. Powiedział, jak znaleźć odpowiednie mieszkanie, i nawet pofatygował się osobiście, by sprawdzić, czy dokonała właściwego wyboru. Nalegał także, by co trzy miesiące zjawiała się u niego na badanie kontrolne.

Przeprowadzka na Manhattan i praca w firmie reklamowej Price & Velone sprawiły, że ostatni rok wydał się Barbarze piękny jak bajka.

Teraz jednak, mijając ostatnią przecznicę, dzielącą ją od domu, trwożnie obejrzała się przez ramię. Wczoraj wieczorem, gdy kończyła służbową kolację z klientami w hotelu „Mark”, przy stoliku w kącie sali zauważyła siedzącego samotnie doktora Smitha.

W poprzednim tygodniu to samo zdarzyło się w hotelu „Plaza”. Niechętnie przypominała sobie, że to samo uczucie, iż ktoś ją obserwuje, miała w ubiegłym miesiącu po obiedzie w „Four Seasons”. Gdy wsiadała do taksówki, spostrzegła po drugiej stronie ulicy jakąś twarz w uchylonym oknie samochodu...

Barbara z uczuciem ulgi dojrzała do drzwi wejściowych. Portier otworzył je, ona zaś raz jeszcze obejrzała się przez ramię. Na jezdni *vis a vis* jej domu zatrzymał się na czerwonym świetle czarny mercedes. Nie było wątpliwości, kto jest kierowcą, choć odwrócił twarz, udając, że patrzy na światła.

Doktor Smith.

- Wszystko w porządku, proszę pani? - spytał portier. - Myślałem, że zrobiło się pani słabo.

- Nie, nie, czuję się dobrze. - Barbara szybkim krokiem ruszyła do windy. Jadąc na górę, myślała: to fakt, on mnie śledzi. I co ja mam z tym fantem zrobić?

50

Mimo że Kerry przygotowała na cześć Robin same smakołyki - filety z kurczaka, pieczone ziemniaki, fasolkę szparagową, sałatę i krakersy - posiłek upływał im w ponurym milczeniu.

Gdy Kerry wróciła do domu, Alison, studentka-opiekunka, od razu uprzedziła ją, że mała jest nie w sosie.

Szykując kolację, Kerry obserwowała Robin, która odrabiała lekcje przy kuchennym stole. Dziewczynka nie odezwała się ani razu, siedziała z nosem wetkniętym w książki. Kerry była zmuszona przerwać jej pracę, stawiając talerze. W czasie jedzenia Robin najwyraźniej troszkę się odprężyła.

- Zjadłś dzisiaj obiad? - przerwała ciszę Kerry. - Widzę, że masz wilczy apetyt.

- Oczywiście, mam. Prawie wszystko.

- To dobrze.

Jaka ona do mnie podobna, pomyślała Kerry. Gdy coś idzie nie tak, wszystko przeżywam w samotności. Robin jest równie skryta.

- Lubię Geoffa. Jest bardzo miły - niespodziewanie odezwała się Robin.

Geoff. Kerry odwróciła oczy i zajęła się nakładaniem sałaty. Próbowwała nie myśleć o ironicznym pożegnaniu, jakim ją wczoraj uraczył. „Dobranoc, Wysoki Sądzie”.

- Mhm - mruknęła, siląc się na obojętność.

- Kiedy znowu nas odwiedzi?

- Nie wiem. Przychodził w związku ze sprawą, którą prowadzi - wymijająco odpowiedziała Kerry.

- Żałuję, że wspomniałam o nim tacie - powiedziała Robin z poczuciem winy.

- Jak to?

- No bo tata mówił, że jak zostaniesz sędzią, to będziesz spotykać dużo innych sędziów i pewnie wyjdiesz za kogoś za męża. Wtedy ja... wcale nie chciałam, ale samo mi się powiedziało, że znam jednego fajnego adwokata, co do nas przychodzi. I wtedy tata spytał, kto to jest.

- A ty mu powiedziałaś, że Geoff Dorso. I dobrze. Przecież to prawda.

- Nie wiem... Tata od razu zrobił się na mnie zły. W restauracji było najpierw bardzo fajnie, żartowaliśmy i śmialiśmy się, a potem tata kazał mi szybko kończyć krewetki i zbierać się do domu.

- Robin, taty nie interesuje, z kim się spotykam. Geoff Dorso nie ma nic wspólnego z ojcem ani z jego interesami. Tata prowadzi teraz bardzo trudną sprawę. Kiedy się spotkaliście, odprężył się na chwilę, a potem, pod koniec obiadu, z pewnością znów zaczął o niej myśleć. I tyle.

- Naprawdę tak uważasz? - z nadzieją spytała Robin, a oczy jej zabłyśły.

- Oczywiście - z przekonaniem odparła Kerry. - Sama wiesz, jak to jest. Ja też często bywam zaganiana przed procesem.

- Aż za często! - zachichotała wesoło Robin.

O dziewiątej wieczorem Kerry zajrzała do pokoju Robin. Mała czytała w łóżku.

- Czas spać - powiedziała matka, otulając ją kołdrą.

- Dooobrze - niechętnie zgodziła się Robin. - Ale powiedz, mamo, czy Geoff już nigdy tu nie przyjdzie? Nie możemy go tak zwyczajnie zaprosić? Przecież on cię lubi, ja wiem.

- Och, Robin, Geoff w ogóle bardzo lubi ludzi, a mnie wcale specjalnie nie wyróżnia.

- Cassie i Courtney widziały go, kiedy po mnie przyszedł na Halloween. Uważają, że jest boski.

Ja też tak uważam, pomyślała Kerry z goryczą, gasząc światło.

Zeszła na dół, zamierzając zrobić porządek z rachunkami. Ale gdy usiadła za biurkiem, jej wzrok padł na dokumenty, które Joe Palumbo przyniósł poprzedniego wieczora. Pokręciła głową, jakby próbując zabronić sobie dalszego zajmowania się sprawą Reardona.

Co szkodzi, jeśli tylko je przejrzę? - pomyślała, znów spoglądając na papiery. Wzięła teczkę, umościła się wygodnie w ulubionym fotelu i zaczęła czytać.

Według pierwszego z raportów, zbrodnię zgłoszono dwadzieścia minut po północy. Skip Reardon sam zadzwonił na policję. „Moja żona nie żyje, moja żona nie żyje” - powtarzał w kółko. Patrol zastał go na klęczkach obok ciała. Płakał. Od razu zorientował się, że żona nie żyje, więc, jak twierdził, niczego nie ruszał. Wazon był przewrócony, a na zwłokach leżały rozsypane purpurowe róże.

Następnego dnia, po rozmowie z matką, Skip Reardon zeznał, że z domu zginęła brylantowa broszka. Zapamiętał ją, gdyż był to obcy klejnot, z pewnością podarunek od innego mężczyzny. Dodał także, że z sypialni zniknęła miniaturowa ramka ze zdjęciem.

Po dwóch godzinach Kerry dotarła do raportu z zeznaniami Dolly Bowles. Jego treść nie różniła się od tego, co sama usłyszała. Kerry ze zdumieniem znalazła wśród przesłuchiwanego świadków nazwisko Jasona Arnotta. Podczas rozmowy w więzieniu Skip Reardon także wymienił jego nazwisko. W raporcie Arnott określił się jako rzeczoznawca od antyków, towarzyszący zamożnym klientom na aukcjach. Dodał, że prowadzi bogate życie towarzyskie i że Suzanne często bywała u niego na koktajlach i przyjęciach. Niekiedy ze Skipem, ale najczęściej sama.

Oficer śledczy dopisał, że sprawdził ich wzajemne relacje i wyklucza możliwość intymnego związku. Według opinii jednego ze wspólnych znajomych, Suzanne, która lubiła flirtować, podrywała sobie z Arnotta, nazywając go „homo nie wiadomo”.

Żadnych sensacji, pomyślała Kerry po przejrzeniu połowy zawartości teczek. Śledztwo

przeprowadzono bardzo drobiazgowo. Znalazło się tu nawet zeznanie pracownika gazowni, który przez otwarte okno podsłuchał poranną awanturę w domu Reardonów. „Boże, ale gość się wściekał” - brzmiał jego komentarz.

Przykro mi, Geoff, powiedziała w duchu Kerry, zamierzając zamknąć teczkę. Piekły ją oczy. Postanowiła, że resztę przejrzy jutro i zwróci dokumenty. Nagle dostrzegła coś interesującego - zeznanie faceta obsługującego pole golfowe w klubie „Palisades”, do którego należeli Reardonowie. Na widok pewnego nazwiska natychmiast minęło jej zmęczenie i senność. Wyjęła plik papierów i pogrążyła się w lek turze.

Osobnik od golfa nazywał się Michael Vitti i był kopalnią informacji na temat Suzanne. „Każdy z nas tylko marzył, żeby podawać jej piłki. Była bardzo miła. Żartowała z nami i dawała duże napiwki. Grywała z wieloma mężczyznami. Była w tym naprawdę dobra, już ja wiem, co mówię. Ich żony były złe, bo wszyscy faceci na nią lecieli”.

Na pytanie, czy Suzanne była z kimś bliżej związana, Vitti odpowiedział: „Tego nie wiem. Pary grających zawsze wracały potem razem na grilla, to chyba jasne, nie?” Gdy śledczy przycisnął go trochę, chłopak powiedział, że ewentualnie mogło coś być między Suzanne a Jimmym Weeksem.

Właśnie to nazwisko obudziło zainteresowanie Kerry. Policjant zanotował, że zeznania Vittiego nie można traktować poważnie, gdyż Weeks miał w klubie opinię podrywacza. Sam kategorycznie zaprzeczył, jakoby cokolwiek łączyło go z Suzanne. Powiedział, że nigdy nie spotykał się z nią poza klubem, a poza tym w okresie morderstwa miał kilka innych romansów - no i żelazne alibi na krytyczną noc.

Kerry doczytała do końca zeznanie chłopca od piłek. Przyznał, że pan Weeks odnosił się tak samo do wszystkich pań, zwracając się do nich per: „kotku”, „złotko” lub „kochanie”. Zapytany, jak pan Weeks zwracał się do Suzanne, powiedział, że kilka razy usłyszał pieszczotliwe określenie „rózyczko”.

Kerry podniosła zmęczone oczy znad raportów. Jimmy Weeks - klient Boba. Czyżby dlatego jej eksmąż zareagował tak gwałtownie na wiadomość, że ona kontaktuje się z Geoffem Dorso?

Wszyscy w prawniczym środowisku wiedzieli, że Geoff jest adwokatem Skipa Reardona i że z uporem, choć bez sukcesów, występuje z kolejnymi odwołaniami od wyroku. Czyżby Bob, jako adwokat Weeksa, obawiał się że w nowym procesie może wypłynąć nazwisko je go klienta?

„Kilka razy słyszałem, jak mówił do niej «rózyczko»»,... Te słowa wciąż prześladowały Kerry.

Pełna niepokoju i domysłów położyła się wreszcie do łóżka. Michaela Vitti nie powołano na świadka w procesie. Ani Jimmy'ego Weeksa. Czyżby obrona w ogóle nie wiedziała o istnieniu tego świadka? A przecież powinna. Czy na pewno adwokaci Reardona rozmawiali z Jasonem Arnottem na temat innych mężczyzn, z którymi Suzanne kontaktowała się na jego przyjęciach?

Niech tylko przyjdą zdjęcia od ojczyma. Prawdopodobnie będzie tak, jak mówiłam Joemu, pomyślała Kerry. Suzanne z pewnością na brała nowojorskiego szlifu, nauczyła się makijażu i objawiła jako piękność. Miała przecież pieniądze z ubezpieczenia po zmarłej matce. Dok tor Smith wyparł się wszelkich zabiegów chirurgicznych...

Poczekamy, zobaczymy.

51

W czwartek rano Kate Carpenter przyszła do pracy za kwadrans dziewiąta. Nie miała zaplanowanych żadnych pilnych zajęć; pierwszy pacjent zapisany był na dziesiątą; doktora Smitha jeszcze nie było.

Recepcjonistka spojrzała na nią z zakłopotaną miną.

- Kate, Barbara Tompkins prosi cię o kontakt. Mówi, że to ważne i że nie chce, by doktor dowiedział się o jej telefonie.

- Chyba nie ma jakichś powikłań? - spytała zaniepokojona Kate. - Od zabiegu minął przeszło rok.

- Nic nie mówiła o zabiegu. Powiedziałam, że pewnie zaraz przyjdiesz. Czeka w domu.

Kate, nie zdejmując płaszcza, weszła do recepcyjnej klitki i wykręciła numer Barbary.

Z przerażeniem i niesmakiem słuchała opowieści dziewczyny o tym, że doktor Smith obsesyjnie ją śledzi.

- Nie wiem, co robić - mówiła Barbara. - Jestem mu przecież ogromnie wdzięczna, sama pani wie najlepiej, pani Carpenter. Ale zaczynam się bać.

- Nigdy się do pani nie zbliżył?

- Nigdy.

- Proszę dać mi trochę czasu. Przemyślę to i porozmawiam z odpowiednią osobą. Niech pani na razie nikomu o tym nie opowiada. Doktor Smith jest znakomitym specjalistą. Nie chciałabym, żeby to miało zepsuć jego opinię.

- Nigdy mu się nie wywdzięczę za to, co dla mnie zrobił - powiedziała cicho Barbara Tompkins. - Ale błagam, niech pani działa szybko.

52

O jedenastej zadzwoniła Grace Hoover, zapraszając Kerry i Robin na niedzielny obiad.

- W ogóle się ostatnio nie widzimy - powiedziała. - Stęskniłam się za wami, dziewczęta. Przyjedźcie koniecznie, obiecuję, że Celia dokona cudów.

Celia opiekowała się domem Hooverów w czasie weekendów i była o niebo lepszą kucharką od pani, która prowadziła gospodarstwo od poniedziałku do piątku. Gdy Celia wiedziała, że Robin ma być na obiedzie, szykowała jej transport pysznych czekoladowych ciasteczek na cały tydzień.

- Oczywiście, że przyjedziemy - ciepłym głosem obiecała Kerry. Niedziela to taki rodzinny dzień, pomyślała, odkładając słuchawkę. W każdą niedzielę próbowała zapewnić córce jakieś atrakcje. Chodziły na wystawy, do kina lub do teatrów na Broadwayu. Gdyby żył tata... Na pewno mieszkaliby z mamą niedaleko. Gdyby Bob Kinellen był takim facetem, jakim go sobie wyobrażałam... Stop. Nie wolno pozwalać sobie na takie idiotyczne gdybanie. Robin i ja powinnyśmy się cieszyć, że są Jonathan i Grace. Zawsze będziemy miały w nich oparcie.

Do pokoju weszła sekretarka Janet, zamykając za sobą drzwi.

- Kerry, czy miałaś umówione spotkanie z panią Deidre Reardon i zapomniałaś mi o tym

powiedzieć?

- Deidre Reardon? Nie, pierwszy raz słyszę.

- Siedzi w poczekalni i mówi, że nie wyjdzie, póki z tobą nie porozmawia. Mam wezwać ochroniarzy?

- Nie, poproś ją tutaj - powiedziała Kerry. O Boże, to przecież matka Skipa. Czego ona może chcieć?

Deidre Reardon od razu przystąpiła do rzeczy.

- Nie mam zwyczaju nachodzić obcych ludzi, pani McGrath, ale tym razem jest to sprawa życiowej wagi. Była pani w więzieniu na widzeniu z moim synem. Musiała pani mieć ku temu powody. Coś obudziło pani wątpliwości, czy aby wydano sprawiedliwy wyrok. Otóż na pewno nie. Znam swego syna i wiem, że jest niewinny. Więc dlaczego, skoro najpierw się pani zaangażowała, teraz nie chce pani pomóc Skipowi? Po tym, co wyszło na jaw na temat doktora Smitha?

- To nie całkiem tak, pani Reardon. Nieprawda, że nie chcę pomóc Skipowi. Ja po prostu nie mogę mu pomóc. Nie znalazłam żadnych nowych dowodów. Istotnie, to nie całkiem normalne, że doktor Smith nadaje pacjentkom rysy zmarłej córki, ale trudno uznać, że postępuje wbrew prawu. Być może tak właśnie objawia swój żal.

Wyraz twarzy Deidre Reardon zmienił się z zaniepokojonego na zagniewany.

- Proszę pani, doktorowi Smithowi obce jest pojęcie żalu. W ciągu czterech lat, kiedy Suzanne i Skip byli małżeństwem, widziałam go ledwie parę razy. Nie miałam najmniejszej ochoty na bliższe kontakty z tym człowiekiem. Odnosił się do córki w sposób zupełnie nienormalny, wręcz zboczony. Pamiętam, co zrobił, kiedy zobaczył, że Suzanne ma smugę rozmazanego tuszu na policzku. Poderwał się i wytarł ją. Robił to tak, jak się odkurza cenną rzeźbę w muzeum. Był z niej dumny niczym z dzieła sztuki. Ale nie było w tym za grosz uczucia. Z całą pewnością nie.

Geoff też mówił o chłodnym, obojętnym zachowaniu Smitha na sali sądowej, przypominała sobie Kerry. To jednak oczywiście niczego nie dowodzi.

- Pani Reardon, rozumiem pani uczucia, ale... - zaczęła.

- Nic pani nie rozumie! - przerwała gwałtownie Deidre. - Mój syn nie jest zdolny do przemocy. Ani pani, ani ja nie potrafiłybyśmy udusić paskiem Suzanne i on też by tego nigdy nie zrobił. Niech pani raczej pomyśli o tym, jaki charakter musi mieć człowiek zdolny do takiej zbrodni. Co to musi być za potwór. Bo to potwór zabił tamtej nocy Suzanne. A teraz niech pani pomyśli, czy Skip pasuje do tego obrazu. - Łzy jak groch potoczyły się po pomarszczonych policzkach. - Czy jest pani ślepa i głucha? Czy nie dotarło do pani, jaki to dobry i poczciwy człowiek? Czy mój syn wygląda na mordercę?

- Pani Reardon, zajęłam się tą sprawą tylko z powodu obsesji doktora Smitha, a nie z przekonania o niewinności pani syna. O tym zdecydował sąd. W sprawie kilkakrotnie bez skutku apelowano. Ja na prawdę nic więcej nie mogę zrobić.

- Pani ma córkę, prawda?

- Tak.

- To niech sobie ją pani wyobrazi siedzącą od dziesięciu lat za kratami i mającą do odsiedzenia jeszcze dwadzieścia za zbrodnię, której nie popełniła. Uważa pani, że byłaby zdolna do zbrodni?

- Uważam, że nie.

- Mój syn też nie. Proszę, niech pani coś zrobi, pani McGrath. Akurat pani może nam pomóc. Nie wolno pani porzucać Skipa. Nie wiem, czemu doktor Smith tak nakłamał na jego temat, ale mam swoją hipotezę. Był po prostu o niego zazdrosny. Nie mógł znieść, że Skipowi dostała się Suzanne. Proszę to przemyśleć.

- Pani Reardon, jako matka rozumiem pani ból - łagodnie odezwała się Kerry, patrząc na pobrużdżoną, zrozpaczoną twarz.

- Widzę, że nie obchodzi pani nic, co powiedziałam - rzekła starsza kobieta, wstając. - Geoff wspominał, że ma pani zostać sędzią. Niech Bóg strzeże tych, których będzie pani w przyszłości sędzić.

Kerry z przerażeniem patrzyła na poszarzałą nagle twarz kobiety.

- Pani Reardon, co pani jest? - krzyknęła.

Kobieta trzęsącymi rękami otworzyła torebkę, wyjęła fiolkę i wytrząsnęła z niej pigułkę. Wsunęła ją pod język, wstała i wyszła z biura.

Przez kilka długich jak wieczność minut Kerry siedziała bez ruchu, wpatrzona w zamknięte drzwi. Potem sięgnęła po czystą kartkę. Na pisała na niej:

1. Czy doktor Smith operował Suzanne?

2. Czy mały Michael widział czarnego mercedesa typu sedan przed bramą Reardonów? Czy sprawdzono rejestrację, z której jedną cyfrę i jedną literę zapamiętała Dolly Bowles?

3. Czy Jimmy Weeks miał romans z Suzanne? A jeśli tak, to czy Bob o tym wie i boi się, żeby sprawa nie wyszła na jaw?

Wpatrywała się w zapisane pytania, a przed jej oczami uporczywie i oskarżycielsko pojawiała się uczciwa, ściągnięta bólem twarz Deidre Reardon.

53

Geoff Dorso spędził rano w sali sądu w Newark. Udało mu się uzyskać wyrok w zawieszeniu dla swego klienta - osiemnastolatka, który chciał się przejechać z kumplami gablotą tatusia i przy okazji wpakował się na ciężarówkę. Jej kierowca wyszedł z wypadku ze złamaną ręką i nogą.

Okoliczności łagodzące stanowiło to, że chłopak nie pił alkoholu, miał dobrą opinię i wyraził autentyczną skruchę. Otrzymał zakaz prowadzenia samochodu na dwa lata i nakaz przepracowania stu godzin przy robotach publicznych. Geoff był bardzo zadowolony. Gdyby chłopak, zamiast chodzić do szkoły, miał trafić do więzienia, źle by się to skończyło.

Mając, rzecz niezwykła, do dyspozycji całe czwartkowe popołudnie, Geoff postanowił z ciekawości wpaść na proces Jimmy'ego Weeksa. Chciał usłyszeć mowy otwierające rozprawę i poobserwować Boba Kinellena w akcji.

Usiadł dyskretnie w ostatnim rzędzie. Zauważył mnóstwo reporterów. Nic dziwnego. Weeksowi tyle razy udało się wywinąć wymiarowi sprawiedliwości, że zyskał w mediach przydomek Teflonowy Jimmy, ukuty na wzór przezwiska jednego z szefów mafii, jak na ironię właśnie odsiadującego dożywocie.

Kinellen dopiero rozpoczął swą mowę. Sprytna sztuka, pomyślał Geoff. Wie, jak zagrać na emocjach przysięgłych, jak udać oburzenie i jak wyśmiać argumenty przeciwnika. Ma przy tym nienaganny wygląd, ocenił Geoff, próbując wyobrazić sobie małżeństwo Kerry z tym gościem. Nie szło mu to łatwo. Faktem jest, że temat nie był zbyt miły. W końcu przynajmniej, pocieszył się, Kerry już nie zależy na byłym mężu. Dobrze i to. A właściwie nie ma sensu w ogóle o tym myśleć, skarcił się w duchu.

Sędzia ogłosił przerwę.

Na korytarzu Geoff natknął się na Nicka Kleina, dziennikarza ze „Star-Ledger”. Po wymianie

powitań Geoff zauważył:

- Coś dużo was tu, gryzipiórków, nie?

- Szykują się rewelacje - powiedział Nick. - Mam wtyczkę w biurze prokuratora generalnego. Układają się z Barneyem Haskelllem. Na razie ich oferta go nie zadowala, ale zobaczymy, co będzie dalej. Puścił farbę, że to, co wie, wystarczy, żeby zrobić Jimmy'ego w morderstwo, za które siedzi ktoś inny.

- Chciałbym mieć takiego świadka jak Haskell - westchnął Geoff.

54

O czwartej Joe Palumbo odebrał ekspresową przesyłkę od Wayne'a Stevensa. Niecierpliwie otworzył kopertę i wyjął z niej dwa pliki amatorskich zdjęć, ściągnięte gumką. Do jednego przypięty był list:

Szanowny Panie Palumbo,

dopiero gdy zacząłem przeglądać fotografie, dotarła do mnie cała ta tragedia. Nie mogę się otrząsnąć. Susie nie była łatwym dzieckiem. Zdjęcia opowiedzą panu całą historię życia w naszym domu. Moje rodzone córki od dzieciństwa były śliczne, a Susie nie. Biedna dziewczyna wyrastała w poczuciu niesprawiedliwości i zazdrości.

Jej matka, a moja świętej pamięci małżonka, też czuła pretensje do moich dziewczynek o powodzenie, którego jej własne dziecko nie miało. Przykro mi to wspominać, ale taka sytuacja powodowała w naszym domu mnóstwo tarć i konfliktów. Przyznaję, że cały czas miałem nadzieję, iż po latach dojrzała i mądra Susie pojawi się u nas i znów będziemy jedną rodziną. Gdy chciała, potrafiła być bardzo miła i kochana.

Mam nadzieję, że te zdjęcia pomogą panu w pracy

*Z poważaniem
Wayne Stevens*

W dwadzieścia minut później Joe wpadł do pokoju Kerry. Rzucił jej zdjęcia na biurko.

- Na wypadek, gdybyś się upierała, że to suknia zdobi człowieka - powiedział z ironią.

Około piątej Kerry zadzwoniła do gabinetu doktora Smitha. Niestety, już wyszedł. Spytała zatem, czy może rozmawiać z panią Carpenter.

- Ile lat pracuje pani u doktora, pani Carpenter? - spytała.

- Cztery. A czemu pani pyta?

- Wydawało mi się, że dłużej.

- Nie.

- Chciałam spytać, czy była już pani u niego, gdy operował swoją córkę Suzanne lub poprosił któregoś z kolegów o dokonanie zabiegu. Mogę pani powiedzieć, jak wyglądała. W gabinecie doktora Smitha widziałam dwie pacjentki o identycznych twarzach. Sprawdziłam ich nazwiska. Barbara Tompkins i Pamela Worth mają wierne kopie twarzy zmarłej córki doktora. Oczywiście po zabiegu, jaki przeszła. - Kerry usłyszała w słuchawce mimowolne westchnienie.

- Nie wiedziałam, że doktor miał córkę - powiedziała pani Carpenter.

- Zmarła prawie jedenaście lat temu. Została zamordowana, a wyrok sądu obciążył winą jej męża, który siedzi w więzieniu i cały czas powtarza, że jest niewinny. Doktor Smith był głównym

świadkiem oskarżenia.

- Pani McGrath - odparła pielęgniarka - czuję się okropnie niełojalna wobec pracodawcy, ale uważam, że powinna pani jak najszybciej porozmawiać z Barbarą Tompkins. Podam pani jej numer - dodała, wyjaśniając Kerry, dlaczego powinna skontaktować się z wystraszoną Barbarą.

- Więc doktor Smith ją napastuje! - wykrzyknęła Kerry. Przez głowę przelatywało jej mnóstwo możliwych interpretacji.

- Może nie aż tak... ale ją obserwuje - złagodziła jej słowa pielęgniarka. - Podyktuję pani oba numery, do domu i do pracy.

- Pani Carpenter, muszę porozmawiać z doktorem Smithem, a wiem na pewno, że nie będzie się chciał ze mną umówić. Będzie jutro w pracy?

- Będzie, ale ma bardzo wypełniony dzień. Nie skończy przed czwartą po południu.

- Przyjadę, tylko niech go pani nie uprzedza. - Nagle Kerry coś jeszcze przyszło do głowy. - Czy doktor ma samochód?

- Tak. Mieszka przy Washington Mews w szeregowym domku z garażem, więc nie ma problemów z parkowaniem.

- Jaki to model?

- Ten co zawsze. Doktor jest tradycjonalistą. Czterodrzwiowy mercedes sedan.

- Jakiego koloru? - Kerry mocniej ścisnęła w dłoni słuchawkę.

- Czarny.

- Mówiła pani, że ma zawsze takie same samochody. Czyli że to nie jego pierwszy mercedes?

- Mówiłam, że jeździ tym samym samochodem. Ma go od dwunastu lat. Wiem, bo słyszałam jego rozmowę z jednym z pacjentów, który jest przedstawicielem firmy.

- Bardzo dziękuję, pani Carpenter. - Kerry odkładała właśnie słuchawkę, gdy zjawił się u niej ponownie Joe Palumbo.

- Kerry, czy była u ciebie matka Skipa Reardona?

- Tak.

- Nasz Wódz zobaczył ją na korytarzu i rozpoznał. Śpieszył się akurat na spotkanie z gubernatorem, ale chciał wiedzieć, co ona, u diabła, tu robiła.

55

Geoff Dorso w czwartkowy wieczór wrócił wcześniej do domu. Stał przy oknie i wpatrzył się w panoramę Nowego Jorku. Przez cały dzień udawało mu się nie dopuszczać myśli o przykrym pożegnaniu z Kerry, ale teraz ironia i złośliwość słów „dobranoc, Wysoki Sądzie” wróciła jak bumerang.

Ale ze mnie świnia, pomyślał. Kerry z własnej nieprzymuszonej woli zadzwoniła do mnie, a potem przeczytała stenogram procesu. Stać ją było na rozmowy z doktorem Smithem i Dolly Bowles. Wybrała się do Trenton, żeby pogadać ze Skipem. Dlaczego więc mam pretensje, że boi się o swoją sędziowską karierę, zwłaszcza że nie zdołałem jej przekonać o niewinności Skipa?

Nie miałem prawa tak się do niej odezwać. Muszę ją przeprosić. Nie zdziwię się, jeśli jest na mnie obrażona. Trudno, muszę być mężczyzną. Sam sobie ubzdurałem, że im głębiej Kerry angażuje się w sprawę Reardonów, tym bardziej będzie wierzyć w niesprawiedliwość wyroku. Nie miałem do tego żadnych podstaw. To naturalne, że zgodziła się z wyrokiem sądu. Naprawdę trzeba być świnia, żeby jej zarzucać niskie pobudki.

Geoff wcisnął dłonie w kieszenie. Drugiego listopada. Za trzy tygodnie Święto Dziękczynienia.

Jedenaste święto Skipa w więzieniu. Pani Reardon przejdzie kolejną operację serca. Dziesięć lat oczekiwania na cud przyplącała własnym zdrowiem.

Z tej całej awantury jest przynajmniej jedna korzyść, pomyślał. Dzięki Kerry, choćby nie wierzyła w niewinność Skipa, otworzyły się dwie nowe drogi dla śledztwa. Po pierwsze, ważne jest zeznanie Dolly Bowles i wzmianka na temat „dady auta”. Po drugie, zboczona potrzeba doktora Smitha, żeby powielać rysy zmarłej córki na twarzach innych kobiet. To całkiem nowe elementy w wałkowanej do znudzenia historii.

Tok myśli przerwał mu dzwonek telefonu. Kusiło go, żeby nie odbierać, ale w uszach zabręczały mu pamiętane z młodości żartobliwe słowa matki: „Dlaczego nie podnosisz słuchawki, Geoff? Może to wiadomość, że wygrałeś milion dolarów?”

Okazało się, że dzwoni Deidre Reardon. Opowiedziała mu o rozmowie ze Skipem i Kerry.

- Powiedz, Deidre, że to nieprawda. Nie mogłaś jej tego wszystkiego powiedzieć. - Geoff nie ukrywał, że jest załamany.

- Owszem, powiedziałam. I wcale nie jest mi z tego powodu przykro - dodała matka Skipa. - Geoff, zrozum, że jedyną rzeczą, jaka trzyma Skipa przy życiu, jest nadzieja. A ta kobieta samolubnie odebrała mu tę nadzieję.

- Deidre, to właśnie dzięki Kerry otworzyły się nowe perspektywy w śledztwie. Zbadam je. To naprawdę ważne.

- Pojechała do więzienia, spojrzała w twarz mego syna, porozmawiała z nim i wyszła w przekonaniu, że jest zabójcą - twardo powiedziała pani Reardon. - Przykro mi, Geoff. Jestem starą, zmęczoną i zgorzkniałą kobietą. Nie wycofuję ani słowa z tego, co wygarnęłam Kerry McGrath. - Bez pożegnania odłożyła słuchawkę.

Geoff wziął głęboki oddech i wykręcił numer Kerry.

Gdy Kerry wróciła do domu i zwolniła opiekunkę, Robin powiedziała krytycznie:

- Wyglądasz na wykończoną, mamo.

- Bo jestem wykończona, dziecko.

- Ciężki dzień?

- Można to tak nazwać.

- Pan Green się ciebie czepia?

- Jutro zacznie. Ale nie mówmy o tym teraz. Chciałabym chociaż na chwilę o wszystkim zapomnieć. A jak tobie poszło?

- Fajnie. Myślę, że Andy się we mnie kocha.

- No, no, no! - Kerry wiedziała, że Andy ma opinię najfajniejszego go chłopaka wśród piątoklasistów. - Skąd wiesz?

- Powiedział Tomowi, że nawet z plastrami na twarzy wyglądam sto razy lepiej niż inne laski w naszej klasie.

- I to ma być komplement? - spytała Kerry, puszczając oko.

- No jasne! Co będzie na kolację?

- Zrobiłam po drodze zakupy. Co powiesz na cheeseburgera?

- Super!

- Nie bardzo, ale postaram się, żeby był smaczny. Musisz się pogodzić z tym, Robin, że gotowanie nie jest najmocniejszą stroną twojej matki.

Zadzwoił telefon. Okazało się, że to Cassie.

Potrzymaj na chwilę - powiedziała Robin, oddając matce słuchawkę, i pobiegła na rozmowę do

swego pokoju.

Usłyszawszy w słuchawce zdyszane „już jestem”, Kerry odłożyła ją i usiadła przy stole, żeby przejrzeć pocztę. Od razu zwróciła uwagę na zwykłą białą kopertę bez znaczka i adresu, z wypisanym drukowanymi literami jej nazwiskiem. Rozerwała ją. Z koperty wypadła fotografia. Kerry spojrzała na nią i zamarła.

Na zwykłej polaroidowej fotce zobaczyła Robin wychodzącą z domu. Dziewczynka dźwigała pod pachą szkolne książki. Miała na sobie granatowe spodnie, te, które nosiła we wtorek - w ten sam wtorek, kiedy przestraszyła się samochodu.

Wargi Kerry zadrżały. Odchyliła się do tyłu, jakby dostała cios w żołądek. Oddychała szybko i nierówno. Kto to zrobił? Kto sfotografował Robin, potem ją postraszył, a teraz podrzucił mi to zdjęcie? - myślała gorączkowo.

Usłyszała, jak córka zbiega po schodach. Szybko wsunęła fotografię do kieszeni.

- Mamo, Cassie przypomniła mi, że powinnam obejrzeć program na kanale Discovery, właśnie teraz. Będzie o tym, co właśnie przerabiamy w szkole. To chyba się nie zalicza, do rozrywek, prawda?

- Oczywiście, że nie. Idź oglądać.

Po chwili telefon znów zadzwonił. Tym razem był to Geoff Dorso. Gdy próbował się tłumaczyć, Kerry w ogóle nie dopuściła go do głosu.

- Słuchaj, Geoff, przed chwilą przeglądałam listy i wiesz, co dostałam? - Opowiedziała mu o fotografii w białej kopercie. - Robin miała rację - dodała prawie szeptem. - Ktoś ją obserwował z tego samochodu. O Boże, pomyśl, że mógł ją porwać. Zaginęłaby, jak tamta dwójka dzieci z Nowego Jorku parę lat temu. O Boże!

- Kerry, przestań tak mówić. - Geoff nieomylnie rozpoznał ton rozpaczy i panicznego strachu. - Nie pokazuj małej tego zdjęcia i spróbuj się opanować. Już jadę. Będę u was za pół godziny.

56

Tego dnia doktor Smith od razu wyczuł, że Kate Carpenter odnosi się do niego inaczej niż zwykle. Kilka razy przyłapał ją na ukradkowych, podejrzliwych spojrzeniach. Zaczął się zastanawiać, co ją ugryzło.

Wieczorem zasiadł w swoim ulubionym fotelu w bibliotece ze szklaneczką w rękę. Wciąż rozmyślał nad przyczynami dziwnego zachowania pielęgniarki. Pewien był, że Kate poprzedniego dnia zauważyła lekkie drżenie jego ręki podczas operacji nosa. Nie tłumaczyło to jednak niezwykłego dystansu, z jakim zaczęła go traktować. Cokolwiek było tego przyczyną, przyszło z zewnątrz - tego był pewien.

Winił się za słabość. Nie powinien był ulegać impulsom. Niepotrzebnie śledził wieczorem Barbarę Tompkins. Gdy zmuszony był zatrzymać samochód na światłach tuż przed jej domem, odwrócił twarz w drugą stronę, ale niewykluczone, że dziewczyna go spostrzegła.

Z drugiej strony nic w tym dziwnego - w centrum Manhattanu człowiek często natyka się na znajome twarze. Jego obecność nie po winna zatem budzić niepokoju ani zdziwienia.

Niestety, ukradkowy rzut okiem na urodę Barbary już mu nie wystarczał. Pragnął się jej przyglądać. Patrzyć na nią. Rozmawiać z nią sam na sam. Data następnej kontroli wypadła dopiero za dwa miesiące. Musiał się z nią przedtem zobaczyć. Nie potrafił czekać tak długo, by znów podziwiać jej uśmiechnięte, piękne oczy, wydobyte wreszcie spod ciężkiej fałdy powiek jak diamenty ze skały.

Nie była Suzanne. Żadna jej nie zastąpi. Ale, podobnie jak Suzanne, Barbara zżyła się ze swym nowym wizerunkiem i wypełniła piękną powierzchowność interesującą osobowością.

Dobrze pamiętał pospolitą, nieciekawą istotę, która pojawiła się pewnego dnia w jego gabinecie. W rok po operacji Suzanne całkowicie przeistoczyła się w inną kobietę, zarówno fizycznie, jak duchowo.

Smith uśmiechnął się lekko na wspomnienie tego, jak znakomicie jego córka opanowała subtelną mowę ciała. Każdy jej ruch sprawiał, że mimowolnie wędrowały za nią oczy mężczyzn. Podczas rozmowy przechylała lekko głowę z udanym zainteresowaniem, dając partnerowi poczucie, że jest najwspanialszym facetem na świecie. Potrafiła zmienić nawet barwę głosu - po operacji zaczęła mówić o ton niżej, zmysłowym, niemal łóżkowym szeptem. Niby przypadkiem prowokacyjnie przeciągała palcem po grzbiecie dłoni rozmawiającego z nią mężczyzny - gdyż zawsze, i wcale nie przypadkiem, byli to wyłącznie mężczyźni.

Gdy pewnego razu pozwolił sobie na komentarz dotyczący tych sztuczek, powiedziała mu: „Przeszłam najlepszą szkołę, w której wykładały moje przyrodnie siostry. Tyle że bajka wyszła trochę na bakier. One były pięknosciami, a ja brzydkim Kopciuszkim. Zamiast dobrej wróżki znalazłam ciebie”.

Jego niewinny z początku kompleks Pigmaliona zaczął stopniowo przeradzać się w koszmar. Suzanne, która po operacji odnosiła się do niego z miłością i szacunkiem, z czasem zaczęła go lekceważyć i unikać. Nie przyjmowała dobrych rad. Nie miała zasad - niewinne flirty szybko zamieniły się w przygody seksualne. A przecież tyle razy ostrzegał ją, żeby nie igrała z ogniem, bo zemsta Skipa Reardona będzie straszna. Zabije ją za zdradę.

Każdy mąż budzącej takie pożądanie żony byłby zdolny do morderstwa, pomyślał z całkowitym przekonaniem doktor Smith.

Wzdrygnął się, zapatrzony w pustą szklankę. To koniec. Nigdy już nie osiągnie tak idealnego efektu jak w przypadku Suzanne. Powinien rozstać się z zawodem, zanim nadeszła klęska. Teraz było już za późno. Atakowała go choroba Parkinsona.

Mimo że Barbara nie stała się Suzanne, spośród wszystkich żyjących pacjentek najlepiej świadczyła o jego chirurgicznym geniuszu. Sięgnął po słuchawkę.

Usłyszał stłumione „halo”. Ton jej głosu zaskoczył go. Był nienaturalny, i to chyba nie z powodu stresów.

- Barbaro, czy coś się stało? Mówi doktor Smith.

Gwałtownie nabrała powietrza, wyraźnie to słyszał. Powiedziała:

- Och nie, nie, skądże, panie doktorze. A co u pana słychać?

- Wszystko w porządku. Chciałbym jednak prosić panią o drobną grzeczność. Właśnie wyszedłem z odwiedzin u umierającego przyjaciela w Lenox Hospital i jestem trochę przybity. Może zje pani ze mną kolację? Przyjadę po panią o wpół do ósmej.

- Ja... doprawdy, jestem zaskoczona....

- Błagam, Barbaro - próbował zdobyć się na żartobliwy ton. - Sama pani mówiła, że zawdzięcza mi całkiem nowe życie. Dlaczego nie miałyby pani poświęcić z niego dwóch krótkich godzin?

- Ależ oczywiście, doktorze.

- To cudownie. Będę punktualnie.

- Dobrze.

Smith, odkładając słuchawkę, uniósł lekko brwi. Czyżby dosłyszał w jej głosie nutkę rezygnacji? Odpowiadała tak niechętnie, jakby siłą zmuszał ją do czegoś, na co bardzo nie miała ochoty.

Jeśli trafnie wyczuł, była to kolejna cecha, upodabniająca ją do Suzanne.

Jason Arnott nie mógł pozbyć się uczucia, że coś jest nie tak. Cały dzień w Nowym Jorku spędził w towarzystwie Very Shelby Todd, niezmordowanie polującej na perskie dywany.

Vera zamówiła sobie jego asystę już od rana. Miała pięćdziesiąt dwa lata i pochodziła ze znanej rodziny Shelbych z Rhode Island. Zamieszkiwała jedną z eleganckich rezydencji w Tuxedo Park. Była przyzwyczajona do tego, że wszyscy wokół spełniają jej życzenia. Po śmierci pierwszego męża poślubiła Stuarta Todda, lecz nie pozbyła się domu w Tuxedo. Teraz, korzystając z niewyczerpanego konta Todda, często umawiała się z Jasonem na zakupy, by buszować po sklepach i aukcjach w poszukiwaniu niezwykłych okazji.

Jason nie poznał jej w New Jersey, lecz na galowym wieczorze u Shelbych w Newport. Zapoznali ich oboje jej krewni. Kiedy Vera usłyszała, jak blisko jej domu w Tuxedo mieszka Jason, zaczęła zapraszać go na przyjęcia i sama w rewanżu ochoczo przyjmować zaproszenia z jego strony.

Jason świetnie się bawił w duchu, gdy Vera z przejęciem i drobiazgowo opowiadała mu o śledztwie w sprawie kradzieży w Newport, jakiej dokonał przed laty. „Moja kuzynka Judith była strasznie zdumiona - zwierzała mu się. - Nie mogła zrozumieć, dlaczego złodziej zabrał obrazy Picassa i Gainsborougha, a zostawił, Van Eycka. Oddała go do ekspertyzy i okazało się, że złodziej miał nosa - van Eyck był fałszywy. Judith nie mogła tego przeboleć, ale dla reszty rodziny był to niezły ubaw, gdyż zanudzała nas paplaniem w kółko o wspaniałej technice dawnych mistrzów”.

Dziś, po wyczerpujących poszukiwaniach wśród stosów kosztownych dywanów, z których żaden nie przypadł Verze do gustu, Jason marzył tylko o jednym - żeby wreszcie się uwolnić od tej harpii.

Ale najpierw przyjął zaproszenie na obiad w „Four Seasons”. Przyjemny posiłek znacznie podniósł go na duchu. Czuł się świetnie do chwili, gdy przy kawie Vera wspomniała mimochodem:

- Mówiłam ci już o postępach w śledztwie? Pamiętasz tę starą historię rabunku na Rhode Island?
- Oczywiście. - Jason zrobił współczującą minę. - To było straszne.
- Fakt - przytaknęła Vera. - Ale wczoraj zadzwonili do Judith z FBI. Ostatnio w Chevy Chase zdarzyło się podobne włamanie. Kamera zarejestrowała złodzieja. Faceci z FBI uważają, że to ten sam, który włamał się do Judith i jeszcze kilku innych domów.

Jason poczuł, że drży każdy nerw jego ciała. Z Judith Shelby widział się zaledwie parę razy w życiu, ostatnio chyba pięć lat temu. Ta osoba z pewnością go nie rozpozna. Ale inne?

- Czy mają wyraźne zdjęcie twarzy? - spytał obojętnym tonem.
- Coś ty! - Vera wybuchnęła śmiechem. - Z tego, co mi mówiła Judith, mają tylko profil, i to w złym oświetleniu. Facet, co prawda, ściągnął maskę, ale nie całkiem, bo na zdjęciu zakrywa mu czoło i głowę. Próbowala rozpoznać go po nosie i ustach, ale w końcu dała sobie spokój.

Jason nie krył westchnienia ulgi, choć dobrze wiedział, że chwilowo nie ma się z czego cieszyć. Jeśli zdjęcie trafiło do Shelbych, z pewnością trafi i do innych poszkodowanych. Poppełnił przecież kilkadziesiąt podobnych włamań.

- Myślę, że Judith już dawno odżałowała tę wpadkę z van Eyckiem - ciągnęła Vera. - Ale w liście dołączonym do zdjęcia napisali, że ten człowiek może być groźny. Szukają go w związku z zabójstwem matki kongresmena Peale'a. Na pewno przyłapała go na gorącym uczynku. Pomyśleć tylko, że Judith też miała zamiar wrócić wcześniej do domu tamtego wieczoru. Nie wiadomo, jak by się to skończyło.

Jason przygryzł wargi. A więc chcą go zrobić w morderstwo pani Peale!

Po wyjściu z „Four Seasons” złapali taksówkę, która zawiozła ich do garażu na Pięćdziesiątej Siódmej Zachodniej, gdzie oboje mieli zaparkowane samochody. Po wylewnych pożegnaniach i zapowiedziach Very, że kiedyś znajdą razem wymarzony dywan, Jason wyruszył do domu w Alpine.

Podczas żmudnej jazdy w górę Henry Hudson Parkway w gigantycznym wieczornym korku zastanawiał się, co mogła uchwycić ukryta kamera. Czy uważny świadek rozpozna w na wpół zamaskowanym osobniku Jasona Arnotta?

Co zrobić? Rzucić wszystko i uciekać? Takie myśli przebiegały mu przez głowę, gdy minął Washington Bridge i skręcił w Palisades Parkway. Przecież nikt nie wie o domu w Catskills. Kupił go pod przybranym nazwiskiem. Poza tym posługiwał się wieloma, na które pozakładał konta w bankach. Miał nawet fałszywy paszport. Kusiło go, żeby natychmiast wyjechać z kraju.

Z drugiej strony jednak, jeśli fotografia wyszła aż tak niewyraźna, jak twierdzi Judith Shelby, to nawet jeśli inni zauważą pewne podobieństwo, dowiedzenie, że Jason jest złodziejem, okaże się prawdopodobnie niemożliwe. Poza tym kto by akurat jego mógł podejrzewać?

Zanim Jason dotarł do domu, podjął męską decyzję. Oprócz zdjęcia z ukrytej kamery policja nie ma żadnego innego materiału - ani odcisków palców, ani śladów buta. Był niezwykle ostrożny i teraz mu się to opłaciło. Nie warto rezygnować z przyjemnego, wygodnego życia tylko dlatego, że zagraża człowiekowi nieuchwytnie niebezpieczeństwo. Zawsze był odważny. Gdyby było inaczej, nie zdobyłby się na tak zuchwałe rabunki.

Nie wolno wpadać w panikę, powiedział sobie. Wystarczy się przyczaić. Żadnych pokus, żadnych włamań. Nie potrzebował pieniędzy, a to, co się stało, powinien potraktować jedynie jako pierwsze poważne ostrzeżenie.

Do domu dotarł przed czwartą. Od razu przejrzał pocztę. Wybrał jedną z kopert i otworzył ją. Na stół wypadła kartka papieru. Jason przyjrzał się jej i wybuchnął śmiechem.

Z pewnością nikt nie skojarzy go z tą niemal komiczną postacią z pończochą na głowie i niewyraźnie zarysowanym nosem, dotykającym prawie małej rzeźby pseudo-Rodina. Mają same śmiecie, zamruczał Jason, układając się do drzemki. Paplanina Very znużyła go. Obudził się akurat na popołudniowe wiadomości o szóstej. Sięgnął po pilota i włączył telewizor.

Głównym tematem dnia był proces Jimmy’ego Weeksa. Lektor powiedział, że jego księgowy Barney Haskell doszedł do porozumienia z urzędem prokuratora generalnego i będzie zeznawał jako koronny świadek oskarżenia.

Byłbym jeszcze lepszym świadkiem, pomyślał Jason. Zawsze dobrze mieć jakiegoś asa w rękawie. Ale ja, oczywiście, nigdy nie będę zmuszony nim zagrać.

58

Robin wyłączyła odbiornik akurat w momencie, gdy zadzwieczał dzwonek do drzwi. Była uszczęśliwiona, słysząc głos Geoffa Dorso. Jak strzała popędziła do holu, żeby się z nim przywitać. Zauważyła, że i on, i mama mieli śmiertelnie poważne miny. Uznała, że pewnie się pokłócili, a teraz chcą się pogodzić.

Podczas posiłku mama prawie się nie odzywała, Geoff natomiast żartował i opowiadał mnóstwo zabawnych historyjek o swoich siostrach. Jest strasznie fajny, myślała Robin. Przypominał jej Jimmy’ego Stewarta w filmie „Wspaniałe życie”, który co roku oglądała z mamą na Boże Narodzenie. Miał podobnie ciepły, trochę nieśmiały uśmiech i sposób mówienia, a także niesforne włosy, które za nic nie dawały się porządnie uczesać.

Robin zauważyła, że mama słucha go jednym uchem. Wyczuła, że mają sobie coś ważnego do

powiedzenia i jej obecność tylko im w tym przeszkadza. Postanowiła się poświęcić i pouczyć biologii w swoim pokoju. Gdy po kolacji, pomagając sprzątać ze stołu, powiedziała im o tym, ujrzała w oczach matki wielką ulgę. Właściwie to fajnie, że chce z nim być sam na sam, z nadzieją pomyślała Robin. Może coś z tego wyjdzie.

Geoff stanął przy schodach i nasłuchiwał. Wrócił do kuchni dopiero wtedy, gdy usłyszał trzask zamka w pokoju Robin.

- Pokaż mi to zdjęcie.

Kerry sięgnęła do kieszeni i wręczyła mu fotografię. Geoff przyjrzał się jej bardzo uważnie i wnikliwie.

- Wygląda na to, że każde słowo Robin jest prawdą. Samochód musiał parkować dokładnie naprzeciwko. Właśnie z takiej perspektywy ktoś strzelił to zdjęcie.

- A potem chciał na nią najechać. Wyobraź sobie, co by było, gdy by nagle nie zawrócił? Dlaczego, Geoff, powiedz mi dlaczego?

- Nie wiem, Kerry, ale uważam, że nie wolno tego bagatelizować. Co zamierzasz zrobić?

- Pokazać to rano Frankowi Greenowi. Sprawdzić, czy w naszej okolicy nie grasowali ostatnio pedofile. Odwozić Robin do szkoły samochodem. Nie pozwolić jej wychodzić z domu. Powiadomić szkołę, że ktoś obcy może się moją córką interesować.

- Powiesz jej?

- Jeszcze nie wiem.

- A jej ojcu?

- O Boże, zupełnie o tym nie pomyślałam. Oczywiście, że Bob powinien się o tym dowiedzieć.

- Gdyby to było moje dziecko, też bym chciał wiedzieć - przytaknął Geoff. - To może zadzwoń do niego teraz, a ja naleję jeszcze kawy.

Boba nie było. Alice rozmawiała z Kerry z zimną uprzejmością, jak zawsze.

- Niestety, jeszcze jest w biurze - powiedziała. - Teraz prawie tam zamieszkał. Mam mu coś przekazać?

Nic poza tym, że jego najstarsza córka jest w niebezpieczeństwie i nie ma jej kto obronić, pomyślała Kerry.

- Dziękuję, Alice, sama zatelefonuję do biura. Dobranoc.

Bob odebrał po pierwszym dzwonku. Zbladł, słuchając opowieści Kerry o przygodzie Robin. Nie miał wątpliwości, czyja to robota. Cała akcja, łącznie ze zdjęciem, miała wyraźniejsze niż podpis cechy stylu działania Jimmy'ego Weeksa. Zaczynał od gry nerwów, żeby psychicznie wykończyć przeciwnika. W następnym tygodniu prawdopodobnie przyśle kolejne zdjęcie, zrobione teleobiektywem. Żadnych gróźb. Żadnych listów. Tylko zdjęcia. Zdjęcia, które mówią: zrozum wiadomość albo będzie źle.

Nie musiał udawać, że jest głęboko przejęty - naprawdę był. Zgodził się z Kerry, że dziecko trzeba odwozić do szkoły i ze szkoły.

Gdy skończyli rozmowę, z całej siły walnął pięścią w stół. Nad Jimmym nie można było zapanować. Obaj wiedzieli, że jeśli Haskell zacznie sypać, to już po nich.

Weeks musiał przewidzieć, że Kerry opowie mi o zdjęciu, myślał Kinellen. W ten sposób chce mnie skłonić, abym wpłynął na nią i skłonił ją do porzucenia sprawy Reardona. Chce mnie też zmusić do wysiłku, żebym go za wszelką cenę próbował uniewinnić od oskarżeń. Niestety, nie wie jednej rzeczy. Kerry nie daje się zastraszyć. Podrzucenie jej fotografii to czerwona płachta na byka. Z kolei Kerry nie wie, że jeśli Jimmy Weeks się na kogoś uweźmie, to już po nim.

Bob przypomniał sobie nagle scenę sprzed jedenastu lat. Było to tuż po urodzeniu Robin. Kerry

patrzyła na niego wzrokiem pełnym zdziwienia i wściekłości. Krzyczała: „Rzucasz biuro prokuratora dla pracy w jakiejś kancelarii? Zwariowałeś? Wszyscy ich klienci to przestępcy, jedną nogą w pudle - protestowała. - Zresztą powinni tam tkwić obiema nogami”.

Wywiązała się zażarta kłótnia. Żadne nie ustąpiło. Tę wymianę zdań Kerry zakończyła ostrzeżeniem: „Pamiętaj o starym przysłowiu, Bob. Jak raz wejdiesz między wrony, musisz krakać tak jak one”.

59

Doktor Smith zawiózł Barbarę do „Le Cirque”, bardzo modnej i drogiej restauracji na Manhattanie.

- Niektóre damy wolą spokojne, kameralne miejsca, ale pani, jak sędzę, lubi takie, gdzie ludzie z klasą mogą się nawzajem obserwować - powiedział do swego ślicznego gościa.

Zabrał ją z mieszkania. Nie uszło jego uwagi, że była całkowicie gotowa do wyjścia. Płaszcz leżał na krześle w maleńkim holu, torebka stała na stoliku. Nie zaproponowała mu drinka. Najwyraźniej nie chciała przebywać z nim sam na sam.

Ale w restauracji, gdzie wokół kręciło się mnóstwo ludzi, Barbara odtajała.

- Tu jest zupełnie inaczej niż w Albany - powiedziała. - Codziennie czuję taką radość, jakbym właśnie obchodziła dziesiąte urodziny.

Zaskoczyło go to wyznanie. Przypomniało mu słowa Suzanne, która mówiła, że co dzień czuje się, jak mała dziewczynka, która zaraz otworzy prezenty spod choinki. Niestety, z czarującej, pełnej wdzięczności dziewczynki Suzanne zmieniła się w niewdzięczną kobietę. A przecież chciałem od niej tak niewiele, pomyślał. Czy artysta nie ma prawa do podziwiania własnego dzieła? Dlaczego piękność przezeń stworzona ma się poniewierać wśród jakichś ludzkich śmieci, a on tylko od czasu do czasu może na nią zerknąć z daleka?

Poczuł, że robi mu się gorąco z emocji, gdy zauważył, że choć w lokalu jest wiele eleganckich i ponętnych kobiet, mężczyźni rzucają ukradkowe spojrzenia właśnie na Barbarę. Powiedział jej o tym. Pokręciła przecząco głową, jakby nie chciała przyjąć tego do wiadomości.

- Ależ to prawda - uparcie powtórzył Smith, a jego spojrzenie zrobiło się zimne. - Nie bądź zbyt pewna siebie, Suzanne. Nie miałabyś tego, gdyby nie ja.

Dopiero po kolacji i odwiezieniu Barbary do domu zdał sobie sprawę, że nazwał ją Suzanne. Ciekawe, ile razy zdarzyły mu się podobne przejęzyczenia.

Westchnął i przymknął oczy, wygodnie oparty na tylnym siedzeniu. Gdy kierowca taksówki skręcił do śródmieścia, Charles Smith przypomniał sobie, jak często jeździł wokół domu Suzanne, usiłując dojrzeć ją choćby zza firanki. Jeśli akurat nie grała w golfa, najchętniej siadywała przed telewizorem, nigdy nie zadając sobie trudu, by zasłonić wielkie okna salonu.

Ukradkiem przyglądał jej się, jak wypoczywała skulona w ukochanym fotelu lub, czego nie znosił, siadywała na kanapie obok Skipa Reardona, z nogami wyciągniętymi wygodnie na stoliku, dzieląc z mężem prywatność, której nie chciała ofiarować ojcu.

Barbara była panną. Z tego, co zaobserwował, nie miała stałego partnera. Dziś skłonił ją, by mówiła mu po imieniu. Przypomniał sobie bransoletkę, którą miała na ręce Suzanne w chwili śmierci. Czy powinien ofiarować ją Barbarze? Czy dziewczyna stanie się wówczas przychylniejsza?

Podarował Suzanne kilka sztuk biżuterii. Znakomitej klasy biżuterii. Ale potem zaczęła przyjmować podobne prezenty od innych mężczyzn i zmuszać go, by okłamywał Skipa, że to od niego, od ojca.

Smith poczuł, jak podniecenie po spotkaniu z Barbarą nagle wyparowuje. Zrobiło mu się niemiło. Z zamyślenia wyrwał go głos taksjarza:

- Hej, panie, zasnął pan czy co? Dojechaliśmy.

60

Geoff wyszedł wkrótce po telefonie Kerry do Kinellena.

- Bob uważa, że moja decyzja jest słuszna - powiedziała, pijąc kawę.

- Nic ci nie doradził?

- Oczywiście, że nie. To do niego niepodobne. „Poradzisz sobie, Kerry. Dobrze myślisz, dziewczyno” - i tak dalej.

Odstawiła filiżankę na spodek.

- Nie, nie jestem wobec niego sprawiedliwa. Naprawdę się przejął, a sama nie wiem, jakich rad mogłabym po nim oczekiwać.

Wciąż siedzieli w kuchni. Kerry zgasiła górne światło, bo sądziła, że wypiją kawę w salonie. Teraz paliła się jedynie słaba świetlówka, wmontowana w szczelinę w ścianie.

Geoff patrzył na poważną, skłopotaną twarz *vis a vis*, dostrzegając zarówno smutek orzechowych oczu, jak i twardą, upartą linię pełnych ust, widział wyraźnie zarysowany podbródek, delikatność i kruchość całej sylwetki. Pragnął wziąć tę istotę w ramiona i powiedzieć jej, że może na nim polegać.

Czuł jednak, że ona tego nie chce. Kerry McGrath nie była przyzwyczajona do tego, by na kimkolwiek w życiu polegać. Zamiast tego raz jeszcze spróbował się usprawiedliwić. Wy tłumaczyć uszczypliwe słowa wczorajszego pożegnania, sugerujące, że jest interesowna i samolubna, a także nieoczekiwane najście Deidre Reardon.

- Zdenerwowałem się - powiedział. - Przecież wiem, że gdybyś była do końca osobiście przekonana o niewinności Skipa, akurat ty nie zawahałabyś się ani przez chwilę, żeby mu pomóc. Jesteś uczciwa jak kryształ.

Czyżby? Zastanowiła się Kerry. Nie był to właściwy moment, by podzielić się z Geoffem rewelacją na temat nazwiska Weeksa, znalezionej w protokołach policyjnych ze sprawy Reardonów. Zamierzała mu o tym powiedzieć, ale najpierw chciała spotkać się z doktorem Smithem. Chirurg gwałtownie zaprzeczył, jakoby miał operować Suzanne, ale przecież nie powiedział, że nie posłał jej, na przykład, do kolegi po fachu. Na razie zatem trudno byłoby mu udowodnić świadome kłamstwo.

Geoff zaczął zbierać się do wyjścia. Na chwilę zatrzymali się w holu.

- Wiesz, lubię z tobą być - powiedział. - I nie ma to nic wspólnego ze sprawą Reardonów. Co powiesz na zaproszenie na kolację w sobotę? Poszlibyśmy całą trójką, ty, Robin i ja.

- Będzie uszczęśliwiona.

Geoff wychylił się jeszcze zza zamykanych drzwi i musnął wargą mi policzek Kerry.

- Wiem, że nie trzeba ci o takich rzeczach przypominać, ale zabezpiecz dobrze drzwi i włącz na noc alarm. A przede wszystkim radzę ci, żebyś przed snem nie myślała już więcej o tym zdjęciu.

Kerry przekręciła oba zamki w drzwiach i poszła na górę sprawdzić, co porabia Robin. Mała pochłonięta była pisaniem referatu. Nawet nie usłyszała wejścia matki. Kerry w milczeniu patrzyła na córkę. Widziała tylko plecy okryte długimi, brązowymi włosami, pochyloną nad pracą głowę i stopy owinięte wokół nóg krzesła.

Tak wygląda niewinna ofiara prześladowania, pomyślała Kerry. Robin jest taka sama jak ja. Niezależna. Będzie nieszczęśliwa, kiedy się dowie, że ma być wożona do szkoły niczym małe

dziecko i że nie wolno jej spacerować z Cassie.

A potem odezwał się w jej głowie błagalny głos Deidre Reardon, która pytała, jak Kerry by się czuła, gdyby jej córka już od dziesięciu lat niewinnie siedziała w więzieniu.

Rokowania z prokuraturą nie szły zbyt gładko. O siódmej rano w piątek Barney Haskell spotkał się ze swoim adwokatem Markiem Youngiem w jego eleganckim biurze w Summit, o pół godziny drogi, ale i o całą przepaść oddalonym od sądu federalnego w centrum Newark. Young, szef sztabu obrońców Barneya, był jego rówieśnikiem. Też ma około pięćdziesięciu pięciu lat, ale na tym podobieństwo się kończy, pomyślał z goryczą Barney. Young prezentował się nienagannie, nawet o tak wczesnej porze, miał na sobie mundur prawników - garnitur z tenisu, który leżał na nim jak druga skóra. Ale Barney znał prawdę. Gdy mecenas zdejmował marynarkę, imponujące bary znikaly. Ostatnio „Star-Ledger” poświęcił wziętemu adwokatowi cały artykuł, podkreślając, że nosi garnitury po tysiąc dolarów.

Barney ubierał się na wyprzedających. Jimmy Weeks nigdy nie opłacał go wystarczająco, by mógł sobie pozwolić na coś lepszego. A teraz czekały go długie lata w więzieniu za wierną służbę u Weeksa. Federalni wczepili się chwytem buldoga. Stawiali ostre warunki. Proponowali tylko zmniejszenie wyroku, a nie wolność, gdy wystawi im Jimmy’ego. Chcieliby skazać ich obu.

Może mają dowody, a może nie, kombinował Barney. Uważał, że trochę blefują. Tyle razy był świadkiem, jak adwokaci wyciągali Jimmy’ego z najgorszych opałów. Kinellen i Bartlett byli dobrzy, bardzo dobrzy, i dotąd zawsze udawało im się przechytrzyć policję.

Tym razem jednak, sądząc po wstępnej mowie prokuratora generalnego, policja federalna musi mieć dość konkretne i umotywowane zarzuty, ale boi się, że ten magik Jimmy znów wyciągnie królika z kapelusza.

Barney potarł dłonią pulchny policzek. Doskonale zdawał sobie sprawę ze swego niewinnego wyglądu niezbyt rozgarniętego urzędnika. Dzięki temu ludzie albo go nie zapamiętywali, albo wręcz nie zauważali. Nawet najbliżsi kumple Weeksa traktowali go jak powietrze. Uważali za naiwniaka. Nie mieli bladego pojęcia, że to właśnie on organizuje pranie brudnych pieniędzy, zamieniając nielegalne dochody w legalne inwestycje, i że pod jego kontrolą znajdują się lewe konta bankowe na całym świecie.

- Będiesz objęty rządowym programem ochrony świadków - powiedział Young - ale pod warunkiem co najmniej pięcioletniej odsiadki.

- Za długo - mruknął Barney.

- Sugerowałeś, że możesz zrobić Jimmy’ego w morderstwo. - Young wpatrzył się w nierówno przycięty paznokieć swego kciuka. - Barney, próbowałem jakoś to zamącić, ale się nie udało. Musisz go wydać albo morda w kubel. Gliny nie marzą o niczym innym niż zrobienie Weeksa w mokrą robotę. Gdyby im się udało, mają go z głowy na zawsze - żadnych układów. Jeżeli usiądzie na dożywocie, jego firma się rozleci. I o to tym facetom właśnie chodzi.

- Mogę im dać konkretny ślad. Ale materiał dowodowy to już ich sprawa. Czy oskarżyciel publiczny w tej sprawie nie jest przypadkiem konkurentem Greena do fotela?

- Obaj muszą najpierw dostać rekomendacje partyjne - rzekł Young, sięgając do szuflady po pilnik. - Barney, mam wrażenie, że czas podchodów się skończył. Lepiej opowiedz mi wszystko jak

na spowiedzi. Inaczej nigdy ci nie pomogę.

Pucołowatą twarz Barneya ściągnął nagły grymas. Po chwili jednak czoło mu się wygładziło.

- No dobrze, powiem ci. Pamiętasz sprawę, którą nazywano w gazetach „Śmierć wśród róż”? Chodziło o to, że znaleziono pewną seksowną kobitkę uduszoną, a na zwłokach ktoś rozsypał róże. To było dziesięć lat temu. Green wyjechał na tej sprawie.

- Pamiętam - przytaknął Young. - Wywalczył duży wyrok dla męża. Kasza z mlekiem, ale sprawa była głośna i podniosła pismakom nakłady. - Adwokat zmrużył oczy. - Nie chcesz chyba powiedzieć, że Weeks maczał w tym palce?

- Pamiętasz, jak mąż się upierał, że nie kupił jej tych kwiatów, ale że przysłał je jakiś inny facet, z którym kręciła? - Gdy Young przytaknął, Haskell mówił dalej. - Te róże były od Jimmy'ego Weeksa. Wiem najlepiej, bo sam je dostarczyłem pod wskazany adres za dwadzieścia szóstą. Tego samego wieczoru zginęła. Do kwiatów Weeks dołączył odręcznie napisany bilet. Daj mi kawałek papieru, to ci pokażę, co tam było.

Young popchnął w jego kierunku skoroszyt do notatek telefonicznych. Barney sięgnął po pióro. Po chwili podał prawnikowi notes.

- Jimmy nazywał Suzanne „różyczką” - wyjaśnił. - Umówił się z nią tego wieczoru. A na bilecie było to.

Young przyjrzał się rysunkowi. Było tam sześć nut na pięciolinii, a pod spodem pięć słów: *Kocham cię do utraty tchu*. I litera *J* w podpisie.

Young zanucił początek melodii, a potem spojrzął na Barneya.

- To początek piosenki „Pozwól mi się kochać” - powiedział.

- Zgadza się. Dalej idzie: „Kocham cię do utraty tchu”.

- Gdzie jest ten bilecik?

- W tym właśnie problem. Policja go nie znalazła, a róże były rozsypane na zwłokach. Ja je tylko dostarczyłem, a potem odjechałem. Śpieszyłem się, żeby załatwić interesy Jimmy'ego w Pensylwanii. Po powrocie słyszałem różne plotki. Jimmy oszalał na punkcie tej babki. Wkurzało go nieprzytomnie, że ona działa na kilka frontów. Przysłał jej te kwiaty jako ultimatum - miała się rozwieść i trzymać z daleka od innych facetów.

- A co ona na to?

- Och, ona lubiła grać na męskiej zazdrości. To jej sprawiało frajdę. Jeden z naszych chłopaków ostrzegł ją, że Jimmy w tych sprawach może być niebezpieczny, ale tylko go wyśmiała. Myślę, że tamtego wieczora przeciągnęła strunę. Te róże na martwym ciele to numer akurat w stylu Jimmy'ego.

- A bilet zniknął?

- W każdym razie nie wspomnieli o nim na procesie. Ja sam dostałem polecenie, żeby siedzieć cicho. Wiem, że tego wieczoru kazała Jimmy'emu czekać. Kilku chłopaków mówiło mi, że się wściekał i groził, że ją za to zabije. Sam wiesz, jaki jest, kiedy go ponosi. No i jeszcze jedna sprawa. Jimmy kupował jej różne drogie świecidełka. Wiem, bo płaciłem za nie i mam kopie rachunków. W czasie procesu ciągle gadali o biżuterii. Mąż zeznał, że nic takiego Suzanne nie kupował, ale za to do wszystkich prezentów przyznał się jej ojciec. Pod przysięgą.

Young wydarł z notesu kartkę, którą zapisał Barney, i schował ją do kieszonki na piersi.

- Barney, wydaje mi się, że niedługo zaczniesz nowe wspaniałe życie w Ohio. Zdajesz sobie sprawę, że tym sposobem nie tylko dajesz prokuratorowi generalnemu szansę, żeby przyszpilić Weeksa, ale też możliwość politycznego wykolegowania Greena. Przecież spowodował skazanie niewinnego człowieka.

Wymienili porozumiewawcze uśmiechy.

- Powiedz psom, że zamieszkać wszędzie, byle nie w Ohio - zażartował Barney.

Razem wyszli z biura i ruszyli korytarzem do wind. Jedna z nich zatrzymała się i automatyczne drzwi zaczęły się uchylać. Barney w mgnieniu oka wyczuł, że coś jest nie tak. W windzie nie było światła. Zwierzęcy instynkt kazał mu rzucić się do ucieczki. Za późno. Zginął natychmiast, sekundę przedtem, nim pierwsza kula rozszarpała klapy wartego tysiąc dolarów garnitur Marka Younga.

62

Kerry usłyszała o podwójnym zabójstwie przez radio. Właśnie jechała do biura. Oba ciała znalazła sekretarka Marka Younga. Według raportu policji adwokat i jego klient Barney Haskell o siódmej rano byli umówieni na parking. Wchodząc do biura, Young wyłączył system alarmowy. Pierwszy strażnik pojawił się w pracy dopiero o ósmej.

Gdy sekretarka przyszła za kwadrans ósma, zewnętrzne drzwi zastała otwarte. Uznała, że pewnie szef zapomniał je zamknąć, co mu się zdarzało dość często. Wsiadła do windy, pojechała na swoje piętro i tam dokonała makabrycznego odkrycia.

Reportaż zakończyła wypowiedź Mike'a Murkowskiego, oskarżyciela okręgowego z Essex. Oświadczył on, że obie ofiary zostały obrabowane. Napastnicy mogli śledzić mężczyzn, niepostrzeżenie wejść do budynku i zastrzelić ich mimo próby ucieczki. Barney Haskell otrzymał strzał w tył głowy i nasadę szyi.

Dziennikarz CBS zapytał, czy fakt, że Barney Haskell miał być koronnym świadkiem w procesie Jimmy'ego Weeksa, mógł być potencjalnym motywem tego morderstwa. Krótka odpowiedź brzmiała: „Bez komentarzy”.

No, to dopiero będzie afera, pomyślała Kerry, wyłączając radio. A Bob, jako przedstawiciel Weeksa, znajdzie się w samym oku cyklonu!

Na biurku leżała oczywiście notatka od Franka Greena. Lapidarna jak zawsze: *Przyjdź zaraz*. Kerry rzuciła płaszcz na krzesło i, nie zwlekając, ruszyła korytarzem do biura szefa.

- Po co była u ciebie matka Skipa Reardona? - Frank, swoim zwyczajem, nie tracił słów na darmo. Kerry usiłowała odpowiadać bardzo ostrożnie.

- Przyszła, bo dowiedziała się, że rozmawiałam z jej synem w więzieniu. Zdenerwowała się, gdyż dałam jej wyraźnie do zrozumienia, że nie znalazłam żadnych nowych przekonujących dowodów niewinności Skipa Reardona i nie widzę powodu do kolejnej apelacji.

Zauważyła, że wyraz twarzy Greena stał się mniej zacięty. Nie ulegało jednak wątpliwości, że Frank jest zły jak diabli.

- Mogłaś to usłyszeć ode mnie. Kerry, gdybym dziesięć lat temu miał choćby najmniejszą wątpliwość co do winy Skipa, poruszyłbym niebo i ziemię, żeby znaleźć dowody. Ale nie miałem. Zdajesz sobie sprawę, jaki szum zrobią media, kiedy się dowiedzą, że biuro prokuratora wznowiło śledztwo? Skip Reardon jako niewinna ofiara - w to im graj. Wzrosną nakłady, bo prasa uwielbia skandaliczne historie. Szczególnie jeśli zamieszani są w to ludzie polityki. - Zmrużył oczy i zaczął bębnić palcami w blat biurka. - Nie mogę odżałować, że wtedy jeszcze u nas nie pracowałaś. Powinnaś zobaczyć tę piękną kobietę, bestialsko uduszoną. Aż oczy wyszły jej z orbit. Skip Reardon tak strasznie jej ubliżał przy śniadaniu, że inkasent z elektrowni o mało nie wezwał policji. Zeznał to pod przysięgą. Zawsze byłem pewien, że będziesz dobrym sędzią, Kerry, jeśli będziesz mieć ku temu okazję. Ale dobry sędzia to sędzia sprawiedliwy. A ty popełniasz błędy.

„Jeśli będziesz mieć okazję”. Czyżby to było ostrzeżenie? - zastanawiała się.

- Frank, przykro mi, że cię zdenerwowałam. Ale teraz chciałabym ci powiedzieć o czymś

naprawdę ważnym. - Wyjęła z kieszeni zakietu zdjęcie Robin i podała mu. - Dostałam to wczoraj w białej kopercie wsuniętej do skrzynki, bez adresu. Fotka została zrobiona we wtorek rano, sądząc po ubraniu Robin. Wtedy kiedy zdarzył się ten wypadek z obcym samochodem. Ona nie zmyślała.

Gniew i złość natychmiast zniknęły z twarzy Greena. Zastąpiła je troska.

- Musimy opracować program ochrony.

Poparł plan Kerry, żeby dziewczynkę zawozić i odbierać ze szkoły samochodem.

- Sam sprawdzę, czy nie zarejestrowano w waszej okolicy zbrojeńców. Wciąż mi się wydaje, że twój ostatni skazany może mieć na wolności kumpli, którzy chcą się zemścić. Poproszę ludzi z posterunku w Hohocus, żeby mieli oko na wasz dom. Masz przeciwpożarowy system alarmowy?

- Mam antywłamaniowy.

- To na wszelki wypadek załóż kilka czujników.

- Sądysz, że mogą nas podpalić?

- Bywały takie wypadki. Nie zamierzam cię straszyć, ale strzeżonego pan Bóg strzeże.

Miała już wyjść, gdy wspomniał o morderstwie w Summit.

- Jimmy Weeks pracuje szybko, ale twój były będzie miał huk roboty, żeby go z tego oczyścić.

Nawet bez zeznań Haskella.

- To znaczy, że Haskell naprawdę miał rewelacje!

- No jasne. To tajemnica poliszynele. Cud, że Jimmy Weeks aż tak długo zwlekał z zemstą. W tym środowisku kapusie nie mewają długiego życia.

63

Bob Kinellen dowiedział się o zabójstwie Haskell'a i Younga dopiero za dziesięć dni, kiedy pojawił się w sądzie. Dziennikarze rzucili się na niego. Zdał sobie sprawę, że podświadomie tego się właśnie spodziewał.

Jakim cudem Haskell mógł być takim idiotą, by liczyć na to, że Jimmy odpuści mu kablowanie?

Bob udawał oczywiście, że jest niezmiernie zaskoczony. Jego wypowiedź, że śmierć Haskell'a nie ma nic wspólnego z linią obrony Jimmy'ego Weeksa, zabrzmiała bardzo szczerze.

- James Forrest Weeks to człowiek niewinnie oskarżony - powiedział. - Potencjalna ugoda zmarłego pana Haskell'a z biurem prokuratora generalnego była przedsięwzięciem obliczonym na własną korzyść i zdecydowanie nieuczciwym. Mimo to głęboko ubolewam nad tragiczną śmiercią pana Haskell'a oraz mojego kolegi z branży, Marka Younga.

Udało mu się uciec do windy, a na piętrze nie odpowiedzieć na żadne pytanie dziennikarzy. Jimmy już siedział na sali.

- Wiesz o Haskellu?

- Wiem, Jimmy.

- W dzisiejszych czasach nikt nie jest bezpieczny. Tyle tych kabli na każdym kroku.

- Fakt, Jimmy.

- W tej sytuacji trzeba będzie się przyłożyć, co, Bob?

- Też tak myślę.

- Nie lubię gry na zasadach przeciwnika.

- Wiem o tym, Jimmy.

- To dobrze, że wiesz.

- Słuchaj, Jimmy - ostrożnie zaczął Bob. - Ktoś podrzucił mojej byłej żonie zdjęcie naszej małej Robin. Zrobione we wtorek, kiedy wychodziła do szkoły. Kierowca auta, który je zrobił, zbliżył się,

ale zaraz zawrócił. Robin myślała, że chce ją przejechać, bo skręcił na chodnik.

- Opowiedzieć ci dowcip o kierowcy z New Jersey, Bob?

- Jimmy, chodzi o moją córkę.

- Nie wiem, o czym mówisz, Bobby. Kiedy wreszcie ta twoja była żonka przejdzie z prokuratury do sądu i przestanie pakować nos w nie swoje sprawy?

To był koniec dyskusji. Bob wiedział, że otrzymał odpowiedź na wszystkie pytania. Jeden z koleśków Jimmy'ego zrobił Robin zdjęcie. Teraz jego, Boba, zadaniem jest zniechęcenie Kerry do dalszego grzebania w sprawie Reardona. Jimmy nie żartował.

- Dzień dobry, Jimmy. Cześć pracy, Bob.

Bob kiwnął głową Anthony'emu Bartlettowi, który właśnie sadowił się po drugiej stronie Weeksa.

- Przykra sprawa z Haskellem i Youngiem - zamruczał teść.

- Tragedia - powiedział Jimmy Weeks.

W tym momencie urzędnik sądowy wezwał obu adwokatów oraz oskarżyciela do pokoju sędziego. Sędzia Benton uniósł znad biurka ponure oblicze.

- Wiecie już, panowie, jak mniemam, o tragicznej śmierci panów Haskella i Younga?

Prawnicy kiwnęli głowami.

- Mimo że piętrzą się trudności, uważam, że dwa miesiące ciężkiej pracy, jaką włożyliśmy w ten proces, nie powinny pójść na marne. Na szczęście ława przysięgłych jest skompletowana, zaprzysiężona i wolna od wpływu ostatnich rewelacji, jakoby pan Weeks miał mieć cokolwiek wspólnego z tą zbrodnią. Poinformuję przysięgłych, iż nieobecność panów Haskella i Younga znaczy tylko tyle, że przysięgli nie będą zmuszeni wyrokować w procesie Haskella. Pouczę ich także, by nie łączyli sprawy zabójstwa z procesem Weeksa. Tyle na dzisiaj. Wznawiam rozprawę.

Wszyscy przysięgli zasiedli już w swoich ławach. Bob widział zaciekawione spojrzenia, jakimi obrzucali puste krzesła Haskella i Younga. Skoro sędzia pouczył ich, że mają nie zastanawiać się nad zabójstwem Haskella, Bob był pewien, że postępują odwrotnie. Są przekonani, że Haskell poszedł na ugodę. To nam źle wróży, pomyślał Bob.

Jego oczy spoczęły na przysięgłej numer dziesięć, czyli Lillian Wagner. Pani Wagner, działaczka społeczna, mająca męża z prestiżowymi kontaktami oraz dwóch synów w najlepszych uczelniach, wydawała się trudnym przypadkiem. Jimmy Weeks musiał mieć uzasadnione powody, by na nią głosować.

Bob nie miał pojęcia o tym, że jeden z „chłopców” Jimmy'ego Weeksa dobrał się do skóry przysięgłemu numer dwa. Alfred Wight miał umierającą żonę, której choroba doprowadziła go na skraj bankructwa. Zgodził się przyjąć łapówkę w wysokości stu tysięcy dolarów i głosować za niewinnością Weeksa.

64

Kerry spojrzała z niechęcią na stos teczek piętrzących się na stoliku koło biurka. Wiedziała, że bez zwłoki musi się do nich zabrać; trzeba było przygotowywać nowe oskarżenia. W dodatku miała parę trudnych spraw do omówienia z Frankiem i asystentką Carmen. Nie bacząc na okoliczności, powinna skupić uwagę na pracy.

Zamiast to zrobić, poprosiła sekretarkę o kontakt z doktorem Craigiem Rikerem, psychiatrą, który bardzo często występował jako rzeczoznawca w procesach o morderstwo. Riker był rozsądnym lekarzem z dużym doświadczeniem; Kerry miała do niego pełne zaufanie. Wyznawali podobną zasadę

- po ciosach, jakich życie nie szczędzi, człowiek musi wylizać rany i żyć dalej. Ponadto Riker miał jeszcze jedną, niebagatelną zaletę. Podczas zeznań nie posługiwał się niezrozumiałym psychiatrycznym żargonem, w czym specjalizowali się na ogół eksperci obrony.

Kerry zawsze radowało, gdy na pytanie, czy oskarżonego można uznać za osobę nie w pełni władz umysłowych, opowiadał: „Moim zdaniem, to wariat, ale w pełni władz umysłowych. Kiedy wybierał się z wizytą do ciotki po to, żeby ją zabić, doskonale wiedział, co robi. Wcześniej miał okazję poznać treść testamentu”.

- Doktor Riker właśnie przyjmuje pacjenta - powiedziała sekretarka. - Oddzwoni za dziesięć jedenasta.

Istotnie, punktualnie za dziesięć jedenasta Janet zgłosiła, że ma Rikera na linii.

- O co chodzi, Kerry? - zapytał.

Opowiedziała mu o podejrzanych praktykach doktora Smitha.

- Tak ostro zaprzeczył, że operował Suzanne, że mu uwierzyłam. Ale mógł ją przecież polecić komuś znajomemu z branży. Czy sądzisz, że nadawanie rysów Suzanne innym kobietom można interpretować jako formę wyrażania żalu?

- Jeśli nawet, to jest to z gruntu nienormalny sposób - powiedział Riker. - Mówiłaś, zdaje się, że od wczesnego dzieciństwa Susanne nie miał z nią kontaktu?

- Zgadza się.

- I nagle przyjechała do niego bez uprzedzenia?

- Tak.

- Co to za facet ten Smith?

- Dziwak.

- Samotny?

- Raczej tak.

- Kerry, powinienem znać więcej szczegółów. Muszę mieć pewność, czy sam operował córkę, czy zlecił to komuś, albo czy może przeszła operację, zanim się u niego zjawiała.

- To ostatnie nie przyszło mi do głowy.

- Jeżeli, podkreślam, jeżeli spotkał Suzanne po latach niewidzenia i z przeciętnej lub wręcz brzydkiej dziewczyny własnymi rękami zrobił piękność, to mógł się zakochać we własnej pracy. Wtedy mielibyśmy do czynienia ze szczególną odmianą erotomanii.

- Nie bardzo rozumiem - powiedziała Kerry.

- Bo to skomplikowany problem. Ale jeśli rozwiedziony, samotny lekarz po dwudziestu latach odnajduje córkę, zmienia jej powierzchowność i tym samym ma poczucie, że dokonał cudu kreacji, możemy podciągnąć jego przypadek pod tę kategorię. Czuje się właścicielem urody córki, a może nawet kocha się w niej jak mężczyzna. Podobne zaburzenia psychiczne zdarzają się w przypadkach voyeryzmu i pigmalionizmu.

Kerry przypomniała sobie słowa Deidre Reardon, że doktor Smith traktował córkę jak dzieło sztuki. Opowiedziała o tym Rikerowi, a także o molestowaniu, jakiego ofiarą stała się Barbara Tompkins.

- Kerry - odezwał się po dłuższej przerwie psychiatra. - Mam teraz umówioną wizytę, ale bardzo chciałbym ci pomóc. Interesuje mnie ten przypadek.

Zrezygnowała jednak. Po pierwsze, pragnęła dokładniej zbadać jego relacje z córką, a po drugie, zależało jej, by spędzić resztę dnia z Robin.

Pani Reardon uważa, że Smith traktował Suzanne „w sposób nie normalny, wręcz zboczony”. A Frank Green zapamiętał, że doktor był w sądzie twardy i zimny jak głaz. Skip Reardon powiedział, że teść bywał u nich rzadko i raczej widywał się z Suzanne sam na sam.

Muszę porozmawiać z kimś, kto dobrze znał tych ludzi i nie miał do nich żadnych uprzedzeń. Muszę też spokojnie pogadać z matką Skipa. Ale co jej powiedzieć? Że gangster, który akurat ma proces, grał z Suzanne w golfa i mówił do niej „różyczko”? I że, zdaniem chłopaka od piłek, łączył ich romans?

Ta informacja, zamiast pomóc Skipowi, mogłaby się stać gwoździem do jego trumny. Sama jako oskarżyciel podniosłabym fakt, że nawet jeśli Skip chciał związać się z Beth, Suzanne mogła go śmiertelnie rozwścieczyć. Na przykład tym, że sypia z multimilionerem, a mężowi podsuwa rachunki na trzy tysiące dolarów za jeden kostium od Cardina.

Okolo piątej zbierała się już do wyjścia, gdy zadzwonił Bob. W jego głosie dało się słyszeć napięcie.

- Kerry, chciałbym wpaść na parę minut. Będiesz w domu za godzinę?

- Tak.

- To przyjadę - powiedział i odłożył słuchawkę.

Co mu się nagle stało? - zastanawiała się Kerry. Czyżby aż tak się przejął zdjęciem Robin? A może wyjątkowo źle mu poszło w sądzie? Było to całkiem możliwe; przecież Frank Green mówił, że nawet bez obciążających zeznań Haskella policja ma dość materiału, by posadzić Weeksa. Kerry narzuciła płaszcz i przewiesiła torbę przez ramię. Przypomniała sobie z goryczą, jak przez półtora roku małżeństwa co dziennie śpieszyła z radością do domu, by spędzić wieczór z Bobem Kinellenem.

Gdy dojechała, Robin popatrzyła na nią oskarżycielsko.

- Mamo, dlaczego Alison przyjechała po mnie samochodem? Nie chciała nic powiedzieć, a ja się czułam strasznie głupio.

Kerry spojrzała na opiekunkę.

- Dziękuję, Alison, jesteś wolna.

Gdy została z córką, zaczęła ostrożnie:

- Widzisz, Robin, ten samochód, który cię przestraszył we wtorek...

Gdy skończyła, Robin powiedziała:

- Chyba mamy się czego bać, prawda, mamó?

- Tak.

- To dlatego byłaś wczoraj taka zdenerwowana?

- Tak. Nie wiedziałam, że aż tak bardzo było to widać. Byłam strasznie zdenerwowana.

- I dlatego Geoff tu przyjechał?

- Tak.

- Szkoda, że mi od razu nie powiedziałaś.

- Nie umiałam, Robin. Nie wiedziałam, co mam robić.

- A co teraz zrobimy?

- Musimy się ubezpieczyć. Wiem, że to dla ciebie przykre, ale do póki się nie dowiem, kto tu był we wtorek, dopóty trzeba postępować bardzo ostrożnie.

- Myślisz, że następnym razem by mnie przejechał?

Kerry pod wpływem impulsu chciała krzyknąć „nie”, ale zamiast tego usiadła na kanapie obok dziewczynki i objęła ją ramieniem. Robin przytuliła się do niej.

- To znaczy, że jak drugim razem się to zdarzy, mam uciekać?
- Nie damy mu tej szansy, Robin.
- Czy tata o tym wie?
- Dzwoniłam do niego wczoraj. Ma tu zaraz wpaść.
- Martwi się o mnie? - Robin wyprostowała się nagle.
- Oczywiście. - Jaka jest szczęśliwa, pomyślała Kerry. Jakby Bob dał jej wspaniały prezent.
- Super. Mamo, czy mogę to opowiedzieć Cassie?
- Jeszcze nie. Przysięgnij, Robin. Póki się nie dowiemy, kto to...
- I nie wsadzimy go za kratki! - dokończyła Robin.
- Właśnie. A kiedy tak się stanie, będziesz mogła wszystkim o tym opowiedzieć.
- Fajnie. Co na kolację?
- Na razie nic. Zamówię pizzę. Po drodze pożyczyłam parę kaset z filmami.
- Mam nadzieję, że są od szesnastu lat. - Na twarzy Robin pojawiła się uroczą, przebiegłą minka.

Próbuje mnie pocieszyć, pomyślała Kerry, chociaż sama się boi.

O szóstej przyjechał Bob. Kerry patrzyła, z jaką radością córka rzuca mu się w objęcia.

- Martwisz się o mnie, tato? - spytała.

- Porozmawiajcie sobie chwilkę, a ja się przebiorę - powiedziała Kerry.

Bob uwolnił się z objęć Robin.

- Tylko się pośpiesz, Kerry - powiedział. - Mam niewiele czasu.

Widząc zawód Robin, Kerry miała ochotę udusić Kinellena. Lepszy byłby domowy robot, pomyślała ze złością. Siłąc się na obojętny ton, rzuciła:

- Zaraz przyjdę.

Szybko przebrała się w spodnie i bluzę, ale z rozmysłem posiedziała na górze pełne dziesięć minut. Gdy już miała zamiar zejść, usłyszała pukanie do drzwi.

- Mamo?

- Wejdz. Jestem gotowa - powiedziała Kerry. Widząc dziwne spojrzenie Robin, spytała: - Co się stało?

- Tata kazał, żebym siedziała u siebie, kiedy będziecie rozmawiali.

- Ach tak.

Bob stał na środku pokoju, zniecierpliwiony i pełen pośpiechu. Nie zdjął nawet płaszcza. Ciekawe, co powiedział Robin, że tak ją to przygnębiło? Pewnie przez całe dziesięć minut powtarzał, jak strasznie się śpieszy.

- Kerry, muszę już wracać do biura. - Odwrócił głowę na odgłos jej kroków. - Czeka mnie kupa roboty na jutro. Ale mam ci też coś bardzo ważnego do powiedzenia. - Wyjął z kieszeni małą kartkę papieru. - Słyszałaś, co się przytrafiło Haskellowi i Youngowi?

- No jasne.

- Kerry, Jimmy Weeks ma swoje źródła informacji. Nie wiem jakie, ale ma. Na przykład jest poinformowany o tym, że w sobotę byłaś na widzeniu u Reardona.

- Naprawdę? A co go to obchodzi?

- Kerry, nie udawaj idiotki. Boję się. Jimmy to facet bez zasad. Ostrzegam cię, że dużo wie. I spójrz tylko na to.

Kinellen wręczył jej ćwiartkę papieru. Widniała na niej pięciolinia i sześć nut, a pod spodem pięć słów: *Kocham cię do utraty tchu*, podpisane literą J.

- Co to jest? - spytała Kerry, nucąc w myślach zapisaną na kartce melodię. Zrozumiała, nim Bob zdążył odpowiedzieć. Przeszedł ją dreszcz. Były to pierwsze takty piosenki „Pozwól mi się kochać”.

- Skąd to masz i co to znaczy? - spytała zdławionym głosem.

- Policja znalazła oryginał w kieszeni garnituru Marka Younga, kiedy przeszukali ubranie w kostnicy. Charakter pisma zidentyfikowano jako Haskella, a kartka została wydartą z notesu telefonicznego w biurze Younga. Sekretarka poprzedniego dnia wieczorem położyła nowy notes, więc Haskell musiał to napisać między siódmą a wpół do ósmej rano.

- Czyli tuż przed śmiercią?

- Właśnie. Jestem pewien, że ma to związek z jego prośbą o ułaskawienie.

- Naprawdę? Sądzisz, że zginął, bo miał materiał obciążający Weeksa w sprawie „Śmierci wśród róż”? - Kerry wprost nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. - A więc to prawda, że Weeks miał romans z Suzanne Reardon! Bob, ty chcesz mi powiedzieć, że zdjęcie Robin zostało zrobione na zlecenie Jimmy’ego Weeksa i że on chce mnie w ten sposób odstraszyć od sprawy Reardona!

- Kerry, nie chcę ci powiedzieć nic poza tym, żebyś nie wchodziła w tę sprawę. Na miłość boską, nie rób tego. Dla dobra Robin.

- Czekaj, spokojnie - Kerry spojrzała z niedowierzaniem na byłego męża. - Ustalmy fakty. Przyjechałeś, żeby mnie ostrzec, ponieważ twój klient, ten złodziej i morderca, którego reprezentujesz, postraszył ciebie - wprost lub pośrednio. Mój Boże, Bob, gdzie ty trafił, człowieku? Na samo dno!

- Kerry, próbuję tylko ratować życie mojego dziecka.

- Twojego dziecka? A od kiedy to tak bardzo zależy ci na tym dziecku? Zdajesz sobie sprawę, ile razy zламаłeś Robin serce, kiedy obiecałeś przyjść i nie przychodziłeś? Twoja obłuda jest odrażająca. Wynoś się!

Gdy obracał się w stronę drzwi, wyrwała mu z ręki kartkę.

- A to zatrzymam!

- Oddaj! - Kinellen schwycił ją mocno za rękę, zmuszając do otwarcia dłoni.

- Tato, nie bij mamy!

Odwrócili się oboje. W drzwiach stała Robin. Na bladej twarzyczce odcinały się poczerwieniałe z emocji świeże blizny.

66

Doktor Smith opuścił gabinet dwadzieścia po czwartej, tuż po wyjściu ostatniej pacjentki. Kate Carpenter była z tego zadowolona. Ostatnio trudno jej było zdobyć się w jego obecności na naturalne zachowanie. Dziś znów zauważyła drżenie ręki, gdy po operacji podniesienia łuków brwiowych usuwał szwy z twarzy pani Pryce. Troska pielęgniarki dotyczyła jednak nie tyle dolegliwości fizycznych, co zmian w charakterze doktora.

Kate Carpenter stała przed prawdziwym problemem, bo nie wiedziała, do kogo się zwrócić. Z jednej strony doktor Charles Smith był jeszcze do niedawna genialnym specjalistą w swoim zawodzie i nie zamierzała go kompromitować. Gdyby nie okoliczności, zwróciłaby się do jego żony lub najlepszego przyjaciela. Ale rozwiedziona małżonka doktora dawno nie żyła, a przyjaciel nie miał w ogóle.

Rodzona siostra Kate, Jean, pracowała w opiece społecznej. Ona z pewnością zrozumiałaby sprawę i doradziła, do kogo zwrócić się o pomoc, której doktor z całą pewnością potrzebował. Ale Jean była na urlopie w Arizonie, a Kate nie miała nawet tamtejszego numeru telefonu.

Wpół do piątej zadzwoniła Barbara Tompkins.

- Pani Carpenter, to się stało. Wczoraj doktor Smith po prostu wymógł na mnie, żebym poszła z

nim na kolację. Przez cały wieczór nazywał mnie „Suzanne”. Zmusił mnie też do przejścia na ty, żebym mówiła do niego per Charles. Pytał, czy mam narzeczonego. Przykro mi, jest przecież moim dobroczyńcą, ale to chyba szalenie. Ja nie potrafię tego znieść. Nawet w pracy ciągle oglądam się przez ramię, czy nie ma go w pobliżu. Dłużej nie wytrzymam.

Kate Carpenter zrozumiała, że to prawda. Jedyna osoba, jaka przyszła jej na myśl, to matka Robin Kinellen, Kerry McGrath. Co prawda, pracowała jako zastępca prokuratora okręgowego, ale zarazem była wdzięczna doktorowi za uratowanie w porę twarzy córki. Poza tym, jak wynikało z niedawnej rozmowy, wiedziała więcej o przeszłości doktora niż ktokolwiek z jego personelu. Kate nie rozumiała, czemu Kerry tak bardzo interesuje się doktorem, ale nie wyczuwała w tym złych intencji. Inaczej pani McGrath nie opowiedziałaby jej ze współczuciem o tragicznej śmierci córki doktora. Nie wiadomo, dlaczego się dziś nie pokazała. Pewnie jej coś wypadło. Pani Carpenter, czując się jak Judasz, podała Barbarze Tompkins prywatny numer Kerry McGrath.

67

Jeszcze długo po wyjściu Boba matka i córka siedziały obok siebie na kanapie. Nic nie mówiły, ale ich ręce dotykały się, a nogi wygodnie odpoczywały na stoliku. Wreszcie Kerry ostrożnie przerwała milczenie.

- Cokolwiek usłyszałaś z moich ust, Robin, pamiętaj o jednym. Tata naprawdę bardzo cię kocha. Troszczy się o ciebie. Nie podoba mi się to, co on robi, ale szanuję jego uczucia do ciebie. Nawet jeśli wyrzuciłam go za drzwi.

- Zdenerwowałaś się, kiedy powiedział, że się o mnie boi.

- Daj spokój, to były tylko słowa. On potrafi czasem strasznie mnie rozżłościć. Nie chcę, żebyś wyrosła na człowieka, który pakuje się w brudne sprawy, a potem mówi: wiem, że źle robię, ale to zło konieczne.

- A tata tak właśnie postępuje?

- Moim zdaniem, tak.

- Wie, kto mi zrobił to zdjęcie?

- Wydaje mu się, że wie. To ma związek ze sprawą, nad którą pracuje Geoff Dorso, a ja mu w tym pomagam. Geoff chce wyciągnąć z więzienia niewinnie osądzony człowieka. Wierzy w jego niewinność.

- A ty?

- Ja wiem, że angażując się w tę sprawę, wsadziłam kij w mrowisko. Muszą istnieć powody, dla których tylu ludzi chce mnie od tego odciągnąć. A skoro tak, to być może klient Geoffa naprawdę odsiaduje karę za kogoś innego. Ale ciebie nie chcę narażać, choćby to była prawda. Obiecuję, że nigdy tego nie zrobię.

Robin przez chwilę w milczeniu wpatrywała się w kominek, a potem powiedziała:

- To nie ma sensu, mamo. To nie w porządku. Najpierw oskarżasz tatę, że nie jest uczciwy, a potem chcesz zrobić to samo. Czy jak nie pomożesz teraz Geoffowi, to też powiesz, że to „zło konieczne”?

- Robin!

- Przecież tak jest. Pomyśl o tym. I kiedy wreszcie zamówimy tę pizzę? Umieram z głodu!

Zaszokowana Kerry w milczeniu patrzyła, jak córka zaczyna przebierać wśród kaset wideo przyniesionych z wypożyczalni. Robin wybrała kasetę i uruchomiła odtwarzacz. Zanim zaczął się film, powiedziała:

- Mamo, ja naprawdę myślę, że ten pan w aucie chciał mnie tylko przestraszyć. Przecież by mnie nie przejechał. I jakoś wytrzymam, że będziesz mnie odwozić do szkoły, a Alison odbierać. Czym się martwisz?

Kerry z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Wstyd mi za siebie. Ale za to z ciebie jestem dumna. - Ucisnęła Robin i szybkim krokiem poszła do kuchni.

Trochę później, gdy stawiała na stole talerze na pizzę, zadzwonił telefon i odezwał się nieśmiały kobiecy głos:

- Pani McGrath? Nazywam się Barbara Tompkins. Przepraszam, że niepokoję panią w domu, ale pani Carpenter, pielęgniarka z gabinetu doktora Smitha powiedziała, że mogę do pani zadzwonić.

Słuchając opowieści Barbary, Kerry gorączkowo robiła notatki.

Barbara przyszła na konsultację... Pokazał jej zdjęcie... Spytał, czy chce wyglądać tak samo jak ta kobieta... Operacja... Kontrole co trzy miesiące... Pomoc w wyborze mieszkania... Prywatny krawiec... Nazywa ją Suzanne... Śledzi...

- Pani McGrath, jestem ogromnie wdzięczna doktorowi. Dzięki niemu mam teraz zupełnie nowe życie. Nie chcę na niego donosić na policję ani prosić o ochronę osobistą. Nie chcę go krzywdzić, ale tego nękania nie potrafię już znieść - oświadczyła na koniec Barbara Tompkins.

- Czy miała pani poczucie fizycznego zagrożenia? - spytała Kerry. Po drugiej stronie słuchawki zapadła na chwilę cisza.

- Nie, raczej nie... Nigdy nie próbował mnie dotknąć w dwuznaczny sposób. Jest bardzo powściągliwy i traktuje mnie... sama nie wiem, trochę jak laleczkę z chińskiej porcelany. Ale są chwile, kiedy czuję, jak narasta w nim wewnętrzny, powstrzymywany gniew, taka złość, którą miałby ochotę wyładować, na przykład na mnie. Kiedy wczoraj po mnie przyjechał i wszedł do mojego mieszkania, był zły, że jestem już gotowa do wyjścia i nie chcę z nim przebywać sam na sam. Wiem też, że gdybym mu odmówiła tego spotkania, byłby naprawdę zły, bardzo zły. A z drugiej strony, okazał mi tyle opieki i życzliwości... Gdy bym poszła ze skargą na policję, zniszczyłabym jego reputację.

- Proszę posłuchać, Barbaro. W poniedziałek mam zamiar porozmawiać z doktorem Smithem. On jeszcze o tym nie wie. Sądząc z tego, co mi pani opowiedziała, i z tego, że nazywał panią Suzanne, można wnioskować, że doktor przechodzi kryzys psychiczny. Spróbuję go na mówić, żeby poszukał pomocy u psychiatry. Ale wcale nie zamierzam odradzać pani złożenia skargi na policji, jeśli czuje się pani zastraszona. Przeciwnie. Uważam, że powinna pani to zrobić.

- Nie teraz. W przyszłym miesiącu planowałam dłuższy wyjazd w sprawach służbowych, ale mogę go przyspieszyć i wyjechać już w następnym tygodniu. Zadzwonię do pani jeszcze raz po powrocie i wtedy razem się zastanowimy, co powinnam zrobić.

Kerry odłożyła słuchawkę i usiadła na krześle, wpatrzona w notes. Sytuacja coraz bardziej się komplikowała. Skoro doktor Smith prześladowuje Barbarę Tompkins, to może tak samo postępował wobec własnej córki? Jeśli tak, to najprawdopodobniej jego mercedesa dostrzegli pani Bowles i małżonkowie Michael naprzeciwko posesji Reardonów w noc zbrodni.

Dolly Bowles zapamiętała cyfrę i literę z numeru rejestracyjnego. Joe Palumbo powinien sprawdzić rejestrację doktora.

Jeśli jednak doktor Smith agresywnie zaatakował Suzanne, to dla czego Jimmy Weeks tak bardzo boi się, żeby jego nazwisko nie wypłynęło przy tej sprawie?

Muszę lepiej poznać układy między Suzanne i jej ojcem, zanim się z nim zobaczę, postanowiła Kerry. Warto byłoby pociągnąć za język tego pośrednika od handlu antykami, Jasona Arnotta.

Podobno bardzo często spotykał się z Suzanne, więc może miał okazję widywać ją w towarzystwie ojca.

Zadzwoniła do Arnotta i zostawiła na automatycznej sekretarce prośbę, żeby oddzwonił. Teraz zamierzała zatelefonować do Geoffa, aby zaaranżował jej drugie widzenie ze Skipem. A przy okazji z jego matką i Beth Taylor.

68

Jason Arnott planował, że spędzi piątkowy wieczór w domu. Poleciał kobiecie od sprzątanania, żeby kupiła filet z soli, zielony groszek, rukiew wodną i chrupiącą francuską bagietkę. Lecz gdy Amanda Coble zadzwoniła po południu z zaproszeniem na kolację w Ridgewood Country Club, z radością je przyjął.

Państwo Amanda i Richard Coble należeli do elity. Jason uwielbiał ten gatunek ludzi - oszałamiająco bogatych, lecz pozbawionych przy tym wszelkiej pretensjonalności i fałszu, dowcipnych i niezwykle inteligentnych. Richard był bankierem na skalę międzynarodową, a Amanda projektowała wnętrza. Jason z obydwójgiem miał mnóstwo wspólnych tematów. Cenili przy tym jego uwagi i rady.

Uznał, że ich towarzystwo będzie znakomitą odtrutką po frustrującym dniu z Verą Todd. Dzięki Amandzie i jej mężowi poznał wiele interesujących osób. Gdyby nie oni, nie dokonaliby przed trzema laty arcyłukratywnego włamania w Palm Springs.

Dojechał na parking akurat w momencie, gdy Coble'owie oddawali kluczyki chłopcu z obsługi. Do drzwi zbliżył się tuż za nimi. Taktownie zaczekał, aż przywitają się z godnie wyglądającą parą starszych państwa, właśnie wychodzących z klubu. Jason natychmiast rozpoznał senatora Jonathana Hoovera.

Jego małżonka siedziała na wózku inwalidzkim, lecz wyglądała jak królowa w granatowej wieczorowej sukni, sięgającej cholewek wysokich sznurowanych butów. Jason słyszał o chorobie pani Hoover, ale nie miał przedtem okazji jej widzieć. Jego wytrenowane oko natychmiast dostrzegło nienaturalne ułożenie dłoni kobiety - zaciśniętych jak szpony na podołku, jakby chciała ukryć opuchnięte, wykrzywione stawy.

Musiała być za młodu piękną, nim dopadła ją ta straszna choroba, pomyślał. Pozostała jej twarz o ujmujących, regularnych rysach, w której świeciły niczym gwiazdy ogromne, szafirowe oczy.

Amanda Coble dostrzegła go.

- Jason, chodź tu do nas - skinęła dłonią. - Właśnie rozmawialiśmy o tym makabrycznym morderstwie w Summit. Senator Hoover i Richard osobiście znali mecenasa Younga.

- Gangsterskie porachunki - ostrym tonem rzucił Richard Coble.

- Jestem tego samego zdania - powiedział senator Hoover. - Gubernator również. Tępił podobne zbrodnie przez ostatnich osiem lat. Oczekujemy, że teraz Frank Green robi równie dobrą robotę. Powiem państwu jedno: gdyby proces Weeksa odbywał się w sądzie stanowym, oskarżyciel miałby już dawno zeznania Haskella i do tych morderstw w ogóle by nie doszło. A teraz Royce, facet, który pokpił sprawę, aspiruje do fotela gubernatora! Po moim trupie!

- Nie unos się, Jonathan - cichym głosem zmitygowała męża Grace Hoover. - Przecież mamy wybory, a wybory mają swoje prawa, czyż nie tak, Amando? - Wszyscy się uśmiechnęli, a Grace powie działa: - Nie będziemy zabierać państwu więcej czasu. Dobranoc.

- Żona trzyma mnie pod pantoflem od pierwszego roku studiów - zwrócił się Hoover do Jasona. - Miło było pana poznać, panie Arnott.

- A czy myśmy się już nie spotkali? - spytała nieoczekiwanie Grace Hoover.

Jason dostał gęziej skórki. Wewnętrzny głos mówił mu, że stąpa po niepewnym gruncie.

- Nie, nie sędzę - powiedział wolno i z namysłem. Już ja bym to za pamiętał, pomyślał. Dlaczego ta baba sądzi, że mnie skądś zna?

- Nie wiem, ale mam uczucie, że pańska twarz jest mi znajoma. Pewnie się pomyliłam. Dobranoc.

Mimo że para gospodarzy była w znakomitych nastrojach, a kolację podano wysmienitą, Jason gorzko żałował, że nie został w domu i nie przyrządził sobie filetu z soli.

Gdy wrócił do domu wpół do jedenastej, do pierwszej przykrości dołączyła się druga: z sekretarki odsłuchał wiadomość od Kerry McGrath. Przedstawiła się jako zastępca prokuratora okręgu Bergen i podała mu numer domowy z prośbą, by oddzwonił, jeśli zjawi się przed jedenastą. Powiedziała, że chciałaby porozmawiać o jego zamordowanej przyjaciółce, Suzanne Reardon.

69

W piątkowy wieczór Geoff był na kolacji u rodziców w Essex Fells. Na rozkaz. Nieoczekiwanie zjechali z Bostonu na weekend jego siostra Marion z mężem i dwuletnimi bliźniakami. Matka Geoffa, jak kwoka, postanowiła z tej okazji zgromadzić w domu całe stadko: czworo swych dzieci, ich małżonków i narzeczonych oraz wszystkie wnuki. Zadzwoiła do syna wczesnym popołudniem.

- Będiesz na pewno, Geoff, prawda? - w jej głosie brzmiała zarazem prośba i kategoryczne polecenie. Geoff nie miał szczególnych planów, ale zostawiając sobie alternatywę, gdyby zdarzyło mu się bardziej interesujące zaproszenie, zaczął kręcić:

- Nie wiem jeszcze, mam, może się uda, ale muszę odwołać ważne spotkanie...

Zrobiło mu się głupio, gdy w odpowiedzi matki usłyszał szczere zainteresowanie i troskę:

- Jeśli umówiłeś się na randkę, synu, to jej, na miłość boską, nie odwołuj! Czy to miła dziewczyna? Na pewno tak! Przyrowadź ją, będzie nam wszystkim bardzo przyjemnie!

- Wyglupiałem się, mam. Nie mam żadnej randki. Będę punktualnie o szóstej.

- No dobrze, synku. - W zrezygnowanym tonie matki słysząc było zawód, że i tym razem nie pozna przyszłej synowej.

Geoff pomyślał, że gdyby nie był to piątek, lecz sobota, przywiózłby do rodzinnego domu Kerry i Robin. Matka oszalałaby ze szczęścia.

Przyłapał się na tym, że kilkanaście razy w ciągu dnia rozważał, czy Kerry przypadłaby mamie do gustu. Był całkowicie pewien, że bardzo, bardzo by jej się spodobała.

Punkt szósta zajechał przed okazały dom w stylu Tudorów, który jego rodzice nabyli przed dwudziestu siedmiu laty za jedną dziesiątą obecnej wartości. Dom wspaniale nadawał się na rodzinne gniazdo, kiedy Geoff i jego siostry dorastali, a i teraz, gdy pojawiły się na świecie wnuki, świetnie pełnił swą rolę. Zaparkował koło małego budynekczku gospodarczego, w którym mieszkała jego najmłodsza, jeszcze niezamężna siostra. Wszyscy po kolei mieszkali tu podczas nauki w szkole średniej i studiów. On sam przeżył w tym domku kilka lat studiów w Columbia Law School, a potem mieszkał jeszcze przez dwa lata, nim się w pełni usamodzielniał.

Piękne to były czasy, pomyślał, wdychając mroźne listopadowe powietrze w oczekiwaniu na gorące przyjęcie, jakie oczekiwało go w jasno oświetlonym domu. A zaraz potem pomyślał o Kerry. Mam szczęście, że nie jestem jedynakiem. Mam szczęście, że tata wciąż żyje, a mama nie wyszła powtórnie za mąż i nie wyniosła się na drugi koniec Stanów. Kerry nie miała łatwego życia.

Żałował, że do niej nie zadzwonił. Wiem, że nie lubi nadopiekuńczości, pomyślał, ale przecież

jest taka samotna. Nie ma szans chronić Robin tak, jak mogłaby to zrobić duża rodzina.

Geoff otworzył drzwi i zanurzył się w gorącą, hałaśliwą atmosferę, typową dla rodzinnych spotkań trzech pokoleń Dorsów. Po pełnych pocałunków i uścisków powitaniach z bostończykami i nieco mniej wylewnych z siostrami, które widywał dość często, Geoff niepostrzeżenie zaciągnął ojca do gabinetu.

Wypełniony szafami bibliotecznymi pokój, w którym przechowywano bibliofilskie pierwsze wydania woluminów prawniczych, był strefą zastrzeżoną wyłącznie dla dorosłych. Jego gospodarz, siedemdziesięcioletni Edward Dorso, nalał sobie i synowi po szklaneczce whisky. Był emerytowanym adwokatem, specjalizującym się niegdyś w prawie dotyczącym prowadzenia działalności gospodarczej. Do swych klientów zaliczał swego czasu wiele firm spośród pierwszej pięćsetki najbogatszych przedsiębiorstw w USA.

Edward znał i cenił Marka Younga i bardzo chciał usłyszeć najnowsze plotki na temat jego śmierci, jakie Geoff przyniósł z sądu.

- Nie ma tego dużo, tato - powiedział Geoff. - Ale trudno uwierzyć, że bandyci przez przypadek napadli na Younga akurat wtedy, kiedy był u niego Haskell. Wszyscy wiedzieli, że Haskell chce wsypać Weeksa, by nie doszło do jego własnego procesu.

- Też tak myślę. Jadłem dziś obiad w Trenton z Sumnerem Frenchem. Coś ciekawego dla ciebie wyniknęło z naszej rozmowy. Otóż wyszło na jaw, że dziesięć lat temu z kręgów pewnej rady nadzorczej w Filadelfii wyciekły poufne informacje na temat budowy nowej autostrady między Filadelfią a Lancaster. Informacje trafiły do Weeksa, który wykupił tereny objęte planem, a potem zrobił majątek na spekulacjach budowlanych.

- Wszyscy biznesmeni polują na takie przecieki - bez większego wrażenia przyjął tę wiadomość Geoff. - Trudno za to kogoś namierzyć i obwinić. Rzecz jest praktycznie nie do udowodnienia.

- A wiesz, kto sprzedał te tereny? Weeks wykupił je dosłownie za grosze od faceta, który rozpaczliwie potrzebował gotówki.

- Znam go?

- To twój klient, Skip Reardon.

Geoff wzdrygnął się.

- Obracamy się w zaklętym kręgu, tato. To jeszcze jedna rzecz, która zdołowała Skipa. Pamiętam, jak Tim Farrell mówił, że Reardon wyprzedaje w pośpiechu wszystko, co się da, żeby zdobyć forszę na obronę. Na papierze sytuacja Skipa wyglądała rewelacyjnie, ale w istocie miał mnóstwo zadatkowanych gruntów do kupienia i poważnie obciążoną hipotekę. Jego żona najwyraźniej uważała, że poślubiła króla Midasa. Gdyby Skip nie poszedł siedzieć, dziś byłby milionerem, bo miał łeb do interesów. A tymczasem zmuszony był sprzedać wszystkie swoje działki po cenie rynkowej, bez targów, choćby miały sto razy wyższą wartość.

- Nie ma mowy o uczciwej transakcji, jeśli kupujący zdobył na lewo informacje o prawdziwej wartości nabywanego terenu - cierpko odparł ojciec. - Słyszałem plotkę, że Haskell, który już wówczas był księgowym Weeksa, wiedział o tym przekręcie. Tak czy inaczej, chciałem ci o tym powiedzieć. Nie wiadomo, co się pewnego dnia może przydać, synu.

Zanim Geoff zdążył odpowiedzieć, zza drzwi dobiegł hałaśliwy chór: „Dziadku! Wujku! Siadamy do stołu!”

- Powiedziano w Biblii, że ostatni będą... - zaczął mówić Edward Dorso, wstając z fotela.

- Idź do stołu, tato, a ja szybko odsłucham wiadomości z mojej sekretarki. Zaraz przychodzę - przerwał mu Geoff. Gdy rozpoznał na taśmie niski głos Kerry, mocniej przycisnął do ucha słuchawkę.

Czyżby się przesłyszał? Naprawdę powiedziała że chce znów porozmawiać ze Skipem? W

obecności Beth i pani Reardon?

- Huraaaa! - wrzasnął głośno Geoff i wybiegł z gabinetu, zgarniając po drodze jednego z niesfornych siostrzeńców. Matka z niecierpliwością czekała, aż wszyscy siądą na swoich miejscach, a ojciec odczyta błogosławieństwo.

- I dziękujemy Ci, Panie Boże, za to, że są dziś z nami Marian z Donem i dwójka ich dzieci - dokończyła uroczyście.

- Mamo, nie mieszkamy przecież na biegunie północnym - protestowała Marian, puszczając oko do Geoffa. - Do Bostonu jest niespełna cztery godziny drogi.

- Nie pouczaj matki, moje dziecko - rzekł z uśmiechem ojciec. - Już ona wie, co robi. Najważniejsze, że ma dziś was wszystkich na oku.

- ŚmieJCie się, śmieJCie, ale nic nie sprawia mi większej przyjemności niż cała rodzina w komplecie przy stole. Cieszę się, że moje starsze dziewczynki mają już swoich opiekunów, a Vicky znalazła dobrego narzeczonego. Teraz marzę tylko o jednym - żeby mój najstarszy syn też sobie wreszcie poszukał towarzyski życia... - Te słowa sprawiły, że wszystkie spojrzenia skierowały się na Geoffa.

W odpowiedzi zrobił głupią minę i wybuchnął śmiechem. Gdyby nie uporczywe zamiłowanie matki do swatania wszystkich naokoło, byłaby naprawdę wspaniałą kobietą. Jest inteligentna i wykształcona. Przez dwadzieścia lat wykładała literaturę średniowieczną w Drew University. On sam otrzymał imię na pamiątkę jej fascynacji Geoffreyem Chaucerem.

Zanim podano drugie danie, Geoff wysliznął się do holu i zadzwonił do Kerry. Strasznie się ucieszył, usłyszawszy radość w jej głosie. A więc czekała!

- Kerry, czy możemy to zrobić jutro? Beth i matka Skipa rzucą wszystko i przyjadą na pierwszy sygnał.

- Chciałabym, Geoff, ale nie wiem, czy mi się uda. Nie chcę teraz zostawiać Robin, nawet w domu rodziców Cassie. Zawsze wypuszczają dzieciaki na dwór, a one uwielbiają się bawić w najdalszym kącie ogrodu.

Geoff nie namyślał się długo. Słowa przyszły same.

- Przyjadę do was i odwieziemy na ten czas Robin do domu moich rodziców. Akurat jest tu z wizytą moja siostra z Bostonu z mężem i dziećmi. Wszystkie starsze wnuki też zostaną u babci. Robin będzie miała mnóstwo towarzystwa, a poza tym... Mój szwagier jest wysokim oficerem policji w Massachusetts. Wierz mi, nie znajdziemy bezpieczniejszego miejsca.

70

Jason Arnott spędził bezsenłą noc, rozmyślając nad tym, jak ma potraktować telefon od pani prokurator Kerry McGrath, nawet jeśli zadzwoniła, jak powiedziała, „prywatnie”. O siódmej rano podjął wreszcie decyzję. Oddzwoni i kulturalnie zaproponuje bardzo krótkie spotkanie, wyjaśniając, że niebawem wybiera się w podróż w interesach.

To prawda, bo jadę do Catskills, powiedział sobie w duchu. Ukryję się tam jak w norze i nikt mnie nie znajdzie. W tym czasie zagrożenie rozejdzie się po kościach. A ja udam, że to wszystko w ogóle mnie nie dotyczy.

Gdy wreszcie to postanowił, zapadł w głęboki sen. Odświeżający, radosny sen człowieka, któremu dobrze się wiedzie.

Gdy się obudził o dziewiątej trzydziści, pierwszą rzeczą, jaką zrobił, był telefon do Kerry McGrath. Odebrała natychmiast. Odtajał wewnątrz, słysząc w jej głosie autentyczną wdzięczność.

- Panie Arnott, ogromnie się cieszę z pańskiego telefonu i zapewniam, że nasza rozmowa nie ma nic wspólnego z moim urzędem - powiedziała. - Dowiedziałam się, że pomagał pan zmarłej Suzanne Reardon w meblowaniu domu i często bywał pan z nią na aukcjach. Pojawiły się w tej sprawie nowe ślady i dlatego bardzo chciałabym namówić pana na rozmowę. Chodzi o stosunki Suzanne z ojcem, doktorem Charlesem Smithem. Obiecuję, że zabiorę panu tylko kilka minut.

Była szczerą. Jason miał ucho na fałszywe tony. Dzięki temu właśnie osiągnął swą pozycję. Ta kobieta nie usiłuje go podejść. Może jej opowiedzieć o Suzanne, czemu nie. Bardzo często robili razem zakupy. Zupełnie jak z Verą Shelby. Bywała u niego na przyjęciach, ale przecież spraszał do siebie tłumy ludzi. W żadnym wypadku go to nie obciąża. Bez wahania przystał na prośbę Kerry. Powiedziała, że jest z kimś umówiona punktualnie o pierwszej, a zatem chętnie wpadnie do niego zaraz, w ciągu najbliższej godziny.

71

Kerry, jadąc do Jasona Arnotta, postanowiła zabrać ze sobą Robin. Miała wyrzuty sumienia z powodu wczorajszej kłótni z Bobem o kartkę z zapiskami Haskella. Uznała, że półgodzinna podróż do Alpine będzie doskonałą okazją do rozładowania przykrego nastroju. Nie powinna wdawać się w awanturę z Bobem. Nie chciał i nie mógł zostawić jej tamtej kartki. I tak miała szczęście, bo poznała jej treść. Zapisała wszystko nutka po nutce, słowo po słowie. Będzie mogła pokazać to później Geoffowi.

Był słoneczny, rześki dzień. W taką pogodę wraca człowiekowi chęć do życia. Kerry czuła się szczęśliwa. Postanowiła z całą energią zająć się sprawą Reardona i szybko się z nią uporać.

Robin była zadowolona z nieoczekiwanej wycieczki, choć powiedziała, że chce wrócić na dwunastą w południe. Zaprosiła Cassie na lunch. Kerry powiedziała córce o zamiarze zostawienia jej u rodziców Geoffa w Trenton.

- Ciągłe się o mnie boisz - rzeczowo podsumowała Robin.

- Tak - przyznała matka - tam przynajmniej będziesz bezpieczna. W poniedziałek rozmawiałam z Frankiem Greenem o tym, jak zapewnić ci środki ochrony. Ale teraz chciałabym porozmawiać sam na sam z panem Arnottem. Wzięłaś książkę?

- Jasne. Ciekawa jestem, jacy są ci siostrzeńcy Geoffa. Bo on ma aż cztery siostry. Najmłodsza jeszcze nie jest mężatką. Druga ma troje dzieci - dziewięcioletniego syna, prawie w moim wieku, siedmioletnią córkę i małego czteroletniego chłopca. Trzecia ma aż czworo dzieci, ale same małe - najstarsze liczy sobie sześć lat. A ta z Bostonu ma dwu letnie bliźniaki.

- Robin, skąd ty to wszystko wiesz? - spytała zdumiona Robin.

- Geoff opowiadał, jak przyszedł do nas na kolację. Nie słuchałaś. Pewnie miałaś za dużo na głowie. A ja myślę, że tam będzie super. I podobno mama Geoffa świetnie gotuje.

W parę minut później wjechały do Alpine i skręciły w ulicę, przy której stała zbudowana w europejskim stylu willa Jasona Arnotta. Jasne promienie oświetlały niezwykle budynek z kamienia, marmuru, cegły i drewna. Miał wykusze ozdobione witrażowymi oknami, wprawionymi w okrągłe łożowane ramki.

- Ojejku! - wykrzyknęła zachwycona Robin.

- Teraz widzisz, jak skromnie sobie żyjemy - powiedziała Kerry, parkując na podjeździe.

Jason Arnott otworzył, nim zdołały nacisnąć dzwonek. Serdecznie je powitał.

- Pani McGrath, a to zapewne pani asystentka?

- Mówiłam, że sprawa jest prywatna - odparła Kerry, przedstawiając Robin. - Może znajdzie się gdzieś dla niej miejsce, gdy będziemy rozmawiali? - Wskazała na kąt salonu, ozdobiony naturalnej wielkości brązową neogotycką rzeźbą dwóch walczących rycerzy.

- Nie, nie. O wiele lepiej będzie się czuła w małym saloniku. - Arnott otworzył drzwi na lewo. - A my możemy sobie przejść do biblioteki. To zaraz za salonem.

Zupełnie jak w muzeum, myślała Kerry, krocząc w ślad za gospodarzem. Żałowała, że nie ma czasu zatrzymać się i obejrzeć dokładniej cudownych tkanin i obrazów na ścianach oraz wysmakowanego umeblowania, dzięki któremu wnętrza uzyskały efekt idealnej harmonii. No cóż, obietnica to obietnica, a przyrzekła Jasonowi Arnottowi, że nie zajmie mu więcej niż pół godziny.

Gdy zasiedli już w przytulnych fotelach, zaczęła:

- Panie Arnott, moja mała Robin kilka tygodni temu miała wypadek. Rany cięte twarzy. Operował ją doktor Charles Smith.

- Ten Smith, który był ojcem Suzanne Reardon? - Brwi Jasona uniosły się wyrazie w zdziwienia.

- Właśnie. Podczas dwóch badań kontrolnych zauważyłam w jego poczekalni dwie pacjentki, których twarze łudzaco przypominały zmarłą Suzanne.

- Chyba przez przypadek. Nie chce mi pani chyba powiedzieć, że on celowo odtwarza twarz Suzanne.

- Interesujące sformułowanie, panie Arnott. Przyjechałam tu, żeby, jak już mówiłam przez telefon, trochę lepiej poznać Suzanne. Chciałabym się dowiedzieć, jak odnosiła się do ojca. A także do męża, jeśli cokolwiek panu na ten temat wiadomo.

Arnott odchylił głowę do tyłu, wbił spojrzenie w sufit i splótł dłonie. Ale komediant, pomyślała Kerry. Próbuje zrobić na mnie wrażenie. Tylko po co?

- Zaczniemy od tego, jak poznałam Suzanne. Było to prawie dwanaście lat temu. Pewnego dnia po prostu zadzwonił dzwonek u drzwi, a za progiem stała ona. Była naprawdę uderzająco piękna. Przedstawiła mi się i powiedziała, że właśnie kończą z mężem budowę domu w pobliżu i chcieliby go umeblować antykami. Słyszała od przyjaciółek, że się na tym dobrze znam i czasem doradzam im na aukcjach. Odparłam, że to prawda, ale że nie uważam się ani za zawodowego dekoratora wnętrz,

ani zawodowego doradcę.

- Bierze pan opłaty za swoje usługi?

- Na początku robiłem to *con amore*. Ale z czasem, gdy zorientowałem się, że ja sam dobrze się bawię w towarzystwie interesujących ludzi, a wywdzięczam im się, pomagając zaoszczędzić znaczne sumy na wartościowych nabytkach, postanowiłem pobierać rozsądną prowizję. Nie chciałem po tym pierwszym kontakcie wchodzić w bliższe stosunki towarzyskie z Suzanne. Trochę za bardzo się narzucała.

- Ale zgodził się pan?

- Wie pani, jeśli Suzanne czegoś naprawdę chciała, osiągała to. Na przykład kiedy się przekonała, że prowokując mnie seksualnie, traci tylko czas, zaczęła mi nadskakiwać w zupełnie inny sposób. Umiała być bardzo zabawna. Z czasem zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi. Do dziś mi jej brakuje. Była prawdziwą ozdobą moich przyjęć.

- Czy Skip Reardon też u pana bywał?

- Nieczęsto. Nudził się, a moi wyrafinowani goście uważali go za prostaka. Tylko proszę mnie źle nie zrozumieć. Był to bystry i dobrze wychowany facet, ale należał do zupełnie innego gatunku osób niż większość moich znajomych. Wstawał rano, a potem ciężko harował - zupełnie odwrotnie niż ludzie, których znam. Nie bawiły go plotki ani towarzyska paplanina, co kiedyś publicznie oświadczył Suzanne, która nie chciała z nim wrócić do domu. Wyszedł wcześniej i zostawił ją tu samą.

- Miała swój samochód, żeby wrócić?

- Suzanne nie miewała kłopotów z transportem do domu.

- Jakie to było małżeństwo?

- Nieudane. Znałem ich przez ostatnie dwa lata tego związku. Z początku myślałem, że się lubią, ale później stało się dla mnie jasne, że on ją nudzi. Coraz bardziej oddalali się od siebie.

- Doktor Smith zeznał, że Skip był o nią śmiertelnie zazdrosny i że jej groził.

- Jeśli nawet, to nigdy mi się z czegoś podobnego nie zwierzyła.

- Znał pan bliżej doktora Smitha?

- Tak samo jak inni jej znajomi. Gdy bywałem z Suzanne w Nowym Jorku na zakupach, to jeśli doktor miał akurat czas, zwykle do nas dołączał. Odniosłem wrażenie, że jego obecność coraz bardziej ją irytowała. Potrafiła powiedzieć: „Mam za swoje. Nie powinnam go uprzedzać, że wybieramy się dziś do Nowego Jorku”.

- Okazywała mu niechęć?

- Odpowiem tak: o ile poprzestawała na okazywaniu Skipowi publicznie obojętności, o tyle ojcu okazywała wyraźne lekceważenie.

- Wiedział pan, że wychowywali ją matka i ojczym?

- Tak. Mówiła mi, że jako nastolatka czuła się beznadziejnie. To dlatego, że przyrodnie siostry zamęczały ją chorobliwą zazdrością. Kiedyś powiedziała do mnie: „A propos Kopciuszka - jej życie to moje życie”.

Oto odpowiedź na moje kolejne pytanie, pomyślała Kerry. Suzanne najwidoczniej nie powiedziała Arnottowi, że dorastała jako brzydka Susie.

- Jak zwracała się do doktora Smitha? - Kerry sama była zdziwiona własnym, intuicyjnie zadaniem pytaniem.

- Mówiła do niego „doktorze” lub „Charles” - powiedział po chwili namysłu.

- A nie „tato”?

- Nigdy. Nie przypominam sobie. - Arnott znacząco spojrzął na zegarek.

- Wiem, wiem, obiecałam, że nie zajmę panu dużo czasu, ale muszę zadać jeszcze jedno pytanie.

Czy Suzanne miała kochanka? Czy spotykała się na przykład z Jimmym Weeksem?

Arnott zastanowił się chwilę, nim zaczął mówić.

- Poznałem ich ze sobą właśnie w tym pokoju. Weeks był u mnie wówczas pierwszy i ostatni raz. Widać było, że zrobili na sobie nawzajem duże wrażenie. Weeks emanował poczuciem władzy, a to zawsze pociągało Suzanne. Z kolei ona była niezwykle piękna, a Weeks nie przepuścił żadnej ślicznotce. Suzanne wspominała mi, że po tym spotkaniu on zaczął regularnie bywać w klubie „Palisades”, gdzie spędzała większość dnia. Został nawet, o ile wiem, członkiem tego klubu.

- Była zadowolona? - spytała Kerry, przypominając sobie zeznanie chłopca od piłek.

- Naturalnie. Choć zapewne nie dawała tego po sobie poznać. Wiedziała, że Weeks lubi panienki, więc prowokowała sytuacje, w których czuł się zazdrosny. Pamięta pani początek „Przeminęło z wiatrem”, kiedy Scarlett podrywa na pikniku narzeczonych wszystkich koleżanek?

- Oczywiście.

- Dokładnie tak samo postępowała Suzanne. Można to uznać za dziecinadę, ale ona nigdy nie wyrosła z takich chwytów. Próbowwała swych wdzięków na każdym. Wszystkie baby utopiłyby ją w łyżce wody.

- A co na to doktor Smith?

- Brzydziło go jej zachowanie. Gdyby mógł, zamknąłby ją pod strażą w wieży, żeby inni nie mieli szansy zachwycać się jej urodą. Zachowywał się jak pies ogrodnika. Czasem tak się zachowują strażnicy muzealni wobec najcenniejszych obiektów.

Mój Boże, przypadkiem trafiłeś w sedno, pomyślała Kerry. Znowu przypomniała sobie sformułowanie Deidre Reardon o obiekcie muzealnym.

- Gdyby pańska obserwacja była słuszna, to czy doktor Smith nie miałby uzasadnionego powodu, by darzyć niechęcią Skipa Reardona?

- Darzyć niechęcią? Ja sędzę, że on go wręcz nienawdził.

- Panie Arnott, czy Suzanne mogła otrzymywać cenne upominki, czyli biżuterię, od innych mężczyzn niż mąż i ojciec?

- Jeśli nawet, to mnie się z tego nie zwierzała. Miała cenne rzeczy, to wiem. Skip co roku dawał jej klejnoty na urodziny i pod choinkę. Zawsze było to dokładnie to, co sobie zamówiła. Ale widziałem u niej kilka staroświeckich klejnotów od Cartiera. Może to były prezenty od ojca.

Może, a może tylko tak mówiła. Kerry postanowiła zakończyć tę rozmowę.

- Panie Arnott, czy, pana zdaniem, Skip Reardon zabił Suzanne?

Jason wstał z fotela.

- Pani McGrath, jestem specjalistą od antyków. Nie zajmuję się zawodowo osądzaniem ludzi. Powiadają, że zabija się najczęściej dla pieniędzy lub z miłości. Oba motywy pasują do Skipa. A jak pani myśli?

Jason patrzył przez okno, jak samochód Kerry oddala się i znika. Był z siebie zadowolony. Zaspokoił jej ciekawość na tyle, że nie męczyła go dalej. Tak samo jak obie zainteresowane strony, obrona i oskarżenie, przed jedenastu laty.

Czy myślę, że Skip Reardon zamordował Suzanne? Nie, nie myślę, pani McGrath. Myślę, że jak większość mężów, Skip teoretycznie zdolny był do zabicia żony. Ale tamtej nocy ktoś go uprzedził.

Skip Reardon przeżył najprawdopodobniej najgorszy tydzień w swoim życiu. Wyczuwając sceptycyzm Kerry McGrath, nie wierzył już w skuteczność dalszych apelacji.

W głowie brzmiała mu, groteskowo przetworzona, pieśń chóru z greckiej tragedii: „Dwadzieścia lat strasznej męki, dwadzieścia - serdecznej udręki...”

I tak w kółko, jeszcze raz, jeszcze raz... Zamiast oglądać telewizję i czytać gazety Skip leżał na łóżku i wpatrywał się w oprawione fotografie na ścianach celi. Na większości z nich widniała mama i Beth. Niektóre pochodziły sprzed siedemnastu lat, kiedy ukończył dwudziesty trzeci rok życia i właśnie zaczął umawiać się na randki ze swoją dziewczyną. Ona zaczynała pracę w zawodzie nauczycielskim, on dopiero startował z własną firmą.

Przez dziesięć lat odsiadki Skip tysiące razy wpatrywał się w te zdjęcia i zapytywał sam siebie, dlaczego wszystko obróciło się na złe. Gdyby w feralną noc nie zauroczyła go Suzanne, on i Beth już od piętnastu lat byłiby po ślubie. Prawdopodobnie mieliby dwójkę lub trójkę dzieci. Często rozmyślał nad tym, do kogo byłyby podobne.

Wybudowałyby dla Beth dom wedle ich wspólnego gustu - nie jakiś zwariowany sen modnego architekta, jaki wymarzyła sobie oszalała ze snobizmu Suzanne.

Siedząc za kratkami, wciąż starał się ufać w amerykański wymiar sprawiedliwości. Wierzył, że pewnego dnia koszmar się rozwieje. Że sąd apelacyjny przyzna, iż doktor Smith jest kłamcą, a Geoff pojawi się w więzieniu i powie: „Od dziś, Skip, jesteś wolnym człowiekiem”.

Zgodnie z regulaminem Skipowi przysługiwało prawo do dwóch rozmów telefonicznych dziennie. Zwykle dzwonił do matki i do Beth dwa razy w tygodniu. Co najmniej jedna z nich odwiedzała go w każdą sobotę lub niedzielę.

W tym tygodniu Skip nie zadzwonił ani razu. Musiał się poważnie nad sobą zastanowić. Nie chciał więcej widywać się z Beth. Niech rozpocznie życie na własny rachunek. Za rok skończy czterdzieści lat. Najwyższy czas, żeby kogoś poznać, wyjść za mąż, mieć dzieci. Przecież dlatego właśnie wybrała pracę w szkole.

Skip postanowił coś jeszcze - że przestanie trwonić czas na projekty wymarzonych domów i wnętrz, które kiedyś miał zamiar zbudować. Przecież wyjdzie z więzienia - jeśli dożyje tej chwili - jako człowiek sześćdziesięcioletni. To zbyt późno, żeby zaczynać życie od początku. Poza tym - dla kogo miałby żyć?

Dlatego w sobotni rano, kiedy strażnik powiedział mu, że dzwoni adwokat, Skip w pierwszych słowach zamierzał zwolnić Geoffa. Nowina, że wybiera się do niego Kerry McGrath z jego matką i Beth, rozżłościły go.

- Czego ta kobieta ode mnie chce, Geoff? Chce udowodnić mamie i Beth, że tracą czas, żeby mnie stąd wydostać? Że wszystko, co mają na moją obronę, musi się obrócić przeciwko mnie? Powiedz pani McGrath, że nie mam ochoty tego wysłuchiwać. Sąd sprawiedliwie mnie skazał i należą mi się z tego powodu gratulacje.

- Zamknij się, Skip, dobrze? - równie wściekłym tonem odezwał się Geoff. - Kerry ma przez ciebie po uszy kłopotów. Ktoś napastuje jej córkę, żeby ją odstraszyć od twojej sprawy. Jest szantażowana.

- Jak to? Przez kogo? - Skip spojrzał na słuchawkę telefoniczną jak na nie zidentyfikowany obiekt z kosmosu. Nie pojmował, jakim cudem dziecko Kerry McGrath może być nękanie z jego powodu.

- Ważne jest nie tylko przez kogo, ale dlaczego. Jesteśmy pewni, że za całą sprawą stoi Jimmy Weeks. Boi się, żeby nie wznowiono śledztwa. Kerry postanowiła wszystko z tobą szczegółowo omówić i włączyć w to twoją matkę i Beth. Przygotowała mnóstwo pytań. Ma też sporo do powiedzenia na temat doktora Smitha. Nie muszę ci chyba przypominać, co to za postać i jakie ma

znaczenie dla naszej sprawy. Przyjedziemy pod koniec widzeń, więc postaraj się nam pomagać, a nie przeszkadzać. To fantastyczna szansa. I być może ostatnia.

Skip usłyszał trzask odkładanej słuchawki. Strażnik odprowadził go do celi. Więzień siadł na pryczy i ukrył twarz w dłoniach. Choć bronił się ze wszystkich sił, znów zakiełkowało w nim ziarenko nadziei i w krótkim czasie rozrosło się w wielkie drzewo.

73

Geoff przyjechał po Kerry i Robin o pierwszej. Po przyjeździe do Essex Fells przedstawił je całej rodzinie. Podczas wczorajszej kolacji krótko zapowiedział tę wizytę i wyjaśnił jej powód. Pani Dorso natychmiast wyczuła, że kobieta, którą syn uporczywie nazywa „matką Robin”, ma dla Geoffa wyjątkowe znaczenie.

- Oczywiście, synku, że zapraszam Robin do nas - powiedziała. - Biedne dziecko. Jak ktoś w ogóle mógł się posunąć do tego, by krzywdzić takie maleństwo? Słuchaj, Geoff, kiedy już z jej mamą - zdaje się, że ma na imię Kerry? - wróćcie z Trenton, musicie zostać u nas na kolacji.

Geoff doskonale zdawał sobie sprawę, że jego nieśmiałe „zobaczmy” to tylko groch rzucony o ścianę. Zostało przesądzone, że zjedzą z Kerry kolację u państwa Dorso.

Kiedy pojawili się w domu rodziców, żeby zostawić Robin, Geoff od razu zauważył w oczach matki aprobatę dla Kerry. Tego dnia miała na sobie płaszcz z wielbłądziej wełny i dobrane odcieniem beżowe spodnie. Zielony golf podkreślał zielonkawą plamki w tęczęwkach orzechowych oczu. Poza błyszczącym i lekkim cieniem do powiek Kerry nie stosowała żadnego makijażu.

Poza tym matkę ujęła jej autentyczna wdzięczność za to, że państwo Dorso zgodzili się „przechować” Robin. Mama zawsze była czuła na ładny głos i wymowę, pomyślał, słuchając zgrabnego podziękowania Kerry.

Robin była zachwycona, gdy usłyszała, że w zakamarkach domu kryje się cała dziewiątka wnucząt państwa Dorso.

- Don zabierze ciebie i dwójkę najstarszych do Sport World - powiedziała pani Dorso.

- Nie wiem, czy... - próbowała niepewnie zaproponować Kerry.

- Szwagier Dona to ten kapitan policji z Massachusetts, o którym ci mówiłem. Nie spuści dzieciaków z oka.

Robin z góry cieszyła się na dobrą zabawę. Na widok czteroletniej dziewczynki, pchającej korytarzem wózek z bliźniakami, powiedziała żartem:

- No to mamy dziecięcą godzinę szczytu! Cześć, mammo!

Gdy ruszyli sprzed domu, Kerry odchyliła się do tyłu i wygodnie oparła na siedzeniu. Westchnęła głęboko.

- Nie obawiasz się już o nic, prawda? - spytał Geoff.

- Wcale. Jestem przyjemnie rozluźniona. Chciałabym ci opowiedzieć teraz o paru rzeczach, o których jeszcze nie wiesz.

- Na przykład?

- Na przykład o młodości Suzanne. I o tym, co jako dorastająca dziewczyna widziała w lustrze. A także o tym, co łączy doktora Smitha z jedną z pacjentek o rysach Suzanne. I o mojej dzisiejszej rozmowie z Jasonem Arnottem.

Deidre Reardon i Beth Taylor już czekały. Po formalnościach w rejestracji Geoff zapoznał Kerry i Beth.

Póki nie było z nimi Skipa, Kerry nie zaczynała poważnej rozmowy. Nie chciała zagubić elementu spontaniczności wspomnień; wspomnień z trzech zupełnie różnych punktów widzenia. Po dość konwencjonalnym powitaniu z panią Reardon skoncentrowała się na niezobowiązującej pogawędce z Beth, która od pierwszego wejrzenia przypadła jej do gustu.

Punkt trzecia strażnik zaprowadził ich do sali widzeń. Tego dnia było o wiele więcej odwiedzających niż ostatnim razem. Kerry żałowała, że nie wystosowała zawczasu formalnej prośby o rozmowę na osobności. To jednak spowodowałoby zapis w aktach, że zastępca prokuratora okręgu Bergen prosi o przesłuchanie więźnia już osądzonego i skazanego za zabójstwo. W jej sytuacji lepiej było nie wystawiać się na strzał.

Zdobyli stolik w rogu, który gwarantował niezbędne minimum prywatności. Na widok Skipa jego matka i narzeczona poderwały się z krzeseł. Gdy strażnik zdjął mu kajdanki, Beth poczekała cierpliwie, aż matka uściska syna.

Kerry widziała, jak Beth i Skip na siebie patrzą. Wyraz twarzy i wstydlivy pocałunek powiedział jej więcej niż wylewne, demonstracyjne uściski. W tym momencie Kerry zrozumiała, dlaczego Skip, usłyszawszy, że wyrok opiewa na trzydzieści lat więzienia, wyglądał, jak by za chwilę miał umrzeć, i wydał głośny okrzyk protestu, że doktor Smith łże. Teraz już wiedziała dlaczego, mimo całkowicie przekonujących dowodów, tuż po ogłoszeniu wyroku miała odczucie, że skazany nie kłamie.

Wyjęła duży notes, w którym zapisała w skrócie treść pytań. Pod każdym z nich zostawiła miejsce na zanotowanie odpowiedzi. Krótco poinformowała zainteresowanych, co skłoniło ją do powtórnej wizyty w więzieniu: mercedes pod domem Reardonów w noc zabójstwa; wrodzona brzydota Suzanne; zboczone zachowanie doktora Smitha, reprodukującego jej rysy u żywych kobiet; jego nękanie Barbary Tompkins; nazwisko Jimmy'ego Weeksa ujawnione w policyjnym śledztwie; szantaż z wykorzystaniem Robin.

Kerry obserwowała uważnie reakcje całej trójki na te rewelacje. Na plus policzyła wszystkim to, że nie próbowali porozumiewać się poza jej plecami. Beth Taylor uściśnęła tylko dłoń Skipa i spytała:

- Jak możemy pomóc?

- Po pierwsze, chciałam państwu oświadczyć, że teraz sama mam bardzo poważne wątpliwości co do winy Skipa. Chciałabym, żeby to oświadczenie oczyściło atmosferę między nami. Zrobię wszystko, by kolejna apelacja Geoffa była skuteczna - zaczęła Kerry. - Tak to widzę. A teraz do rzeczy. Jak rozumiem, z naszej rozmowy przed tygodniem Skip odniósł wrażenie, że mu nie wierzę. Niezupełnie tak było. Wszystko, co wówczas usłyszałam można było interpretować dwojako - za albo przeciw niemu. Na pewno nie mieliśmy jeszcze wówczas powodów do następnej apelacji. Zgadza się, Geoff?

Adwokat przytaknął.

- Głównym powodem pańskiego wyroku jest zeznanie doktora Smitha. Teraz możemy próbować podważyć jego wiarygodność. Jedynym sposobem jest udowodnienie mu kłamstw i przedstawienie *ad oculos* konkretnych dowodów. - Kerry nie czekała na reakcję słuchaczy. Mówiła dalej: - Odpowiedź na pierwsze pytanie już znam. Suzanne nigdy nikomu nie powiedziała, że przeszła operację plastyczną. A poza tym proponuję, byśmy mówili sobie po imieniu.

Przez następne dwie godziny Kerry zasypywała całą trójkę pytaniami.

- Pierwsza sprawa, Skip. Czy Suzanne rozmawiała z tobą o Jimmym Weeksie?

- Raz czy dwa o nim wspomniała - odparł. - Wiem, że należał do naszego klubu i że czasem grała z nim w parze w golfa. Ciągle gadała o golfie. Ale gdy wyczuwała, że zaczynam być zazdrosny, opowiadała mi tylko o kobietach, z którymi grywała.

- Czy to ten sam Weeks, który ma teraz głośny proces o podatki? - spytała Deidre Reardon.

Kerry kiwnęła głową.

- Niesamowite. Do tej pory myślałam, że władze znęcają się nad niewinnym człowiekiem. W zeszłym roku brałam udział w akcji charytatywnej na rzecz zwalczania raka i on udostępnił nam swą posiadłość w Peapack. Zapisał nam ogromny datek. A pani mówi, że romansował z Suzanne i że próbuje atakować pani córkę!

- Jego publiczny wizerunek daleko odbiega od prawdy - wyjaśniła Kerry. - Nie pani jedna uważała, że padł ofiarą rządowych prześladowań. Ale niech mi pani wierzy - rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej. - Teraz zwróciła się do Skipa. - Opisz mi, proszę, biżuterię Suzanne, która nie pochodziła od ciebie.

- Miała złotą bransoletkę ze znakami zodiaku grawerowanymi na srebrnych płytkach. Na złotej płytce pośrodku, w ramce z brylancików, był Koziorożec, czyli znak Suzanne. Droga rzecz. Gdy spytałem, skąd ma tę bransoletę, powiedziała, że to prezent od ojca. Kiedy go spotkałem, podziękowałem za tak kosztowny prezent. Nawet nie wiedział, o czym mówię.

- Możemy zbadać sprawę tej bransoletki. Wyślemy wiadomość do największych sklepów jubilerskich w New Jersey i na Manhattanie - powiedziała Kerry. - Po pierwsze, prowadzą tam kartotekę zakupów, a po drugie, eksperci potrafią rozpoznać z opisu rzadki obiekt, który pojawił się na aukcji.

Skip powiedział jeszcze o pierścionku z białoróżowego złota, zdobionego dookoła wzorem ze szmaragdów przeplatanych diamentami.

- Też od ojca?

- Tak. Twierdziła, że tak hojnie wynagradza jej te wszystkie lata, kiedy nie dostawała od niego żadnych prezentów. Mówiła, że niektóre sztuki biżuterii należały do jej zmarłej matki. W to prędzej bym uwierzył. Na przykład miała broszkę w kształcie róży, z pewnością bardzo starej roboty.

- Tę pamiętam - wtrąciła Deidre Reardon. - Do dużej szpilki przytwierdzona była na srebrnym łańcuszku zabezpieczająca zapinka w kształcie małego pączka. Mam w domu wycięte z magazynu zdjęcie Suzanne z jakiejś akcji dobroczynnej. Ma tam wpiętą tę broszkę. W takim samym staroświeckim stylu była też bransoletka z brylantami, którą miała na sobie, kiedy zginęła.

- Gdzie trzymała biżuterię? - spytała Kerry.

- Głównie na sobie. Reszta była w puzderku przy jej toalecie - odparł Skip. - Uczyłem ją, że kosztowności należy chować do sejfu, ale nigdy mnie nie słuchała.

- Skip, zeznałeś na procesie, że kilka rzeczy zginęło także z waszej sypialni.

- Tak. Co najmniej dwie. Ta broszka w kształcie kwiatu, ale nie mogę stwierdzić na pewno, że była tego dnia w kasetce. Z całą pewnością natomiast zniknęła miniaturowa ramka ze zdjęciem.

- Opisz mi ją - poprosiła Kerry.

- Ja ją opiszę, Skip - wtrąciła pani Reardon. - Widzisz, Kerry, ta ramka była naszą pamiątką rodzinną. Uważano, że pochodzi z pracowni Fabergego. Mój mąż kupił ją w Niemczech po wojnie, kiedy stacjonowała tam okupacyjna armia amerykańska. Ramka była emaliowana na błękitno i miała złoty szlaczek wysadzany perełkami. Dałam ją w prezencie ślubnym Skipowi i Suzanne.

- A Suzanne włożyła do środka swoją fotografię - dodał Skip.

Kerry spostrzegła za szklanymi drzwiami strażnika i spojrzała na zegar ścienny.

- Mamy tylko kilka minut. Kiedy ostatni raz widziałeś tę ramkę, Skip?

- Rano, kiedy się ubierałem. Pamiętam ten moment, bo patrzyłem na ramkę, kiedy przekładałem dokumenty z jednego garnituru do drugiego. Mam na to potwierdzenie policji. Rozmawiałem o tym z detektywami. Jeden z nich poszedł za mną na górę, kiedy się przebierałem. Wtedy zauważyłem, że

ramka zniknęła.

- Czy - zakładając, że Suzanne miała romans - mogła ofiarować komuś tę ramkę tego wieczoru?

- Nie. Było w niej jej najlepsze zdjęcie, a bardzo lubiła na siebie patrzeć. Poza tym nie sądzę, by miała tyle czelności, żeby dawać kochankowi prezent od mojej matki.

- I słuch o ramce zaginął? - spytała Kerry.

- Całkowicie. Tymczasem prokurator wysunął hipotezę, że gdyby ramka padła ofiarą rabunku, ukradziono by także biżuterię z kasetki.

Dzwonek zasygnalizował koniec widzenia. Skip wstał, serdecznie objął jednym ramieniem matkę, a drugim Beth, i przytulił je do szerokiej piersi. Nad ich głowami spojrzął na Geoffa i Kerry. Uśmiech sprawił, że wyglądał o dziesięć lat młodziej.

- Wyciągnij mnie stąd, Kerry, a zbuduję ci taki dom, z którego się nie będziesz chciała wyprowadzić do końca życia. - Roześmiał się głośno. - O Boże, sam nie wierzę, że ja to mówię. I to w tym miejscu.

W drugim rogu pokoju siedział więzień nazwiskiem Will Toth. Miał widzenie ze swoją dziewczyną, ale całą uwagę skupiał na grupce otaczającej Skipa Reardona. Jego matkę, dziewczynę i adwokata doskonale znał z widzenia. W zeszłym tygodniu rozpoznał w trzeciej kobiecie Kerry McGrath. Trudno, by jej nie zapamiętał - to przez nią spędzi w pudle piętnaście lat. Była oskarżycielem w jego procesie. Teraz interesowała się Reardonem. Pilnie zapisywała każde jego słowo.

Will i jego dziewczyna na dzwonek wstali. Całując ją na pożegnanie, Will szepnął:

- Zadzwoń jeszcze dzisiaj do brata i powiedz mu, że ta McGrath znowu tu była i zrobiła mnóstwo notatek.

74

Si Morgan, szef ekipy dochodzeniowej w sprawie kradzieży u Hamiltonów, po południu siedział w swoim biurze w Quantico, porównując akta sprawy z podobnymi przypadkami włamań.

Hamiltonowie, podobnie jak inni pokrzywdzeni, na prośbę policji zrobili listę gości bywających w ich domu w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Komputer sporządził zbiorczą listę nazwisk pojawiających się najczęściej. Problem polegał na tym, że nazwisk osób bywających na wszystkich przyjęciach w tych bogatych, snobistycznych kręgach było sporo. Tuzin nazwisk stanowił żelazny komplet.

Pierwszy na liście był Arnott Jason.

Czysty, orzekł Si Morgan. Jason Arnott był kilkakrotnie przesłuchiwany w poprzednich latach i zawsze miał niezbite alibi. Żył z gry na giełdzie, a na jego osobistych kontaktach nie pojawiały się duże sumy niewiadomego pochodzenia. Wszystko pasowało. Bez oszukiwania płacił podatki od obrotu akcjami. Ceniono jego wiedzę jako eksperta dzieł sztuki. Bywał wszędzie. Był bardzo lubiany.

Jeśli cokolwiek mogło niepokoić policjanta, to to, że Arnott jest idealny aż do przesady. Ten fakt, oraz wyrafinowany gust włamywacza, w pewnym sensie odpowiadały charakterowi kradzieży, podczas których nigdy nie ginęły rzeczy przypadkowe, lecz najcenniejsze i najdroższe. Si Morgan uznał, że nie zawadzi raz jeszcze sprawdzić Arnotta. Ale następne nazwisko na liście, Sheldon Landi, znacznie bardziej go zainteresowało. Człowiek ten miał własną agencję reklamową.

Landi nie zarabiał milionów, a tymczasem żył na bardzo wysokiej stopie. Uwielbiał brylować w najlepszym towarzystwie. Pasował do komputerowej charakterystyki, wedle której złodziej był

mężczyzną w średnim wieku, kawalerem z wyższym wykształceniem, niezależnym finansowo.

Policja rozesłała sześćset odbitek zdjęcia z ukrytej kamery i uzyskała jak dotąd trzydzieści odpowiedzi. Zadzwoiła na przykład jakaś kobieta, twierdząc, że włamywacz na zdjęciu to jej były mąż.

- Okradał mnie przez wszystkie lata naszego małżeństwa i obrabował mnie na rozprawie rozwodowej. Ma taką samą wysuniętą brodę jak ten na zdjęciu. Na waszym miejscu sprawdziłabym go.

Si odchylił się w fotelu i uśmiechnął na wspomnienie tej rozmowy. Ów mąż-złodziej okazał się senatorem.

Jonathan i Grace Hoover około pierwszej oczekiwali Kerry i Robin. Bardzo lubili obyczaj wspólnych rodzinnych obiadów. Niestety, po południu niebo się zachmurzyło. Mimo chłodu i braku słońca w domu wypełnionym smakowitym zapachem pieczonego jagnięcego udźca było przytulnie. Na kominku w salonie wesoło płonął ogień.

Grace rozwiązywała krzyżówkę w „Timesie”, Jonathan zaś czytał dodatek kulturalny. Podniósł głowę, gdy usłyszał niezadowolone mruknięcie żony. Zobaczył, że pióro Grace upadło na podłogę. Z wysiłkiem przechyliła się w fotelu, usiłując je podnieść.

- Grace - upomniał ją z wyrzutem, schylając się, by podać żonie upuszczone pióro.
- Co ja bym bez ciebie zrobiła, kochanie - odparła z wdzięcznością.
- Nawet się nad tym nie zastanawiaj, moja droga. Sam mógłbym ci zadać identyczne pytanie.
- Wiem, kochany - powiedziała, przytulając na moment jego dłoń do swego policzka. - Mam w tobie oparcie i to mi dodaje sił do życia.

Jadąc do Hooverów, Kerry i Robin wymieniały wrażenia z pobytu u państwa Dorso.

- Bardziej mi się tam podobało niż w najlepszej restauracji, mam - trajkotała Robin. - Bardzo ich wszystkich lubię.

- Ja też - z rezerwą powiedziała Kerry.
- Pani Dorso mi mówiła, że trudno nauczyć się dobrze gotować.
- Też tak sądzę. Sama mam z tym poważne kłopoty.
- Och, mam! Przynajmniej robisz dobre spaghetti.
- I nic poza tym.
- Wiesz, mama Geoffa cię lubi. - Robin na wszelki wypadek zmieniła temat. - Rozmawialiśmy o tobie.

- Co takiego?
- Mama Geoffa mówi, że on nigdy nie przyprowadza swoich dziewczyn do domu. Ty jesteś pierwsza. Mówi, że siostry zawsze się nabijały z jego ukochanych i teraz on ma na tym punkcie kompleks.

- Możliwe. - Kerry nie chciała pamiętać, że w drodze powrotnej z więzienia przysnęła na chwilę i ocknęła się z głową na ramieniu Geoffa. Najdziwniejsze, że wydawało jej się to zupełnie naturalne.

Wizyta u Jonathana i Grace upływała, co było do przewidzenia, w bardzo miłej atmosferze. Kerry wiedziała jednak, że w rozmowie nieuchronnie wypłynie temat sprawy Reardona, ale prawdopodobnie dopiero przy kawie. Robin zwykle grywała wówczas w gry komputerowe, które kupował jej Jonathan.

Na razie trwał obiad. Jonathan opowiadał o posiedzeniach dotyczących zmiany ustaw i o budżecie na przyszły rok, który gubernator pragnąłby przeforsować.

- Widzisz, Robin, z polityką jest jak z grą w piłkę nożną. Gubernator to trener, który wypuszcza

graczy na boisko, a przewodniczący jego partii w Senacie i Kongresie to napastnicy.

- Czyli w Senacie to ty? - spytała Robin.

- Można tak powiedzieć - zgodził się Jonathan. - Reszta drużyny to obrońcy. Dbają o to, by nie stracić piłki.

- A druga drużyna?

- Cholernie im zależy, żeby zerwać mecz.

- Jonathanie! - skarciła go Grace.

- Przepraszam, moja droga. Ale w tym tygodniu strasznie nam podkładali świnię. Od lat nie pamiętam takich ataków.

- Co to jest podkładanie świni?

- Mało honorowy, ale od dawna rozpowszechniony zwyczaj, aby dorzucać do budżetu niepotrzebne wydatki tylko po to, żeby się podlizać swoim wyborcom. Niektórzy politycy mają tę sztukę opanowaną do perfekcji.

- Szczęściara z ciebie, Robin, że uczysz się takich skomplikowanych rzeczy o pracy rządu akurat od wujka Jonathana - z uśmiechem powiedziała Kerry.

- Robię to z czystego egoizmu - rzekł Jonathan. - Gdy Kerry zasiądzie już w Sądzie Najwyższym w Waszyngtonie, przyuczę Robin i zostanie wybrana do komisji budżetowej.

Kerry potraktowała to jako wyraźny sygnał i pozwoliła Robin odejść od stołu i pograć sobie na komputerze.

- Przygotowałem dla ciebie niespodziankę, Robin - zapowiedział Jonathan. - Spodoba ci się.

Gospośia podała kawę. Kerry z góry wiedziała, że wypije co najmniej dwie filiżanki. Musiała się pokrzepić przed tą rozmową.

Nie czekając na pytania Jonathana, streściła jemu i Grace wszystko, czego się dotąd dowiedziała, i zakończyła słowami:

- Teraz jest jasne, że doktor Smith kłamał. Pytanie tylko, do jakiego stopnia. Jasne jest także, że Jimmy Weeks za nic nie chce wznowienia tej sprawy. Inaczej nie posuwałyby się aż do szantażu i nie groził Robin.

- To Kinellen powiedział ci, że Robin jest w niebezpieczeństwie? - Głos Grace był zimny jak sople lodu.

- Ostrzegł mnie - odparła Kerry, zwracając się znów do Jonathana. - Słuchaj, musisz zrozumieć, że nie robię tego na złość Frankowi Greenowi. Byłby świetnym gubernatorem i wiem, że to właśnie miałeś na myśli, tłumacząc Robin istotę pracy nad budżetem. Na pewno kontynuowałby politykę gubernatora Marshalla. A sama bardzo chcę być sędzią, Jonathan. Jestem pewna, że czułabym się dobrze w tej roli. Umiem osądzać sprawiedliwie, bez nadmiernej surowości i bez roztkliwiania się. Sam powiedz, jakim mogłabym być sędzią, gdybym jako prokurator przymknęła oczy na jawną pomyłkę sądową?

Głos zaczął jej się łamać ze wzruszenia.

- Przepraszam was, ale tak głupio mnie ponosi.

- Każdy człowiek powinien postępować w taki sposób, jaki mu nakazuje sumienie - uspokajająco powiedziała Grace.

- Wiercie mi, naprawdę nie zabiegam o tanią popularność. Ale skoro wyczułam, że coś jest nie tak, zamierzam dość do sedna i przekazać potem piłeczkę Geoffowi Dorso. Jutro po południu wybieram się do doktora Smitha. Chcę mu powiedzieć prosto w oczy, że fałszywie zeznawał na procesie. Moim zdaniem, przeżywa teraz załamanie psychiczne. Nękanie ludzi jest karalne. Jeśli go przycisnę i przyzna, że kłamał w zeznaniach i nie dawał Suzanne biżuterii, jak twierdził, to otworzy

nam to nowe drogi śledztwa. Będzie można poszukać innego mężczyzny. Geoff Dorso zyska podstawę do wszczęcia nowego procesu. Zbieranie dowodów potrwa kilka miesięcy, a w tym czasie Frank zostanie wybrany gubernatorem.

- Ale ty, kochanie, stracisz szansę na sąd - pokiwał głową Jonathan. - Potrafisz być przekonująca, Kerry, i podziwiam to, ale pomyśl o sobie. Moim zdaniem, ta sprawa będzie cię kosztować osobistą karierę. A przede wszystkim pomyśl o Robin. Szantaż należałoby po traktować poważnie.

- I tak go traktuję, Jonathanie. Poza kilkoma godzinami, jakie spędziła w domu Dorsów, nie spuszczałam jej z oka. Nikt jej nie spuści z oka ani na sekundę.

- Kerry, nasz dom jest twoim domem. Zawsze możesz zostawić ją tutaj - zaproponowała Grace. - Dbamy o ochronę, a brama jest stale zamknięta. Mamy alarm i zawczasu wiadomo, że ktoś chce wejść. Możemy wynająć jakiegoś emerytowanego policjanta, żeby odwoził ją do szkoły i ze szkoły.

Kerry położyła dłoń na zdeformowanych palcach Grace i uściśniła je.

- Tak bardzo was kocham - wyznała z prostotą. - Jonathanie, błagam, nie gniewaj się. Robię tylko to, co muszę.

- Wiem, że powinienem być dumny z twojej postawy - powiedział Jonathan. - Zrobię wszystko, co się da, w sprawie nominacji na sędziego, ale sama rozumiesz, że...

- Że nie mogę na nią liczyć - przerwała mu spokojnie Kerry. - Wiem o tym. Wybory kosztują, prawda?

- Myślę, że powinniśmy zmienić temat - powiedział szybko Jonathan. - Ale informuj mnie o wszystkim na bieżąco, dobrze, kochanie?

- Jasne.

- A teraz co do rzeczy przyjemnych, to Grace była wczoraj w formie i wypuściliśmy się na kolację do klubu.

- Fantastycznie, Grace - uśmiechnęła się Kerry.

- Poznaliśmy pewnego pana, którego musiałam już wcześniej spotkać - powiedziała Grace. - Nazywa się Jason Arnott.

Kerry nie podchwyciła tematu. Uznała, że chwilowo nie ma takiej potrzeby.

- I co o nim myślisz? - zapytała z uprzejmą obojętnością.

- Sama nie wiem. Ale jestem pewna, że albo go już spotkałam, albo widziałam jego zdjęcie w gazetach - Grace wzdrygnęła się. - Przypomni mi się z czasem. Takie rzeczy zawsze mi się przypominają.

Wprawdzie świeżo zaprzysiężona ława sędziów przysięgłych nie знаła żadnych szczegółów na temat podwójnego zabójstwa Barneya Haskella i Marka Younga, ale prasa, radio i telewizja pilnie zadbały o to, by reszta opinii publicznej została o nich wyczerpująco poinformowana. Sobotnio-niedzielne wydania wielu gazet poświęciły całe kolumny śledztwu, a telewizja w kółko pokazywała miejsce zbrodni.

Na policję zadzwonił anonimowy, mocno przestraszony świadek. Zamierzał właśnie podjąć pieniądze z pobliskiego bankomatu, gdy zauważył, że na parking przy niewielkim budynku, gdzie mieściło się biuro Marka Younga, zajeżdża granatowa toyota. Było dziesięć po siódmej. Prawe przednie koło samochodu świadka podejrzanie stukało, więc zatrzymał się, żeby je sprawdzić. Klęczał akurat przy oponie, gdy zauważył, że drzwi budynku znów się otwierają i do toyoty wsiada mężczyzna około trzydziestki. Świadek nie dostrzegł rysów jego twarzy, ale zauważył, że mężczyzna trzymał w ręce dużego kalibru pistolet.

Świadek zapamiętał częściowo rejestrację auta pochodzącego z innego stanu. Policja szybko zidentyfikowała toyotę, ukradzioną w czwartkową noc w Filadelfii. W piątek wieczorem jej wypalone szczątki odnaleziono w Newark.

W świetle materiału dowodowego rozwiały się podejrzenia, że może chodzić o pospolity napad rabunkowy. Wszystko wskazywało na zemstę gangu. Ślady prowadziły do Jimmy'ego Weeksa. Policja chwilowo jednak nie potrafiła tego udowodnić. Jedyne świadek nie był w stanie zidentyfikować mordercy. Samochód zniszczono.

Pociski w ciałach ofiar pochodziły z nie rejestrowanej broni, która najprawdopodobniej spoczywała gdzieś na dnie rzeki.

W poniedziałek Geoff Dorso znów wybrał się na proces Weeksa. Oskarżyciel publiczny budował linię oskarżenia powoli, ale solidnie. Dowody były niezbite. Royce, kontrkandydat Franka Greena do fotela gubernatora, nie usiłował kreować się na gwiazdę. Poważny, łysiejący facet w okularach o wyglądzie profesora bez błyskotliwych efektów, lecz systematycznie i skutecznie unicestwiał możliwości obrony, interpretując jasno i wyraźnie efekty podejrzanych operacji finansowych firmy Weeks Enterprises.

Używał tablic i wykresów, które objaśniał za pomocą długiej wskazówki, takiej samej, jaką Geoff zapamiętał ze swojej szkoły podstawowej, prowadzonej przez siostry zakonne. Uznał, że Royce w mistrzowski sposób pomaga przysięgłym zrozumieć machlojki Weeksa. Nie trzeba było kończyć wyższego kursu matematyki, żeby pojąć jego łopatologiczne wyjaśnienia.

Royce powołał na świadka pilota prywatnego samolotu Jimmy'ego Weeksa.

- Czy za każdym razem wypełniał pan regulaminowe karty lotów? - pytał. - Jak często pan Weeks korzystał ze swego samolotu w sprawach prywatnych? Jak często zabierał na przejażdżki bliskich przyjaciół? Czy przedsiębiorstwo płaciło za każde uruchomienie silnika? Czy aby wszystkie loty rejestrowane na firmę odbywały się w interesach, czy może także dla przyjemności?

Gdy skończył, nadeszła kolej Boba Kinellena. Krzyżowym ogniem pytań speszył pilota tak, że ten

zaczął mylić daty i fakty. Geoff znów musiał przyznać, że Kinellen jest bardzo dobry w tym, co robi, ale czegoś mu jakby zabrakło. Nigdy nie wiadomo do końca, co pomyślał przysięgli, Geoff jednak był pewien, że wyczuwają blef adwokata i nie dadzą się nań wziąć.

Wpatrzył się uważnie w nieruchomą jak maska twarz Jimmy'ego Weeksa, który zawsze przychodził na salę rozpraw ubrany w tradycyjny ciemny garnitur, białą koszulę i krawat. Sprawiał dokładnie takie wrażenie, jakie chciał - faceta w sile wieku u szczytu sukcesu, człowieka, którego rząd za niewinność chce zrobić w afery podatkowe.

Dziś Geoff patrzył na niego jak na potencjalnego kochanka Suzanne Reardon. Czy naprawdę Weeks nim był? - zastanawiał się. Jak bardzo się zaangażował? Czy to on obdarowywał ją klejnotami? Kartka znaleziona przy zwłokach adwokata Haskella pasowała do róż przysłanych Suzanne przed śmiercią. Ale Haskell nie żył, a oryginalny bilet zniknął, więc nie sposób było cokolwiek Jimmy'emu udowodnić.

Bizuteria to interesujący problem, myślał Geoff. Warto się mu bliżej przyjrzeć. Ciekawe, czy Weeks kupował prezenty dla wszystkich swoich dziewczyn u tego samego jubilera? Która to panienska opowiadała mu parę lat temu o swoim związku z Weeksem? Nie mógł sobie przypomnieć, ale od czego są stare kalendarzyki? Geoff był pewien, że zapisał sobie tę randkę sprzed dwóch czy trzech lat.

Wymknął się z sali, gdy tylko sędzia ogłosił przerwę. Był już w połowie schodów, kiedy usłyszał, że ktoś za nim woła. Bob Kinellen. Za czekał na niego.

- Czyżbyś się szczególnie interesował moim klientem? - spytał Kinellen.

- Trochę - odparł Geoff.

- Rozmawiałeś o nim z Kerry?

- Nie sądzę, Bob, żebyś miał prawo się tym interesować. Mimo to odpowiem na twoje pytanie.

Byłem szczęśliwy, że mogę jej pomóc, kiedy ją zostawiłeś ze świadomością, że ten gangster, przepraszam, twój zacny klient, zagraża jej dziecku. Liczysz może na tytuł Tatusia Roku? Jeśli tak, to się przeliczysz. Moim zdaniem, za słabo się starasz.

77

W poniedziałek rano Grace dłużej niż zwykle została w łóżku. Mimo doskonałego ogrzewania zimowy chłód i wilgoć wchodziły jej w kości. Dłonie, łokcie, kolana i kostki nóg przeszywał przejmujący ból. Po zakończeniu posiedzeń komisji ustawodawczej zamierzali się z Jonathanem przenieść do swojej rezydencji w Nowym Meksyku. Suchy, gorący klimat działał zbawiennie na jej dolegliwości.

Wiele lat temu, na samym początku choroby, Grace podjęła twarde postanowienie, że nigdy nie będzie użalać się nad sobą. Uważała, że to niegodne. Czas pokazał, jak trudno było owo postanowienie zrealizować - w chwilach depresji Grace przyznawała, że - poza coraz silniejszym bólem - najtrudniej znosi brak swej normalnej aktywności życiowej.

Należała do tych żon, które czynnie wspomagają działalność polityczną mężów. Uczęszczała na zebrania towarzyskie i mityngi nie dla tego, by za tym przepadała, ale w interesie Jonathana. Obecność żony zwiększała jego popularność. Poza tym Grace kochała go i była z niego bardzo dumna. Zasługiwał na fotel gubernatora, była o tym głęboko przekonana.

Po spotkaniach w ciągu dnia często jadali kolację we dwoje lub nagle postanawiali wyskoczyć gdzieś na weekend. Uśmiechnęła się na wspomnienie takiego wypadu do Arizony po dwudziestu latach małżeństwa, gdzie w hotelu wzięto ich za nowożeńców.

Teraz wszystko było inaczej: fotel na kółkach i konieczność podróży z pielęgniarką, która pomagałaby Grace w myciu i ubieraniu, wszystkie te niedogodności sprawiły, że pobyt w hotelu wydawał jej się koszmarem. Nie chciała być Jonathanowi kulą u nogi i najchętniej zostawała w domu.

Cieszyły ją jednak takie wieczory jak przedwczoraj, kiedy poczuła się na siłach, aby się wybrać do klubu. Zdarzyło się to po raz pierwszy od wielu tygodni. Nie mogła przestać myśleć o tym człowieku, Jasonie Arnotcie. Pytała nawet Jonathana, gdzie mogła go wcześniej spotkać, ale jedyne, co mu przyszło do głowy, to jakaś duża akcja dobroczynna.

Ostatni raz Grace uczestniczyła w takiej imprezie dwanaście lat temu. Poruszała się wtedy o dwóch laskach i już wówczas bardzo źle się czuła wśród tłumów. Nie, na pewno nie tam. Musiała go widzieć gdzie indziej. Z czasem sobie przypomni.

Do sypialni weszła z tacą gospościa Carrie.

- Pomyślałam, że już pora na drugą filiżankę herbaty - powiedziała z poczciwym uśmiechem.

- Najwyższy czas, Carrie, dziękuję bardzo.

Carrie ustawiła tacę na specjalnym stolyczku i poprawiła poduszki.

- Tak będzie lepiej - powiedziała. Sięgnęła do kieszeni fartucha i wyjęła stamtąd jakiś papier. - Pani Hoover, znalazłam to w gabinecie pana senatora. Wyrzucił kartkę do kosza, ale chciałam na wszelki wypadek zapytać o pozwolenie, czy mogę zabrać ten list gończy do domu. Mój wnuczek Billy chciałby zostać agentem FBI. Będzie uszczęśliwiony. - Gospościa podała Grace kartkę.

Grace spojrzała i już miała ją oddać, gdy coś ją powstrzymało. Jonathan pokazał jej ten list gończy w piątek, żartując: „Który to z twoich znajomych?” Krótki tekst objaśniał, że ulotkę rozesłano do wszystkich osób, które bywały w okradzionych potem domach.

Rozmazane zdjęcie z grubym ziarnem, prawie nieczytelne, ukazywało profil złodzieja sfotografowanego przez ukrytą kamerę na gorącym uczynku. Był podejrzany o dokonanie wielu podobnych kradzieży. Jedna z hipotez zakładała, iż jest człowiekiem z towarzystwa. Napisano, że wszelkie informacje, zgłoszone policji, pozostaną poufne.

„Parę lat temu okradzione waszyngtoński dom Peale'ów - powiedział jej w piątek Jonathan. - Obrzydliwa sprawa. Byłem tam na przyjęciu z okazji zwycięstwa Jocka. W dwa tygodnie później jego matka wcześniej wróciła z wakacji i musiała natknąć się na złodziei. Znalaziono ją przy schodach z przetrąconym karkiem. Z domu zginął obraz Johna White'a Alexandra”.

Grace również знаła Peale'ów - może dlatego list tak mocno zaprzętnął jej uwagę. Kamera uchwyciła złodzieja z dołu. Grace wpatrywała się w wąską szyję, ostry nos, zaciśnięte wargi. Pod takim kątem zwykle nie patrzy się na ludzi. Ale jeśli ktoś siedzi w fotelu inwalidzkim..

Przysięgłabym, że ten człowiek to Jason Arnot, pomyślała Grace. Czy to możliwe?

- Carrie, podaj mi telefon, proszę.

W chwilę później Grace rozmawiała z Amanda Coble, która przedstawiła jej w klubie Jasona Arnotta. Po wstępnej wymianie uprzejmości skierowała rozmowę na niego. Powiedziała Amandzie, iż wciąż ją męczy uczucie, że go zna. Pod tym pozorem wypytała ją dokładnie, gdzie Jason mieszka i czym się zajmuje.

Gdy skończyła rozmowę, upiła łyk zimnej herbaty i znów wpatrzyła się w kartkę. Z tego, co powiedziała Amanda, wynikało, że Arnot jest ekspertem w dziedzinie sztuki i obraca się wśród samej śmietanki - od Newark po Waszyngton.

Grace zadzwoniła do biura Jonathana. Nie było go. Gdy wrócił o wpół do czwartej, powiedziała mu, że uważa Jasona za włamywacza z listu gończego.

- To poważne oskarżenie, moja droga - niepewnym tonem odparł Jonathan.

- Mam bystre oko, kochany. Dobrze o tym wiesz.

- Tak, wiem - zgodził się. - Gdyby ktoś inny wysunął takie podejrzenie, wahałbym się. Ale ty...

Nie chcę tego zgłaszać na piśmie. Podaj mi numer z listu. Sam zadzwonię do FBI.

- Nie - powiedziała Grace. - Skoro przyznajesz, że mogę mieć rację, ja do nich zadzwonię. Jeśli się mylę, nikt nie powiąże tego z twoją osobą. Mam poczucie, że znów robię coś pożytecznego. Bardzo lubiłam matkę Jocka Peale'a. Chciałabym pomóc odszukać jej mordercę. Każde morderstwo powinno być ukarane.

78

Doktor Charles Smith był w podłym nastroju. Samotny weekend przygnębił go, tym bardziej że nie zdołał się skontaktować z Barbarą Tompkins. Sobota była taka ładna i słoneczna. Chciał ją zaprosić na wycieczkę do Westchester z przystankiem na obiad w pewnej gospodzie nad Hudsonem.

Nagrał się na jej automatyczną sekretarkę, lecz nie oddzwoniła. W niedzielę było równie niemiło. Zwykle przeglądał wówczas dodatek kulturalny do „Timesa” i wybierał jakąś ambitną sztukę lub koncert w Lincoln Center. Tego dnia na nic nie miał ochoty. Większość dnia przeleżał w ubraniu na łóżku, wpatrując się w portret Suzanne.

Uczyliem cud, myślał. Ta pospolita, brzydka i antypatyczna dziewczyna, córka przystojnych rodziców, dzięki niemu powtórnie się narodziła. Ofiarował jej urodę wspaniałą aż do bólu.

W poniedziałek rano zadzwonił do Barbary do biura. Powiedziano mu, że wyjechała służbowo do Kalifornii i nie będzie jej przez dwa tygodnie. To go ostatecznie dobiło. Wiedział, że kryje się za tym jakieś kłamstwo. W czwartkowej rozmowie podczas kolacji Barbara wspomniała coś o obiedzie w środę w „La Grenouille”. Zapamiętał to, bo dodała, że nigdy jeszcze nie była w tej restauracji i bardzo się na to cieszy.

Przez resztę dnia z trudem koncentrował się na pracy, której zresztą wcale nie było za dużo. Pacjentki coraz rzadziej przychodziły do jego gabinetu, a po pierwszej wizycie najczęściej już nie wracały. Nie dbał o to zbytnio - z tak niewielu w końcu udawało się zrobić prawdziwe piękności.

Znów poczuł na sobie badawcze spojrzenie Kate Carpenter. Była bardzo sprawna, ale postanowił, że ją zwolni. W ubiegłym tygodniu, podczas operacji nosa, patrzyła na niego jak matka zatroskana o to, czy dziecko zdoła przejść do następnej klasy.

Gdy Smith dowiedział się, że wizyta planowana na wpół do czwartej została odwołana, postanowił wcześniej iść do domu. Chciał podjechać samochodem pod agencję, gdzie pracuje Barbara. Zwykle wychodziła z budynku parę minut po piątej. Postanowił być tam wcześniej, tak na wszelki wypadek. Myśl, że ona może go świadomie unikać, była nie do zniesienia. Gdyby ją na tym przyłapał, to...

Wychodził właśnie na Piątą Aleję, gdy dostrzegł zmierzającą w jego stronę Kerry McGrath. Rozejrzał się, czy zdoła jej umknąć, ale było to niemożliwe. Zastąpiła mu drogę.

- Ach, doktorze, jak się cieszę, że pana złapałam - powiedziała. - Muszę z panem porozmawiać w ważnej i pilnej sprawie.

- Proszę się zapisać w recepcji, pani McGrath. Pani Carpenter jeszcze jest w gabinecie. - Próbował ją wyminąć, ale stała tuż przed nim.

- Nie będę z nią omawiać sprawy pańskiej córki. To nie ona jest odpowiedzialna za uwięzienie niewinnego człowieka.

Doktor Smith zareagował tak gwałtownie, jakby ktoś oblał go wrzątkiem.

- Jak pani śmie? - wysyczał, chwytając ją za rękę.

Kerry zrozumiała, że jeszcze moment, a pewnie ją uderzy. Jego twarz wykrzywiła wściekła furia, usta zacisnęły się w wąską linię. Czowała drżenie dłoni, która ścisnęła jej przegub. Jakiś przypadkowy przechodzień przystanął i spytał:

- Wszystko w porządku, proszę pani?

- Wszystko w porządku, doktorze? - spokojnie zapytała Kerry.

Smith natychmiast ją puścił.

- Oczywiście, oczywiście - powiedział, ruszając szybkim krokiem ulicą. Kerry pośpieszyła za nim.

- Zdaje pan sobie sprawę, doktorze, że nie uniknie pan tej rozmowy. Lepiej, żeby pan mnie spokojnie wysłuchał, nim sprawy zajdą za daleko i zdarzy się panu coś bardzo nieprzyjemnego.

Nie odpowiedział. Była tak blisko, że słyszała jego przyśpieszony oddech.

- Może pan nawet pędzić sprintem, i tak mam lepszą kondycję. Woli pan wrócić do swego biura czy znajdziemy tu jakieś spokojne miejsce, gdzie można porozmawiać przy kawie? Bo porozmawiać musimy. Inaczej zostanie wydany nakaz aresztowania pana pod zarzutem o molestowanie.

- O... o co? - dopiero teraz Smith odwrócił się do niej twarzą.

- Nęka pan Barbarę Tompkins. Ona się pana boi. Czy Suzanne też pan próbował straszyć? Bo przecież był pan koło jej domu tamtej nocy, prawda? Dwie osoby, kobieta i chłopiec, widziały pańskiego mercedesa przed domem Reardonów. Kobieta zapamiętała z rejestracji cyfrę „3” i literę „L”. Dziś to sprawdziłam. Ma pan w swoim numerze cyfrę „8” i „L”. Czy to tylko zbieg okoliczności? Nie sądzę. Czy teraz jest pan gotów do rozmowy?

Patrzył na nią w milczeniu dłuższą chwilę. W jego oczach wciąż migotały iskry gniewu. Ale gniew szybko zastąpiła rezygnacja, a napięta sylwetka zwiótczała i oklapła.

- Tu mieszkam - powiedział, unikając jej spojrzenia. Stali na rogu; wskazał dłonią w lewo. Kerry wzięła te słowa za zaproszenie. Czy to się aby źle dla mnie nie skończy? - pomyślała. Jest taki rozdrażniony. Ciekawe, czy w domu ma gosposię? Zdecydowała szybko, że niezależnie od tego, czy ktoś tam będzie, czy nie, to jest jej ostatnia szansa. Szok, jaki przed chwilą zafundowała Smithowi, zmienił coś w jego psychice. Choć doktor, jak wiadomo, nie miał nic przeciwko posyłaniu innych do więzienia, sam nie bardzo miał ochotę stanąć w roli oskarżonego.

Znajdowali się na Washington Mews numer 28. Doktor sięgnął do kieszeni i wyjął klucz. Precyzyjnym gestem włożył go do dziurki i otworzył drzwi.

- Proszę wejść, jeśli wciąż pani na tym zależy.

79

Ludzie z FBI otrzymywali coraz więcej odpowiedzi na swój apel. Ludzie goszczący w obrabowanych domach dzwonili, dzieląc się swymi podejrzeniami. Na czele listy stała wybrana komputerowo dwunastka. Si Morgan uważał, że jest na właściwym tropie, gdy jego główny podejrzany, Sheldon Landi, w poniedziałek po południu przyznał się, że jego agencja to tylko przykrywka dla właściwej działalności.

Landiego wezwano na przesłuchanie. Przez chwilę Si miał nadzieję, że usłyszy spowiedź złoczyńcy. Tymczasem mężczyzna, splatając nerwowo dłonie wyszeptał:

- Wie pan, co to jest „Kawa na Ławę”?

- Gazeta reklamowa supermarketu? - upewnił się Si.

- Zgadza się. Największa. Co tydzień cztery miliony nakładu. - Si usłyszał błagalny ton w głosie Landiego. Jego głos zamarł, przechodząc w ledwo słyszalny szept. - To nie może wyjść poza ściany

tego pokoju, ale powiem panu, że to ja produkuję te wszystkie głupie teksty. Gdyby sprawa się wydała, nikt z przyjaciół nie chciałby więcej ze mną gadać.

Wiele hałasu o nic, pomyślał Si, gdy Landi już sobie poszedł. Ta gnida to pospolity kolekcjoner plotek z wyższych sfer. Nie miałyby dość zimnej krwi, by zaplanować poważny skok.

Za kwadrans czwarta wszedł do niego jeden z agentów.

- Si, mam na linii panią, która ma coś ciekawego do powiedzenia w sprawie kradzieży u Hamiltonów. Powinieneś z nią pogadać. Nazywa się Grace Hoover. To żona senatora New Jersey, Jonathana Hoovera. Twierdzi, że rozpoznała człowieka z listu gończego. Mamy ptaszka na naszej liście. Nazywa się Jason Arnott.

- Arnott! - Si chwycił słuchawkę. - Pani Hoover, mówi Si Morgan. Dziękuję, że zechciała pani zadzwonić.

Słuchając, myślał, że Grace Hoover jest wymarzonym świadkiem. Jej rozumowanie było logiczne, doskonale wyartykułowane i objaśnione. Zwłaszcza fakt, że oglądała żywego Jasona Arnotta pod tym samym kątem, pod jakim sfotografowała go ukryta kamera.

- Kiedy patrzy mu się prosto w oczy, jego twarz wydaje się pełniejsza, niż widziana od dołu - mówiła. - Gdy spytałam, czy się przypadkiem nie znamy, usta zacisnęły mu się w wąską linię. Może to taki nie świadomy nawyk, kiedy się na czymś koncentruje. Niech pan spojrzy, jak wyglądają na zdjęciu. Prawdopodobnie w chwili, gdy kamera go uchwyciła, bardzo uważnie studiował rzeźbę. Pewnie zastanawiał się, czy to oryginał, czy falsyfikat. Przyjaciółka mówiła mi, że Arnott doskonale zna się na antykach.

- Tak, jest ekspertem. - Si Morgan był ogromnie podniecony. W końcu natrafił na swoją żyłę złota. - Pani Hoover, nie potrafię wyrazić naszej wdzięczności. Jeśli udowodnimy mu winę, otrzyma pani nagrodę w wysokości stu tysięcy dolarów.

- Ach, to doprawdy nieważne - powiedziała Grace. - Przekażę ją na cele dobroczynne.

Gdy Si Morgan zakończył rozmowę, pomyślał o rachunkach za pierwszy semestr nauki syna w college'u, leżących w domu na biurku. Kręcąc z niedowierzaniem głową nacisnął guzik interkomu i wezwał trzech agentów, badających sprawę Hamiltonów. Kazał im śledzić każdy krok Arnotta przez całą dobę bez przerwy. Sądząc ze śledztwa sprzed dwóch lat, facet znakomicie potrafi zacierać ślady - jeśli to rzeczywiście on był włamywaczem. Należy poddać go dyskretnej obserwacji przez jakiś czas. To mogłoby wreszcie naprowadzić FBI na ślad skradzionych przedmiotów.

- Jeśli to nie będzie kolejny fałszywy alarm, przyszpilimy go na cacy - powiedział swoim ludziom Si. - A potem udowodnimy mu morderstwo pani Peale. Szef o niczym innym nie marzy. To wielka sprawa. Pani Peale od lat grywała w brydża z matką prezydenta.

80

Choć w pokoju było czysto, wprawne oko Kerry dostrzegło ślady wieloletniego zapuszczenia. Kremowe jedwabne abażury kinkietów, takie same, jakie pamiętała z domu dziadków, były zrudziałe ze starości. Jeden był przepalony i światło żarówki ostro raziło przez dziurę. Siedzenia obitych aksamitem krzeseł zapadały się zbyt głęboko na skrzypiących sprężynach.

Być może, dawno temu, ten wysoki pokój mógł być piękny, ale teraz wydawał się jakby zamrożony w czasie, nierealny jak czarno-białe filmy z lat czterdziestych.

Kerry zsunęła płaszcz z ramion, ale doktor Smith nie pokwapił się, by go powiesić na wieszaku. Ten demonstracyjny brak form towarzyskich był wyraźnym sygnałem, by dała mu spokój i jak najprędzej się stąd wyniosła. Złożyła więc płaszcz i przewiesiła przez oparcie krzesła. Sztywno

wyprostowany Smith usiadł naprzeciwko, na niewygodnym krześle z wysokim oparciem, którego zapewne nigdy by nie wybrał, gdyby był w domu sam.

- Czego pani ode mnie chce? - spytał. Optyczne szkła bez ramek powiększały groteskowo jego oczy, zimne i wyzywające.

- Tylko prawdy. Chcę wiedzieć, dlaczego zeznał pan, że biżuteria, którą Suzanne dostawała od innych mężczyzn, to były pańskie prezenty. Chcę także wiedzieć, dlaczego skłamał pan, obciążając Skipa Reardona. On nigdy nie groził Suzanne. Mogła go wyprowadzić z równowagi, mógł się na nią rozeźlić, ale przecież nie groził, że ją zabije. Dlaczego zeznał pan pod przysięgą, że tak było?

- Bo to Skip Reardon zabił moją córkę. Udusił ją. Zrobił to w tak okrutny sposób, że gałki oczne wyszły jej z orbit, pękły tętnice szyjne, a język wywalił się z ust jak u martwego zwierzęcia... - Głos Smitha się załamał. Gwałtowny wybuch zmienił się w rozpaczliwy szloch.

- Rozumiem, że oglądanie jej zwłok w takim stanie musiało być dla pana ciężkim przeżyciem - łagodnie odezwała się Kerry. Zmrużyła oczy, widząc, jak wzrok Smitha przechodzi przez nią jak przez powietrze. - Dlaczego obwinił pan Skipa o tę zbrodnię?

- Bo był jej mężem. Bo był nieprzytomnie zazdrosny. To fakt. To oczywiste. - Przerwał. - Nie chcę o tym dalej mówić, pani McGrath. Żądam wyjaśnień w sprawie rzekomego nękania Barbary Tompkins.

- Chwileczkę. Jeszcze nie skończyliśmy ze sprawą Reardona. Myli się pan. Skip nie był zazdrosny o Suzanne. Doskonale wiedział, że ma kochankę - Kerry odczekała chwilę. - Pogodził się z tym. Smith wzdrygnął się, jakby go spoliczkowała.

- To niemożliwe! Ożenił się przecież z niezwykle kobietą. Uwielbiał ją.

- To pan ją uwielbiał, doktorze - nieoczekiwanie dla samej siebie zareplikowała Kerry. W tym samym momencie zdała sobie sprawę, że właśnie odkryła prawdę. - To był pana kompleks, prawda? Gdyby pan był jej mężem i odkrył zdradę, zamordowałby ją pan. Czy nie tak by było? - Spojrzała mu prosto w oczy.

- Jak pani śmie! - Nawet nie mrugnął. - Suzanne była moją córką! - dodał zimno. - A teraz niech się pani wynosi. - Wstał i zrobił krok w stronę Kerry, jakby chciał ją złapać i siłą wyrzucić za drzwi.

Kerry poderwała się z miejsca, chwyciła płaszcz i odsunęła się o krok do tyłu. Szybko rzuciła okiem, by sprawdzić, czy w razie czego zdoła bezpiecznie dobiec do drzwi wyjściowych.

- Myli się pan, doktorze. Pana córką była Susie Stevens. A Suzanne stworzył pan własnymi rękami. I uważał ją z tego powodu za swoją własność. To samo myśli pan o Barbarze Tompkins. Pan był w Alpine tej nocy, kiedy zginęła Suzanne, prawda? Zabił ją pan?

- Ja miałbym zabić Suzanne? Pani zwariowała!

- Ale był pan tam.

- Nie!

- Ależ tak, i zamierzam to udowodnić. Daję słowo. Wznowię sprawę i wyciągnę z więzienia niewinnie skazanego człowieka. Był pan o niego chorobliwie zazdrosny, więc ukarał go pan za to, że miał nieograniczony dostęp do Suzanne. Pan tego nie miał, mimo ciągłych wysiłków. Tak strasznie jej się pan narzucał, że pana odtrąciła. Znienawidziła własnego ojca.

- To kłamstwo - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Kerry zauważyła silniejsze drżenie jednej z jego dłoni. Zniżyła głos, starając się przybrać łagodniejszy ton:

- Panie Smith, zakładając, że nie pan zabił córkę, ktoś inny mu siał to zrobić. Ale nie był to Skip Reardon. Wierzę, że na swój sposób kochał pan Suzanne. Wierzę, że chciałby pan ukarać jej mordercę. A tymczasem co pan zrobił? Dał mu pan alibi i wypuścił go na wolność. Teraz śmieje się

z pana, dziękując Bogu za zagwarantowanie darmowej przykrywki. Gdybyśmy mieli biżuterię, której Skip nie kupił Suzanne, moglibyśmy go wyśledzić. Znaleźlibyśmy mężczyznę, który jej dawał takie prezenty. Skip jest pewien, że tamtej nocy zginęła z do mu co najmniej jedna rzecz.

- Łże!

- Nie. Od początku to powtarzał. Tamtej nocy zniknęło jeszcze coś. Miniaturowa ramka ze zdjęciem Suzanne. Była na nocnym stoliku. Ma ją pan?

- Nie byłem tego wieczoru w ich domu!

- Pożyczył pan komuś samochód?

- Wynoś się! - wybuchnął Smith.

Kerry wiedziała już, że musi uciekać. Wyminęła go, lecz przy drzwiach zatrzymała się na chwilę.

- Rozmawiałam z Barbarą Tompkins. Jest przerażona. Wyjechała, żeby się od pana uwolnić. Gdy wróci za dziesięć dni, osobiście do pilnuję, by złożyła na pana skargę na policji. - Kerry otworzyła drzwi. Do domu wplynęła fala mroźnego powietrza.

- Chyba że pan się podda leczeniu psychiatrycznemu, którego pan bezwzględnie potrzebuje. I chyba że powie mi pan prawdę o tym, co zdarzyło się tamtej nocy w domu Reardonów. I chyba że odda mi pan biżuterię od kochanka, do której się pan przyznał na procesie.

Gdy Kerry, z podniesionym kołnierzem i dłońmi wciśniętymi w kieszenie płaszcza, maszerowała do samochodu, nie zdawała sobie sprawy z tego, że śledzi ją zza firanki badawczy wzrok doktora Smitha. Nie wiedziała także, że kierowca auta zaparkowanego przy Piątej Alei uruchomił telefon komórkowy i przekazał raport o jej wizycie na Washington Mews.

81

Prokurator stanowy we współpracy z biurami prokuratorów Middlesex i Ocean County uzyskał nakaz rewizji domu Barneya Haskella oraz jego letniej willi. Mieszkając przez większość roku z dala od żony, Haskell wynajmował piętro przyjemnego domku na spokojnej uliczce przyzwoitego miasteczka Edison. Sąsiedzi powiedzieli reporterom, że Barney zawsze zachowywał się idealnie i był bardzo uprzejmy.

Drugi dom, nowoczesną piętrową konstrukcją z widokiem na Long Beach Island, przez cały rok zamieszkiwała jego żona. Sąsiedzi powiedzieli agentom, że w czasie letnich miesięcy Barney często tu bywał, łowiąc ryby i pływając motorówką. Ale jego prawdziwym hobby było majsterkowanie. Warsztat urządził sobie w garażu.

Kilku sąsiadów zeznało, że w ubiegłym roku pani Haskell zaprosiła ich na przyjęcie z okazji ukończenia nowego dębowego barku, który własnymi rękami wykonał jej mąż. Bardzo się tym dziełem chlubił.

Agenci wiedzieli, że Barney musiał mieć solidne dowody przeciw Jimmy'emu Weeksowi, skoro poszedł z prokuraturą na układy, chcąc zostać koronnym świadkiem oskarżenia. Wiedzieli także, że jeśli szybko tych dowodów nie namierzą, wyprzedzą ich ludzie Weeksa.

Mimo gorących protestów wdowy, która krzyczała, że dom należy do niej, choć zapisany był na nazwisko Barneya, i nie mają prawa go dewastować, gliny wyniosły z domu wszystko, co dało się ruszyć. Barek z salonu, przyśrubowany do ściany, także.

Gdy oderwali drewno od ściany, okazało się, że jest tam sejf mogący pomieścić dokumenty sporej firmy. Reporterów nie wpuszczono wprawdzie na teren posesji, ale operatorzy telewizyjni zarejestrowali na taśmie przybycie starego włamywacza, obecnie na usługach rządu. W kwadrans potem sejf został otwarty. Kwadrans po czwartej do oskarżyciela w sprawie Weeksa zadzwonił Les

Howard.

W sejfie znaleziono drugie, prawdziwe księgi firmy Weeks Enterprises, oraz prowadzony przez piętnaście lat dzień po dniu dziennik Barneya, w którym zapisywał wszystko, co wiedział o spotkaniach i rozmowach Weeksa.

Royce dowiedział się także, ku swemu niebywałemu zadowoleniu, że w pudełkach po butach odnaleziono kopie rachunków Weeksa za rozmaite luksusowe prezenty dla kochanek, oczywiście nie opodatkowane.

- To kopalnia diamentów - powiedział Royce'owi agent Howard. - Barney stosował w praktyce starą prawdę: „Boże, strzeż mnie od przyjaciół; z wrogami sam sobie poradzę”. Najwyraźniej szykował się na taką sytuację, w jakiej się znalazł. I postanowił, że jak już tonąć, to w towarzystwie Weeksa.

Royce odłożył rewelacje do następnego ranka. To dobrze, że mam trochę czasu, pomyślał. Po skończeniu rozmowy telefonicznej nadal się uśmiechał. Powiedział głośno: „Dzięki, Barney. Wiedziałem, że można na ciebie liczyć”. A potem siedział w ciszy, rozważając swe następne posunięcie na rozprawie.

Martha Luce, osobista księgowa Jimmy'ego, miała być świadkiem obrony. Już zeznała pod przysięgą, że księgi, które prowadziła, były jedyne i uczciwe. Gdyby jej zaproponować funkcję świadka koronnego w zamian za uniewinnienie, pani Luce zapewne bardzo chętnie przejdzie na stronę oskarżenia, pomyślał Royce.

82

Jason Arnott obudził się w niedzielę dość późno i stwierdził, że chyba złapał grypę. Dlatego zrezygnował z planowanej wyprawy do Catskills. Został w łóżku, wstając tylko raz, by przyrządzić sobie dietetyczny obiad. W takich chwilach żałował, że nie zatrudnia gosposi na stałe.

Z drugiej strony jednak, cenił sobie domową prywatność i to, że nikt mu nie wchodzi w drogę. Przyniósł sobie plik książek i gazet i spędził cały dzień w łóżku, czytając, drzemiąc i popijając sok pomarańczowy. Co jakiś czas nerwowo wyciągał ulotkę z FBI i wpatrywał w zamazaną karykaturę własnego oblicza, utwierdzając się w przekonaniu, że nikt go z nim nie skojarzy.

Do poniedziałkowego popołudnia prawie zupełnie wydobrzał, a przy tym zdołał zupełnie opanować strach przed listem gończym. Przecież agenci z FBI już go przesłuchiwali, jak i wszystkich pozostałych gości Hamiltonów, ale nikt nie potrafiłby mu udowodnić związku z włamaniem.

Ani zdjęcie z ukrytej kamery, ani podsłuch telefoniczny, ani żaden z przedmiotów znajdujących się w domu, ani stan konta - nic nie mogło go obciążyć. Nawet wynajęcie pokoju w waszyngtońskim hotelu w ten weekend, gdy zdarzyła się kradzież u Hamiltonów, bo Jason przezornie użył fałszywego nazwiska i dokumentów.

Nie ma sprawy. Może się czuć bezpieczny. Obiecał sobie, że we wtorek, a najdalej w środę, wybierze się do Catskills, by nacieszyć się swymi skarbami.

Jason nie wiedział, że ludzie z FBI uzyskali zezwolenie na podsłuch i dyskretnie śledzą jego dom. Odtąd będą znać każdy jego ruch.

83

Wyjeżdżając szosą na północ z Manhattan Greenwich Village, Kerry trafiła na falę pierwszych popołudniowych korków. Za dwadzieścia piąta wsiadła do samochodu w garażu przy Dwunastej

Ulicy. Pięc po szóstej skręcała na własny podjazd. Przed drzwiami podwójnego garażu dostrzegła volvo Geoffa.

Z samochodu zadzwoniła do domu i przestrzegła Robin i Alison, żeby nikomu nie otwierały, dopóki ona nie wróci. Tymczasem samochodu Alison nie było. Dlaczego Geoff przyjechał? Kerry szybko zgasiła silnik, światła i pobiegła do drzwi. Robin zapewne wyglądała przez okno, bo drzwi natychmiast się otworzyły.

- Robin, co się stało?

- Nic. Wszystko w porządku. Geoff zwolnił Alison i powiedział, że ze mną posiedzi, póki nie przyjedziesz. - Twarz małej spochmurniała. - Chyba to nic złego, że wpuściliśmy Geoffa?

- Jasne. - Kerry uściśnęła córkę. - Gdzie on jest?

- Tutaj. - Geoff wychynął z kuchni. - Pomyślałem, że po sobotniej kolacji na pewno stęskniłaś się za kuchnią Dorsów. Zresztą to nic specjalnego. Zrobiłem sznycelki cielece z zieloną sałatą i pieczone ziemniaki.

- Cudowne menu - Kerry poczuła, że jest równie głodna, jak zdenerwowana. Z westchnieniem rozpięła guziki płaszcza.

Geoff szybko po niego sięgnął, a potem, co wydawało się zupełnie naturalne, objął ją i cmoknął w policzek.

- Ciężko było w fabryce?

- Bywało lepiej - odparła, przytulając na moment twarz do jego piersi.

- Mamo, zaraz pójdę odrobić lekcje, ale najpierw powiedz, co mi grozi. Mam chyba prawo wiedzieć? Co powiedział doktor Smith?

- Najpierw odrób lekcje i daj mi troszkę odsapnąć. Obiecuję, że opowiem ci o wszystkim ze szczegółami.

Geoff zapalił elektryczny kominek. W salonie stała już butelka sherry i kieliszki.

- Wybaczysz mi, że tak się tu rządę?

Kerry rzuciła się na kanapę i zdjęła buty. Uśmiechnęła się do niego.

- Jasne.

- Mam ci coś do powiedzenia, ale zacznij pierwsza. Temat: Smith.

- Najpierw Frank Green. Powiedziałam mu, że chcę dziś wcześniej wyjść z biura i dlaczego.

- I co powiedział?

- Ważniejsze było to, czego nie powiedział. Ale trzeba Frankowi zaliczyć coś na plus, choć te słowa z trudem przeszły mu przez gardło. Powiedział, że chyba go nie podejrzewam o to, iż przedłożyłby własną karierę polityczną nad niesprawiedliwe osądzenie i uwięzienie niewinnego człowieka. Bardzo chciałabym mu wierzyć.

- Spróbuj. A co ze Smithem?

- Trafiony-zatopiony, Geoff. Wiem, że mi się udało. Facet się łamie. Jeśli nie powie prawdy, w następnym ruchu skłonię Barbarę Tompkins, żeby złożyła na niego oficjalną skargę. Tego Smith się najbardziej boi. Mam przecucie, że nie będzie chciał ryzykować i wcześniej sam nam powie parę ciekawych rzeczy. - Kerry zapatrzyła się w płomień, liżące sztuczne polana na kominku. Dodała: - Wiesz, Geoff, powiedziałam Smithowi, że mamy dwóch świadków, którzy widzieli tamtej nocy jego samochód. Powiedziałam mu też, że podejrzewam go o zabicie Suzanne. Wiesz, on się w niej kochał. Nie kochał jej tak, jak się kocha córkę lub kobietę, lecz jak swoje dzieło artystyczne. Pomyśl nad takim scenariuszem: Suzanne ma dosyć ojca, który jej się chorobliwie narzuca. Powiedział mi to Jason Arnott. Wierzę mu. W noc zabójstwa Smith jedzie pod jej dom. Skip przychodzi i szybko wychodzi. Suzanne układa w holu kwiaty przysłane przez kochanka. Pamiętaj, że dołączony bilet

zniknął. Smith jest zazdrosny, wściekły i poniżony. Teraz ma konkurencję nie tylko w osobie Skipa, ale także Jimmy'ego Weeksa. W napadzie szału dusi Suzanne, a ponieważ zawsze nienawidził Skipa, zabiera liścik od kochanka i staje w sądzie jako główny świadek oskarżenia. W ten sposób jego rywal zostaje ukarany trzydziestoletnią odsiadką, a policja jest zadowolona, że znalazła mordercę, i nie szuka dalej.

- To się nawet trzyma kupy - zaczął Geoff - ale wobec tego dlaczego Jimmy Weeks tak histerycznie zareagował na możliwość wznowienia sprawy?

- Myślałam o tym. On też jest niezłym kandydatem na mordercę. Był kochankiem Suzanne. Tamtej nocy pokłócili się i zabił ją. W innej wersji Suzanne mogła mu powiedzieć o gruntach w Pensylwanii, które Skip skupował. Jimmy mógł się przed nią wygadać, że wie o budowie autostrady, a potem dziewczynę zlikwidować, żeby nic nie mówiła Skipowi. Dostał tę ziemię za bezcen.

- Nawymyślałaś tego na kopy - powiedział Geoff. - A najgorsze, że każda wersja daje się udowodnić. Słuchałaś po drodze radia?

- Wiadomości nie. Potrzebowałam relaksu, więc słuchałam starych przebojów. Inaczej dostałabym szału w tych korkach.

- I dobrze zrobiłaś. Ja słuchałem dziennika. Papiery, które były zabezpieczeniem Barneya Haskella, wpadły w łapy prokuratora generalnego. Barney był w swych zapiskach i przechowywaniu dokumentów wyjątkowo pedantyczny. Jutro, jeśli Frank Green jest tak cwany, jak myślę, to zamiast powstrzymać cię od działania, powinien spróbować dobrać się do kopii rachunków za biżuterię kupowaną przez Weeksa na parę miesięcy przed śmiercią Suzanne. Jeśli okaże się, że bransoletka ze znakami zodiaku jest od niego, to mamy dowód na kłamstwo doktora Smitha. - Geoff wstał. - Zasłużyłaś na kolację, Kerry McGrath. Zaczekaj chwilę. Poproszę cię, jak będzie podane do stołu.

Kerry zwinęła się na kanapie i upiła łyk wina. Mimo wesołego blasku ognia poczuła, jak robi jej się zimno i nieprzyjemnie. Wstała i poszła za Geoffem.

- Mogę popatrzeć, jak się bawisz w szefa kuchni? Tu jest zdecydowanie cieplej.

Geoff odjechał o dziewiątej. Gdy zamknęły się za nim drzwi, Robin powiedziała:

- Mamo, chciałam cię spytać o tego człowieka, którego broni tata. Czy tata przegra sprawę?

- Jeśli się potwierdzi, że znaleziono dowody obciążające, to przegra.

- Czy to będzie dla niego bardzo źle?

- Nikt nie lubi przegrywać, Robin, ale twojemu tacie to może tylko wyjść na dobre. Jimmy Weeks powinien zostać skazany.

- Jesteś pewna, że to ten Weeks mnie straszył?

- Tak. Wiem też, że im szybciej udowodnimy jego związek ze sprawą Reardonów, tym szybciej zlikwidujemy powody do szantażu.

- Geoff też jest adwokatem, prawda?

- Tak.

- A broniłby kogoś takiego jak Jimmy Weeks?

- Nie, z pewnością nie.

- Też tak myślę.

Wpół do dziesiątej Kerry zadzwoniła do Hooverów i opowiedziała Jonathanowi o swoim spotkaniu z doktorem Smithem.

- Sądzisz, że się załamię i przyzna do fałszywych zeznań? - spytał Jonathan.

- Tak.

- Powiedzmy Kerry o moim odkryciu - odezwała się Grace, trzymająca drugą słuchawkę. -

Niebawem okaże się, czy jestem wielkim detektywem, czy kompletną idiotką.

Kerry celowo nie wymieniła nazwiska Arnotta podczas niedzielnego spotkania u Hooverów. Teraz, po rewelacjach Grace, cieszyła się, że rozmówcy nie mogą zobaczyć wyrazu jej twarzy.

Jason Arnott, bliski przyjaciel Suzanne Reardon. Tak szczery, że aż fałszywy. Jeśli jest złodziejem, to, zgodnie z podejrzeniami FBI, może być także mordercą. A wszystko pasuje do sprawy „Śmierci wśród róż”.

84

Doktor Charles Smith przez wiele godzin siedział nieruchomo i rozmyślał nad tym, co powiedziała mu przed wyjściem Kerry. Nazwała go zboczeńcem, kłamcą i mordercą. Od tego wszystkiego robiło mu się niedobrze. Czuł do tych słów taki sam wstręt, jak do brzydkich lub pokiereszowanych twarzy. Całym sobą pragnął je zmienić, upiększyć, uszlachetnić. Zręcznymi dłońmi pomóc wydobyć się pięknu, ukrytemu za skórą, mięśniami i kośćmi.

Gdy robił operacje plastyczne, ostrze jego gniewu kierowało się ku przyczynom wypadku lub niewłaściwej kompozycji genów, która do prowadziła do niefortunnego rezultatu. Teraz czuł złość na tę młodą kobietę, która ośmieliła się go osądzać.

„Zboczeniec”! „Podglądacz”! Jak śmiała tak go nazywać tylko dla tego, że od czasu do czasu nie umiał odmówić sobie przyjemności rzucenia okiem na stworzoną własnymi rękami doskonałość! Zapraagnął przenieść się w przyszłość i zobaczyć, jak będzie wyglądała wdzięczność Barbary Tompkins. Dał jej twarz, która będzie podlegać prawom czasu i pokryją ją zmarszczki.

Co będzie, jeśli ta McGrath namówi Barbarę do złożenia skargi? Zagroziła, że to zrobi, a ona nie rzuca słów na wiatr. Nazwała go mordercą. Jego! Przecież nie mógłby tego zrobić Suzanne. Opadły go bolesne wspomnienia tamtej chwili, kiedy podszedł do drzwi i nacisnął dzwonek. Dzwonił i dzwonił, ale nikt nie otwierał. Poruszył klamkę. Drzwi były otwarte.

Niemal w progu, u swoich stóp, zobaczył leżącą Suzanne. Suzanne, a przecież nie Suzanne. Ta groteskowa postać z wybałuszonymi, przekrwionymi oczami, otwartymi ustami i wystającym z nich językiem nie mogła być stworzoną przez niego doskonałą istotą. Nawet jej ciało wyglądało jak rozbite i pokręcone. Rozrzucone nogi, jedna zgięta, z obcasem wbitym w kolano drugiej. I te różę dookoła - ironiczny pośmiertny hołd.

Gdy Smith stał nad nią, przyszła mu do głowy jedna jedyna myśl. Że tak samo musiał czuć się Michał Anioł, kiedy szalony wandal zniszczył jego „Pietę” w kościele Świętego Piotra. Przeklinał Suzanne za to, że nie słuchała jego rad. Wbrew jego woli wyszła za Reardona, choć mówił, żeby jeszcze poczekała, bo ten facet nie jest dla niej dość dobry. „Według ciebie nikt nigdy nie będzie mnie godny!” - wrzasnęła w odpowiedzi.

Znosił cierpliwie sposób, w jaki tamci dwoje na siebie patrzyli; to, że ich ręce się dotykały albo że siedzieli przytuleni na kanapie lub w dużym fotelu i oglądali telewizję. Wszystko to obserwował wieczorami zza okna. Niełatwo mu było, lecz koszmar zaczął się wtedy, kiedy Suzanne zaczęła zdradzać Skipa. Uganiała się za innymi mężczyznami, a potem przymilała się do niego, prosząc o przysługę: „Charles, kochanie, powiedz Skipowi, że kupiłeś mi to... i to... i tamto...” Albo mówiła tak: „No i co, doktorku, czemu jesteś taki skwaszony? Sam mówiłeś, że powinnam teraz odrobić wszystkie zmarnowane w młodości lata. No więc korzystam z twojej rady. Skip to zwyczajny robot. Nudzi mnie. Sam lubisz ryzyko, bo ryzykujesz przy każdej operacji. Ja jestem podobna. Też lubię hazard. No, daj buzi, doktorku, i pamiętaj, że jesteś moim bardzo, bardzo hojnym tatusiem”. Pamiętał jej dwuznaczne pocałunki, flirtowanie i pewność siebie, pewność, że zawsze może go sobie owinąć

dookoła palca.

Morderca? To Skip był mordercą. Stojąc nad martwym ciałem, doktor Smith wyobraził sobie, jak to się rozegrało. Ten prostak Skip wrócił do domu i zastał Suzanne z kwiatami od kochanka. Wybuchnął gniewem. Ja bym tak zrobił na jego miejscu, pomyślał Smith, a jego wzrok padł na biały rożek kartki, częściowo zasłoniętej przez zwłoki. Zrozumiał, co się tu prawdopodobnie wydarzyło. Zazdrosny mąż? Nie, sędziowie przysięgli potraktują łagodnie człowieka zabijającego w afekcie. Skip może się wywinąć paroma latami lub tylko wyrokiem w zawieszeniu.

„Niedoczekanie! - poprzysiągł sobie Smith. Zamknął oczy i zamiast zniekształconych przez śmierć zwłok zobaczył Suzanne jak żywą, w całej krasie. - Urządę go, Suzanne, przysięgam ci to!”

Nie było mu trudno dotrzymać tej przysięgi. Zabrał bilet dołączony do kwiatów i wrócił do domu. Teraz pozostało mu tylko czekać na telefon informujący o śmierci córki. Gdy go przesłuchiowano, wspomniał, że Skip był nieprzytomnie zazdrosny o Suzanne, która obawiała się, że mąż może ją skrzywdzić. Spełniając życzenie córki, poświadczył także, że kupił jej całą biżuterię, która nie pochodziła od męża. Niech sobie ta McGrath wygaduje, co chce. Morderca trafił do więzienia i będzie tam gnął dalej.

O dziesiątej Smith wstał z krzesła. Skończyło się. Koniec z pracą. Już nigdy nie zobaczy Barbary Tompkins. Zawiodła go. Poszedł do sypialni, otworzył sejf ukryty w szafie i wyjął pistolet.

To będzie łatwe. Ciekawiło go, co się z nim stanie po śmierci. Dokąd trafi jego dusza. Chciałby wierzyć w reinkarnację. Na przykład przyjdzie na świat jako rówieśnik Suzanne. Zakochają się w sobie. Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Zanim zamknął sejf, spojrział na schowaną tam kasetkę z biżuterią.

Możliwe, że McGrath ma rację i Suzanne zabił nie Skip, tylko ktoś inny. Powiedziała, że ten facet teraz śmieje się w kulak, bo dostał darmowe alibi. Można to sprawdzić. Jeśli to nie Reardon jest mordercą, McGrath dostanie ślad, dzięki któremu trafi do prawdziwego zbrodniarza.

Smith wyjął kasetkę i wraz z pistoletem zaniósł ją do salonu. Wziął kartkę i zdjął skuwkę wiecznego pióra. Gdy skończył pisać, wcisnął kasetkę i list do koperty z nadrukiem Federal Express, których kilka trzymał w domu na wszelki wypadek. Zaadresował przesyłkę do zastępcy prokuratora okręgu Bergen, Kerry McGrath. Pamiętał dokładny adres.

Włożył płaszcz i poszedł wrzucić ekspres do specjalnej skrzynki. Wrócił do domu po jedenastej. Zdjął płaszcz, wziął pistolet i poszedł do sypialni. Położył się w garniturze na łóżku. Wyłączył wszystkie światła poza jednym kinkietem, oświetlającym portret Suzanne.

Postanowił, że o północy pożegna się ze starym i powita nowe życie. To postanowienie sprawiło, że czuł się spokojny, wręcz szczęśliwy.

Wpół do dwunastej zadzwieczał dzwonek do drzwi. Kto to może być? - pomyślał ze złością, postanawiając zignorować natręta. Lecz osoba za drzwiami była uparta. Doktor pomyślał, że pewnie w pobliżu znów zdarzył się wypadek i ktoś z sąsiadów przybiegł do niego po pomoc. W końcu jest lekarzem. Pomagać poszkodowanym to jego obowiązek.

Doktor Charles Smith wstał i otworzył drzwi. Runął na podłogę, w chwili gdy pocisk przedziurawił mu czoło.

We wtorkowy poranek, gdy Geoff Dorso o dziewiątej pojawił się w swym biurze, czekały już tam na niego Deidre Reardon i Beth Taylor. Beth przeprosiła za najście bez uprzedzenia. Matce Skipa wyznaczono na środę angioplastykę.

- Deidre będzie spokojniejsza, jeśli przedtem przekaże ci to zdjęcie Suzanne, o którym wspomniała w rozmowie z Kerry.

Deidre była zmieszana.

- Daj spokój, kochana, przecież nie musisz się tłumaczyć z tego, że chcesz się ze mną widzieć - serdecznie uspokoił ją Geoff. - W końcu jesteś matką mojego najlepszego klienta.

- Jasne. Za każdą godzinę płacimy ci miliony - zażartowała z ulgą pani Reardon. - Wiesz, głupio mi, że tę uroczą dziewczynę, Kerry McGrath, zwymyślałam wtedy od ostatnich. Dopiero potem do mnie dotarło, że ktoś chciał zaatakować jej dziecko tylko dlatego, że Kerry stanęła w obronie mojego dziecka.

- Kerry dokładnie rozumie twoje uczucia i intencje. A teraz, dziewczyny, zapraszam do gabinetu. Kawa z pewnością już się parzy.

- Zajmiemy ci najwyżej pięć minut - obiecała Beth, gdy Geoff napełniał filiżanki. - Nie będziemy ci opowiadać historii, jakie to szczęście, że wreszcie jest realna nadzieja na uwolnienie Skipa. Sam wiesz najlepiej, jak się teraz czujemy, i znasz miarę naszej wdzięczności.

- Wczoraj po południu Kerry rozmawiała z doktorem Smithem - oznajmił Geoff. - Chyba ostro dobrała mu się do skóry. Ale są także inne nowości. - Opowiedział im o znalezisku w domu Haskella. - Mamy szansę wyśledzić rachunki za klejnoty, które Weeks kupował Suzanne.

- To się wiąże z naszą wizytą - powiedziała pani Reardon. - Pamiętasz, jak opowiadałam o zaginionej staroświeckiej broszce? Po powrocie z więzienia szukałam wycinka z jej zdjęciem. Nie mogłam znaleźć, jakby diabeł go ogonem nakrył. Szukałam więc całą niedzielę i poniedziałek. Zapomniałam, że wyjęłam wycinek z teczki Skipa i umieściłam wśród swoich papierów. Tak czy owak, w końcu znalazłam to zdjęcie. Uznałam, że skoro biżuteria to ważny wątek naszej sprawy, muszę ci je przekazać.

Podala mu kopertę. Wyciągnął z niej złożoną na pół stronicę tygodnika „Palisades Community Life” z 24 kwietnia. Już w maju Suzanne zginęła.

Grupowe zdjęcie zajmowało całą kolumnę. Uroda Suzanne przyćmiewała inne kobiety. Kamera uchwyciła ją z profilu. Brylantowa broszka w kształcie kwiatu, wpięta w klapę zakietu, była wyraźnie widoczna.

- To ta podwójna szpilka, o której wam mówiłam. Niestety, Skip nie pamięta, kiedy Suzanne miała ją na sobie po raz ostatni.

- Wspaniale, że to zachowałeś. Gdy dostaniemy wyciąg z kopii Haskella, pójdziemy śladem tej broszki.

Nadzieja promieniowała z twarzy obu kobiet tak mocno, że to niemal bolało. Nie mogę ich zawieść, przysięgam w duchu Geoff, odprowadzając je do wyjścia. Na odchodnym uściskał Deidre.

- Pamiętaj, po zabiegu masz wrócić jak nowo narodzona. Musisz być w formie, żeby powitać syna na wolności.

- Geoff, nie po to przeszłam przez piekło, żeby teraz się poddać.

Po kilku rozmowach z klientami i partnerami Geoff zadzwonił do Kerry. Może będzie potrzebowała zdjęcia. A może to ja chcę usłyszeć jej głos, przyznał sam przed sobą.

Przejęty ton Kerry sprawił, że zadrżał z niepokoju.

- Geoff, właśnie otworzyłam ekspresową przesyłkę od doktora Smitha. Zawiera kasetkę z biżuterią i list. A także oryginał biletu dołączonego do róż dla Suzanne. Geoff, on przyznaje, że skłamał. Pisze, że kiedy będę to czytać, jego już nie będzie na świecie. Postanowił popełnić samobójstwo.

- O Boże, Kerry, to niesamowite...

- Najbardziej niesamowite, że nie popełnił samobójstwa, bo ktoś go uprzedził. Właśnie dzwoniła pani Carpenter. Zaniepokoiła się, ponieważ doktor nie pojawił się na umówioną wizytę i nie odpowiadał na telefony. Poszła więc do jego mieszkania i znalazła w holu martwe ciało. Drzwi były uchylone. Doktora zabito strzałem w głowę, a dom splądrowano. Geoff, czy ktoś chciał przeszkodzić doktorowi w zmianie zeznań? Kto za tym stoi? Czy Robin jest następna w kolejce?

86

Wpół do dziesiątej rano Jason Arnott stwierdził, że pogoda jest ohydna. Przygnębiło go to. Miał zwykle bóle reumatyczne, a poza tym czuł się osłabiony po wirusowej grypie, która powaliła go na weekend. Nie mógł także pozbyć się intuicyjnego wrażenia, że coś jest nie w porządku.

Psiakrew, znów mu się przypomniał ten cholerny list gończy. Podobnie złe przecucia miał feralnej nocy w domu kongresmana Peale'a. Gdy wszedł do środka, na parterze paliło się kilka żarówek. Góra była ciemna. Wracał przez górny hol, niosąc przed sobą obraz, gdy usłyszał kroki na schodach. Ledwo zdołał zasłonić obrazem twarz, gdy korytarz załało światło.

„O Boże!” - usłyszał zduszony okrzyk. Wiedział już, że to matka Peale'a. Nie chciał jej krzywdzić. Powodowany instynktem, ruszył wprost na nią, trzymając przed sobą płótno jak tarczę. Zamierzał przewrócić kobietę lub zerwać jej okulary. Odbił z nią długą rozmowę na przyjęciu, więc wiedział doskonale, że bez szkieł jest ślepa jak kret.

Niestety, ciężka rama zahaczyła ją mocniej, niż planował. Kobieta spadła głową w dół ze schodów. Po chrapliwym oddechu, który w pewnej chwili się urwał, Jason poznał, że jest martwa. Od tamtej pory całymi miesiącami nieświadomie oglądał się przez ramię, czy aby nie zbliża się policjant z kajdankami. Teraz odczuwał taką samą irracjonalną obawę. Jediną pociechą po tej makabrycznej sprawie było kontemplowanie arcydzieła Johna White'a Alexandra „Odpoczynek”. Powiesił obraz w sypialni w Catskills, tak samo jak niegdyś Peale w swojej. Z rozbawieniem pomyślał o tysiącach ludzi pielgrzymujących do Metropolitan Museum, by obejrzeć bliźniaczy obraz Alexandra „Drzemka”. On osobiście preferował „Odpoczynek”. Piękna kobieta, przedstawiona w swobodnej pozie, miała podobne linie ciała jak modelka „Drzemki”, ale jej półprzymknięte oczy i zmysłowy wyraz twarzy przypominały mu Suzanne.

Miniaturowa ramka z jej zdjęciem stała koło łóżka i cieszyło go, że ma dwa tak podobne wizerunki, choć kiepska imitacja Fabergego nie zasługiwała na znakomite otoczenie, do jakiego trafiła. Stolik nocny był z marmuru i złoczonego brązu - cudowny przykład neogotyckiego zdobnictwa. Pochodził z rezydencji Merrimanów, którą praktycznie opróżnił ze wszystkich wspaniałych dzieł, wywożąc je wynajętą furgonetką.

Nie mógł się doczekać, kiedy się znajdzie w Catskills. Postanowił zadzwonić, żeby gospodyni przygotowała zapasy w lodówce i włączyła ogrzewanie. Zamiast jednak skorzystać z domowego telefonu, użył komórkowego, zarejestrowanego na jedno z fałszywych nazwisk.

W parkującej na ulicy furgonetce, rzekomo należącej do elektrowni, usłyszano, że Arnott dzwoni. Agenci uśmiechnęli się do siebie tryumfalnie.

- Nareszcie. Namierzmy starego lisa w jego norze - powiedział starszy. Pod koniec rozmowy Jason rzekł: „Bardzo dziękuję, Maddie. Wyruszę za godzinę i około pierwszej powinienem być na miejscu”. W odpowiedzi usłyszał: „Wszystko przygotowane. Może pan na mnie liczyć”.

87

Frank Green był w terenie i dopiero w południe Kerry miała okazję powiedzieć mu o zabójstwie Smitha i pakiecie, jaki otrzymała w kopercie Federal Express. Była już idealnie spokojna i dziwiła się, że wpadła w histerię, kiedy zadzwonił Geoff. Teraz nie miała czasu na analizowanie własnych emocji. Wiedziała, że Joe Palumbo czeka w samochodzie pod szkołą Robin, żeby odwieźć ją do domu, i dzięki temu była spokojniejsza.

Green szybko przejrzał biżuterię, porównując każdy przedmiot z opisem w liście doktora Smitha.

- Bransoletka ze znakami zodiaku - czytał. - Mamy ją tu. Zegarek ze złotymi cyframi i cyferblatem z kości słoniowej na złotej bransoletce wysadzanej diamentami. Jest. Diamenty i szmaragdy osadzone w różowym złocie. Pierścionek. W porządku, jest tutaj. Staroświecka bransoletka z brylantami. Patrz tylko, jaka piękna.

- Tak. Suzanne miała ją na sobie w chwili śmierci. Do kompletu była jeszcze szpilka w kształcie róży z pączkiem na łańcuszku. Doktor o niej nie wspomniał, więc zapewne jej nie miał, ale Geoff przefaksował mi zdjęcie z tygodnika ilustrowanego, na którym Suzanne nosi tę broszkę na trzy tygodnie przed śmiercią. Broszka zaginęła. Była w stylu tej bransoletki. Inne rzeczy też są bardzo ładne, ale zdecydowanie nowoczesne.

Kerry przyjrzała się lekko zamazanej kopii zdjęcia i zrozumiała, na czym polega konstrukcja broszki - łodygi kwiatu zabezpieczonego łańcuszkiem o zakończeniu w kształcie pączka róży. Miała przy tym mętne wrażenie, że skądś zna ten klejnot.

- Sprawdzimy to w rachunkach Haskella - obiecał Green. - A teraz podsumujmy. Uważasz, że to, co opisał doktor, oraz zaginiona broszka, to wszystkie klejnoty, które Suzanne dostała nie wiadomo od kogo, a ojciec na jej prośbę przyznał się przed Skipem do tych prezentów?

- List doktora potwierdza zeznanie Skipa, z którym rozmawiałam w sobotę.

- Czy ktoś mógł cię wczoraj śledzić, gdy szłaś do mieszkania Smitha? - spytał Green, odkładając list.

- Teraz jestem skłonna uznać, że tak. Dlatego tak strasznie się trzęsę o bezpieczeństwo Robin.

- Dziś w nocy każę postawić pod waszym domem zmotoryzowany patrol, ale właściwie wolałabym, żebyście na jakiś czas wyjechały, póki się tu nie uspokoi. Jimmy Weeks jest jak rozwścieczone zwierzę, zapędzone w kozi róg. Royce może go przygwoździć za oszustwa finansowe, ale my, po tym co znalazłaś, będziemy w stanie go oskarżyć o morderstwo.

- Masz na myśli ten liścik miłosny przy różach? - Bilet posłano do analizy grafologicznej, a poza tym jego kopię miał u siebie Haskell.

- Właśnie. To nie kwiaciarz narysował te nuty. Weeks umie grać na różnych instrumentach. Na bankietach często siadał do pianina. Sama widzisz, że wszystko składa się do kupy i mamy teraz zupełnie nowy punkt widzenia na sprawę Reardonów.

- Jeśli wznowimy proces, Skip będzie mógł wyjść za kaucją i odpowiadać z wolnej stopy - powiedziała Kerry.

- Poprę taki wniosek, jeśli nasz scenariusz wypali - kiwnął głową Green.

- Jest jeszcze jedno, Frank - powiedziała Kerry. - Jimmy Weeks chce nas zniechęcić do tego śledztwa. Nie wiemy jednak dokładnie, jaki jest prawdziwy powód. Wiadomo mi, że miał przecieki na temat budowy autostrady w Pensylwanii i odkupił od Skipa za bezcen wartościowe tereny. Cała sprawa była nielegalna. To nie to samo, co oskarżenie o morderstwo - co do którego zresztą nie mamy żadnej pewności - ale gdybyśmy rzucili ten trop wydziałowi gospodarczemu, to razem z oszustwami podatkowymi mieliby na niego bardzo dobry materiał.

- Uważasz, że może chcieć ukryć te machlojki?

- To całkiem prawdopodobne.

- Ale dlaczego straszyl cię za pośrednictwem Robin? To sięganie lewą ręką do prawego ucha. - Green z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Frank, z tego, co wiem od Boba, na tym właśnie polegają metody Weeksa, obojętne, czy walczy w ważnej, czy w błahej sprawie. Zawsze jest tak samo brutalny i bezczelny. Jest jeszcze coś, co osłabia moje podejrzenia o jego udział w morderstwie. Powiązania Suzanne z Jasonem Arnottem i teoria Grace, że jest on zawodowym złodziejem, dają nam dodatkowy trop.

- Uważasz, że to on mógł zabić Suzanne?

- Nie wiem - odparła Kerry. - To zależy, czy istotnie jest odpowiedzialny za te wszystkie włamania.

- Ciekawe. Zaraz zadzwonię do FBI i dowiem się, kto prowadzi śledztwo. Niech nam też prześlą list gończy.

W cztery minuty później sekretarka położyła na biurku ulotkę FBI.

- Skorzystaj z bezpośredniego numeru i każ mnie połączyć z facetem, który tym kieruje - polecił jej szef.

W minutę później rozmawiał z Si Morganem. Wcisnął guzik, żeby nagłośnić jego odpowiedzi. Kerry słuchała.

- Niedługo będzie po sprawie - powiedział Si. - Facet ma drugi dom w Catskills. Moi ludzie zaraz będą rozmawiać z gospożą, jeśli im otworzy. Będę was informować na bieżąco.

Kerry pochyliła się nagle do aparatu i powiedziała do głośniczka:

- Panie Morgan, mam prośbę. To naprawdę ważne. Proszę spytać agentów, czy w tym domu jest miniaturowa owalna ramka. Niebieska emalia w złocie, wysadzana perełkami. W środku może być zdjęcie pięknej brunetki. Jeśli się znajdzie, oskarżymy Jasona Arnotta o morderstwo.

- Zrobię to i zadzwonię - obiecał Si Morgan.

- O co chodzi? - spytał zdezorientowany Green.

- Skip Reardon przysięga, że w tragiczną noc z sypialni zginęła miniaturowa ramka, prawdopodobnie z pracowni Fabergego. Ta ramka i staroświecka broszka-szpilka od Cartiera interesują nas w tej chwili najbardziej. - Kerry znów usiadła wygodnie i wyjęła z kasetki bransoletkę z brylantami. - Popatrz uważnie. To naprawdę należy do innego świata. - Podniosła ze stołu kopię zdjęcia Suzanne z broszką w kłapie. - Mam dziwne uczucie, że już tę broszkę widziałam. Ten podwójny kwiatek jest taki charakterystyczny. A może mi się tylko zdaje, bo Skip i pani Reardon w kółko o niej opowiadali. Już zgłupiałam od czytania stenogramów z procesu.

Kerry odłożyła bransoletkę na miejsce.

- Jason Arnott i Suzanne trzymali się razem jak papużki nierozłączki. Może on nie jest aż taki bepcłciowy, za jakiego usiłuje uchodzić. Pomyśl nad tym, Frank. A gdyby i on się kochał w Suzanne?

Podarowałby jej taką staroświecką biżuterię, to akurat coś w jego guście. A potem doszłoby do niego, że Suzanne zadaje się z Jimmym Weeksem. Może był wieczorem u Reardonów, zobaczył róże i kartkę...

- I zabił ją, a broszkę zabrał...

- Razem z jej fotografią. Pani Reardon twierdzi, że ramka jest bardzo cenna.

- To dlaczego zostawił bransoletkę?

- Rano, przed spotkaniem z tobą, przeglądałam zdjęcia po odkryciu zwłok. Suzanne miała na lewej ręce złotą bransoletkę. Prawej ręki z brylantową bransoletką nie widać na zdjęciach, bo zakrywał ją rękaw bluzki. Zgodnie z opinią policyjnego eksperta, bransoletka miała dorobiony nowy, bezpieczny i mocny zamek. Suzanne mogła ją ukryć, bo uznała, że nie pasuje, albo chciała ją zdjąć, lecz miała trudności. Mogła też wiedzieć, że napastnik będzie szukał klejnotu, bo to prezent od niego, który chciałby odebrać, więc schowała go najlepiej, jak umiała. Jakikolwiek miała powód, morderca nie znalazł bransoletki.

Czekając na telefon od Morgana, Green i Kerry opracowali ulotkę dotyczącą zaginionej biżuterii, która miała być rozesłana do wszystkich nowojorskich jubilerów. Ni z tego, ni z owego Frank powiedział:

- Wiesz, Kerry, jeśli odkrycie Grace zostanie dowiedzione, to prasa poda, że dzięki żonie naszego senatora ujęto mordercę matki kongresmena Peale'a. A kiedy podłączymy Arnotta do sprawy Reardona, to...

Szczwany lis, pomyślała Kerry. Oto cały Frank Green, kandydat na gubernatora. Już kombinuje, jak wyjść na czysto, mimo oskarżenia niewinnego człowieka. Ale pewnie właśnie na tym polega polityka, uznała z rezygnacją.

88

Maddie Platt nie miała pojęcia, że ktoś ją śledzi, kiedy jechała samochodem na zakupy. Po skrupulatnym wypełnieniu poleceń swego pracodawcy, pana Nigela Greya, wróciła wąskimi wiejskimi uliczkami do jego domu za Ellenville. W dziesięć minut później odezwał się dzwonek u drzwi.

Maddie była bardzo zaskoczona, ponieważ nikt nigdy nie odwiedzał tego domu, a pan Grey kategorycznie przykazał jej, by nikogo nie wpuszczała. Zapytała, kto tam.

Wyjrzała przez wizjer i zobaczyła na schodkach porządnie ubranego mężczyznę. Wyciągnął identyfikator z napisem FBI.

- Policja federalna, proszę pani. Zechce pani otworzyć?

Zdenerwowana Maddie otworzyła. Plakietka ze zdjęciem była prawdziwa.

- Nazywam się Milton Rose - przedstawił się agent. - Nie chciałbym pani denerwować, ale musimy porozmawiać o pani pracodawcy, Jasonie Arnotcie.

- Nie znam żadnego Jasona Arnotta, proszę pana. Ten dom należy do pana Nigela Greya. Pracuję dla niego od wielu lat. Niedługo zresztą sam tu będzie. Przykro mi, ale nie mogę pana wpuścić. Pan Grey mi zakazał.

- Nie miałem zamiaru wchodzić, zresztą nie mam przy sobie nakazu rewizji. Chciałem tylko zamienić z panią kilka słów. Pani znajomy Nigel Grey to w rzeczywistości Jason Arnott, podejrzany o kilkanaście włamań do bogatych domów, skąd kradł kosztowności i dzieła sztuki. Być może zostanie także oskarżony o morderstwo starszej kobiety, matki pewnego kongresmana.

- O mój Boże - westchnęła głęboko Maddie. To prawda, że pan Grey jest wielkim samotnikiem.

Zawsze jej jednak powtarza, że w tym domu szuka ucieczki przed tłumami i światowym życiem. Teraz zrozumiała, że powody owej „ucieczki” mogły być zupełnie inne.

Agent Rose opisywał jej po kolei cenne przedmioty, obrazy i meble, które zginęły z domów, gdzie Jason Arnott bywał gościem. Z przykrością potwierdziła, że większość tych rzeczy znajduje się w domu. Owszem, mała błękitna ramka ze zdjęciem brunetki także. Stoi na nocnym stoliku.

- Wiem, że on zaraz tu będzie, proszę pani. Teraz proszę pojechać z nami. Nic pani nie wiedziała o jego przestępstwach, więc proszę się nie obawiać żadnych kłopotów. Musimy jednak zdobyć nakaz rewizji; by przeszukać dom i aresztować pana Arnotta.

Agent Rose uprzejmie zaprowadził oszołomioną Maddie do oczekującego w pobliżu samochodu.

- Nie mogę w to uwierzyć! - krzyknęła. - Ja o niczym nie wiedziałam.

89

Wpół do pierwszej przestraszona Martha Luce, od dwudziestu lat księgowa Jamesa Forresta Weeksa, mnąc ze zdenerwowania wilgotną chusteczkę, siedziała w biurze prokuratora Brandona Royce'a. Właśnie odczytał głośno jej własne zeznanie sprzed miesiąca.

- Potwierdza pani te fakty? - spytał, stukając palcem w dokument.

- Mówiłam tylko to, co wtedy wydawało mi się prawdą - zduszonym szeptem wyjąkała Martha Luce. Rzuciła nerwowe spojrzenie na stenografistkę, a potem na swego siostrzeńca, młodego adwokata, do którego zrozpaczona zadzwoniła po odkryciu w domu Haskella.

Royce pochylił się ku niej.

- Panno Luce, chciałem podkreślić, że pani sytuacja jest poważna. Jeśli będzie pani zeznawać nieprawdę pod przysięgą, może się to dla pani osobiście źle skończyć. Na Jimmy'ego Weeksa mamy już dosyć obciążającego materiału. Zagrajmy w otwarte karty. Po nagłej śmierci Barneya Haskella byłoby nam wygodnie mieć po swojej stronie panią jako świadka oskarżenia. Żywego świadka - podkreślił - który mógłby pomóc nam w analizie znalezionych dokumentów. Jeśli się pani nie zgodzi, i tak wsadzimy Weeksa za kratki, a następnie zajmiemy się pani osobą. Krzywoprzysięstwo to poważny zarzut. Współudział w przestępstwach podatkowych również.

Twarz Marthy Luce wykrzywił spazm szloch. Łzy jak groch popłynęły z jasnoniebieskich oczu.

- Ale pan Weeks płacił rachunki naszego lekarza, gdy mama tak długo chorowała.

- Moja klientka ma prawo do odmowy zeznań - powiedział siostrzeniec obsadzony w roli adwokata.

- Wiemy o tym, panie mecenasie. - Royce rzucił mu zabójcze spojrzenie. - Proszę jednak uprzytomnić swojej klientce, że przyzwoitej damy w średnim wieku, będącej ofiarą źle pojętej lojalności, bynajmniej nie chcemy za wszelką cenę wsadzić do więzienia. Jesteśmy gotowi zapewnić pana klientce objęcie rządowym programem ochrony świadków. Warunkiem pełnego bezpieczeństwa jest pełna współpraca. Po procesie będzie wolna. Proszę także przypomnieć swojej klientce - dorzucił z ironią - że Barney Haskell tak długo się targował o warunki, iż nigdy nie został koronnym świadkiem.

- Pełna ochrona? - spytał młody prawnik.

- Pełna, i to od zaraz. Prokuratura nie chce, by panią Luce spotkało coś złego.

- Ciociu Martho... - zaczął łamiącym się głosem siostrzeniec.

- Wiem, kochanie, wiem - powiedziała spokojnie. - A więc, panie Royce, zacznijmy od tego, że zawsze podejrzywałam pana Weeksa o...

Wiadomości o tajnym sejfie w domu Barneya Haskella pozbawiły Boba Kinellena wszelkiej nadziei, że uda mu się i tym razem oczyścić Jimmy'ego Weeksa z zarzutów. Nawet niewzruszony jak skała teść Kinellena, Anthony Bartlett, zaczynał przyzwyczajać się do myśli o nieuchronnej klęsce.

We wtorek rano oskarżyciel Royce poprosił o przedłużenie na godzinę przerwy obiadowej. Prośba została przyjęta. Bob wiedział, czemu ma posłużyć ten manewr. Prokuratura chciała podkupić głównego świadka obrony, uczciwą i robiącą doskonałe wrażenie na przysięgłych Marthę Luce. Skoro Haskell miał kopie prawdziwych ksiąg rachunkowych, zeznanie panny Luce o wiarygodności interesów Weeksa stało się bronią przeciw niej samej. Jeśli zaszantażowana Martha Luce zostanie koronnym świadkiem, to sprawę z góry można uznać za przegraną.

Bob Kinellen siedział w milczeniu, unikając patrzenia w stronę swego klienta. Czuł się słaby, jakby wszystko zaraz miało w nim pęknąć. Zastanawiał się, co jest przyczyną tego dziwnego, nowego dlań stanu. Zrozumiał, że zaczęło się to po wiadomości, iż ktoś zagraża jego córce. Przez jedenaście lat udawało mu się działać w granicach prawa. Jimmy Weeks miał wszakże, jak każdy obywatel, prawo do obrony, a Bob bronił go przed sądem, bo na tym polega zawód adwokata. Bronił najlepiej, jak umiał, zgodnie z literą kodeksu. Nie wiedział i nie chciał wiedzieć, czy jego klient posługuje się dodatkowo innymi środkami.

Ale tym razem było inaczej. Obrona została wciągnięta w obchodzenie prawa. Weeks powiedział Bobowi, dlaczego zgodził się na kandydaturę pani Wagner. Zasiadła na ławie przysięgłych, mimo że jej ojciec odsiadywał wyrok w Kalifornii. Przed trzydziestu laty zamordował w ataku szału całą rodzinę turystów w Yosemite Park. Zatajona informacja o sytuacji rodzinnej przysięgłej Wagner miała wypłynąć podczas przewidywanej apelacji Weeksa. Było to całkowicie wbrew etyce. Koniec z ostrożnym stąpaniem po cienkim lodzie. Granica została przekroczona. Boba do dziś palił wstyd na wspomnienie płaczu Robin, która zobaczyła jego szarpaninę z Kerry. Ciekawe, co Kerry jej po tym wszystkim powiedziała? „Twój ojciec zlekceważył fakt, że jego klient ci groził. To klient twojego ojca nasłał na ciebie zbirów w zeszłym tygodniu”.

Jimmy Weeks bał się więzienia. Nie mógł znieść myśli, że mógłby znaleźć się pod kluczem. Gotów był na wszystko, by tego uniknąć. Teraz zdawał się wyraźnie podłamany. Jedli obiad w wydzielonym gabinecie restauracyjnym, dość daleko od gmachu sądu. Gdy kelner zebrał zamówienia, Jimmy odezwał się nagle:

- Tylko ani słowa o koronnych świadkach. Czy to dla was jasne?

Bartlett i Kinellen bez słowa czekali na dalszy ciąg.

- Myślę, że nie mogę liczyć na lojalność tego mięczaka z chorą żoną.

Gdybyś wcześniej zapytał, powiedziałbym ci to samo, pomyślał Bob. Nie chciał teraz rozmawiać o przysięgłych. Jeśli Weeks próbował przekupić kogoś z nich, działało się to poza wiedzą obrony. A Haskell padł przecież ofiarą gangsterskich porachunków, przekonywał Bob sam siebie.

- Bobby, ptaszki na dachu ćwierkają, że woźny sądowy, wprowadzający przysięgłych, jest twoim dłużnikiem.

- Nie wiem, o czym mówisz, Jimmy. - Kinellen bawił się widelcem.

- Dobrze wiesz. Wyciągnąłeś jego dzieciaka z szamba. Jest ci za to wdzięczny.

- I co z tego?

- Bobby, myślę, że ten człowiek powinien szepnąć starej raszpli Wagner, że historia o jej tatusiu trafi na pierwsze strony, jeśli ona złoży wniosek o uzasadnioną wątpliwość.

„Skoro wlażesz między wrony, będziesz krakał tak jak one” - uprzedzała Kerry, kiedy postanowił

pracować u Barnetta.

- Jimmy, może lepiej będzie od razu zdecydować się na nowy proces, oskarżając Wagner, że zataiła prawdę. To nasz as w rękawie. Nie powinniśmy przeciągać struny. - Bob rzucił krótkie spojrzenie w stronę teścia. - Anthony i ja i tak narażamy swoją reputację, nie zgłaszając tego sądowi. Możemy oświadczyć, że dowiedzieliśmy się o tym tuż po procesie. Nawet gdyby zapadł wyrok skazujący, i tak wyjdiesz za kaucją, a potem będziemy w nieskończoność przeciągać sprawę.

- Nie podoba mi się ten plan, Bobby. Teraz wy powinniście trochę wystawić się na strzał. Pogadaj z tym woźnym. Zrobi, co mu powiesz. Przekáže sprawę damie, która już wdepnęła w gówno, wypełniając fałszywie kwestionariusz. W ten sposób rozwalamy ławę przysięgłych. Mamy odroczenie, a może i zawieszenie procesu. A potem dopiero możemy przeciągać sprawę, aż do momentu kiedy będziecie pewni mojego niewinnienia.

Pojawił się kelner. Bob zamówił na przystawkę ślimaki, za którymi przepadał. Gdy kelner zbierał talerze, zdał sobie sprawę, że w ogóle nie poczuł ich smaku. Nie tylko Jimmy został zapędzony w koziego róg. On znalazł się tam wraz z nim.

91

Po wiadomościach od Si Morgana Kerry się uspokoiła. Teraz miała już pewność, że Jason Arnott ma coś wspólnego ze śmiercią Suzanne Reardon. Żałowała, że musi czekać na zakończenie oficjalnej procedury śledczej FBI, zanim wraz z Greenem będzie miała możliwość przesłuchania Arnotta.

Na biurku było sporo karteczek z wiadomościami. Na kartce z nazwiskiem Jonathana było napisane: Pilne. Zostawił bezpośredni numer do biura. Kerry zadzwoniła bez zwłoki.

- Dziękuję, że oddzwoniłaś. Wybieram się do Hackensack. Czy mogę cię zaprosić na obiad?

Parę tygodni temu spytał: „Czy mogę zaprosić Wysoki Sąd na obiad?” Kerry wiedziała, że ta zmiana formy nie nastąpiła przypadkowo. Jonathan postawił sprawę jasno. Jeśli jej inicjatywa będzie kosztowała Greena utratę nominacji, Kerry może pożegnać się z sądem. Polityka, polityka. A poza tym było sporo innych kandydatów, popieranych przez równie wpływowe osobistości.

- Jasne, Jonathan.

- Więc wpół do drugiej u Solariego.

Kerry wiedziała, dlaczego Jonathan dzwonił. Dowiedział się o śmierci doktora Smitha i teraz bał się o nią i Robin. Zadzwoniła do Geoffa, który właśnie posilał się kanapką przy własnym biurku.

- Dobrze, że już siedzę, bo padłbym z wrażenia - skomentował jej rewelacje na temat Arnotta.

- FBI sfotografuje i spisze wszystko, co znajdą w Catskills. Morgan mówi, że jeszcze nie wie, czy lepiej wszystko wywieźć do magazynów, czy zapraszać po kolei poszkodowanych, żeby mogli rozpoznać i zabrać swoją własność. Cokolwiek postanowią, ja i Green chcemy rozmawiać z Arnottem. Pani Reardon pojedzie z nami, żeby zidentyfikować ramkę.

- Poproszę, żeby przełożyła swój zabieg o kilka dni. Kerry, mam świeże informację z sądu. Royce prosił o przedłużenie przerwy. Prawdopodobnie chce zaproponować układ księgowej Weeksa. I zrobi to szybko, żeby nie powtórzyła się sytuacja z Haskellem.

- Sprawa ruszyła z kopyta, co?

- Właśnie.

- Rozmawiałeś ze Skipem o liście Smitha?

- Od razu po rozmowie z tobą.

- I co on na to?

- Popłakał się. - Głos Geoffa obniżył się. - Ja zresztą też. On wyjdzie, Kerry. I to dzięki tobie.

- Mylisz się. To zasługa twoja i Robin, bo ja już chciałam się wycofać.

- Dobra, pogadamy o tym później. Mam na drugiej linii Deidre Reardon. Porozmawiam z nią i oddzwonię. Nie chcę, żebyście dzisiaj byli z Robin same w domu.

Zanim Kerry wyszła na obiad, wykręciła numer komórki Joego i natychmiast usłyszała po drugiej stronie: „Palumbo”.

- Mówi Kerry.

- Wszystko w porządku. Stoję przed głównym wejściem. Reszta drzwi zamknięta na klucz. Po szkole zabiorę Robin do domu i zostanę z nią i opiekunką. Nie przejmuj się, mamusia. Mam oko na twojego dzieciaka.

- Wiem, że masz. Dzięki, Joe.

Gdy Kerry spiesznie szła korytarzem do wind, wciąż nie dawała jej spokoju myśl o zaginionej szpilce w kształcie róży. Było w niej coś tak znajomego... Dwie części. Kwiat i pączek, jak matka i dziecko. Jak matka i dziecko... Gdzieś dzwoniło, lecz Kerry wciąż nie mogła odgadnąć, w którym kościele.

Jonathan siedział już przy stoliku, pijąc aperitif. Wstał na powitanie Kerry. Z ulgą przyjęła jego ojcowski, znajomy uścisk.

- Wyglądasz na wykończoną, moja panienko - powiedział. - Nerwy?

Gdy tak do niej mówił, Kerry znów poczuła się dziewczynką, której zabrakło ojca, i z wdzięcznością pomyślała, że Jonathan w znacznym stopniu go zastąpił.

- Co za dzień - westchnęła, siadając. - Słyszałeś o śmierci doktora Smitha?

- Grace mi powiedziała. Przy śniadaniu słuchała wiadomości o dziesiątej. Wygląda to na kolejną robotę Weeksa. Oboje strasznie się martwimy o Robin.

- Ja też. Teraz pilnuje jej nasz agent, Joe Palumbo. Zostanie z nią, dopóki nie wrócę do domu.

Zamówmy obiad - powiedziała Kerry na widok kelnera - i wszystko spokojnie ci opowiem.

Oboje wybrali zupełną cebulową, którą podano natychmiast. Kerry opowiedziała Jonathanowi o przesyłce Federal Express z biżuterią i o liście Smitha.

- Wstyd mi, że próbowałem cię zniechęcić do tego śledztwa, Kerry - wyznał Jonathan. - Stoję za tobą murem, ale ostateczna decyzja należy do gubernatora. Jeśli sprawa Greena się zachwieje, wina i tak spadnie na ciebie.

- Może nie wszystko stracone - rzekła Kerry. - Jak to dobrze, że Grace zadzwoniła do FBI! - Opowiedziała Jonathanowi, co znaleziono w Catskills. - Frankowi Greenowi nie będzie trudno uwolnić się od odpowiedzialności za niesprawiedliwy wyrok Skipa Reardona. Nie może się doczekać, by oświadczyć publicznie, że ujawnienie mordercy senatora Peala jest zasługą pani senatorowej Hoover. Ty zostaniesz dzięki temu jego najlepszym przyjacielem, więc kto ośmieli się go zaatakować? Zdajesz sobie chyba sprawę, że jesteś najbardziej szanowanym politykiem w New Jersey.

- Można jeszcze ubarwić tę wersję - rzekł z śmiechem Jonathan. - I ogłosić, że Grace zadzwoniła do FBI dopiero po konsultacji z Greenem. - Po chwili jego uśmiech znikł. - Kerry, nie rozumiem jednak, co Arnott może mieć wspólnego ze straszeniem Robin. Czy to możliwe, żeby to on siedział w tamtym aucie i zrobił jej zdjęcie?

- Absolutnie nie. Przecież ojciec Robin zjawił się u mnie z ostrzeżeniem i poniekąd przyznał, że to była akcja Jimmy'ego Weeksa.

- Co będzie dalej?

- Zapewne razem z Frankiem i panią Reardon pojedziemy rano do Catskills zidentyfikować ramkę. Arnott do tej pory już na pewno będzie w lokalnym areszcie, gdzie go chwilę przetrzymają.

Potem zaczną się wizje lokalne poszczególnych kradzieży. Wydaje mi się, że w pierwszej kolejności oskarżą go o zabójstwo pani Peale. A jeśli okaże się, że ma coś wspólnego także ze śmiercią Suzanne Reardon, my dobierzemy mu się do skóry.

- A jeśli będzie milczał?

- Rozsyłałyśmy właśnie okólnik do jubilerów w New Jersey ze szczególnym uwzględnieniem tych z Bergen, bo mieszkają tu zarówno Weeks, jak i Arnott. Przewiduję, że w końcu któryś z fachowców zidentyfikuje nowoczesną biżuterię i rozpozna Weeksa jako kupującego. Staroświecka bransoletka zapewne pochodzi od Arnotta. Gdy znaleziono ją przy Suzanne, miała dorobiony nowy zamek. Klejnot jest tak wyjątkowy, że jubiler, który zamek dorabiał, mógł go zapamiętać. Im więcej drobiazgów zbierzemy, tym skuteczniej przyszpilimy Arnotta.

- A więc jutro skoro świt chcesz wyruszyć do Catskills?

- Tak. Oczywiście nie zostawię Robin samej w domu. Jeśli Frank zdecyduje się jechać bardzo rano, spróbuję namówić opiekunkę, żeby została na noc.

- Mam lepszy pomysł. Niech Robin przenocuje dzisiaj u nas. Rano podrzucę ją do szkoły albo odbierze ją ktoś z waszych ludzi, na przykład Palumbo. Mamy najnowocześniejszy system zabezpieczeń. Ja oczywiście też będę w domu, a i Grace, o czym może nie wiesz, trzyma w nocnej szafce pistolet. Świetnie umie się nim posługiwać. Sam ją nauczyłem. Poza tym wizyta Robin sprawi biednej Grace naprawdę wielką przyjemność. Ostatnio ma depresyjny nastrój, a Robin wnosi tyle radości!

- Tak, to prawda - uśmiechnęła się Kerry. - Myślę, Jonathanie, że to dobry pomysł. Sama mam mnóstwo pracy przed następną sprawą, a poza tym chcę jeszcze raz rzucić okiem na papiery z procesu Reardona i zobaczyć, czy coś mi przyjdzie do głowy w związku z Arnottem. Powiem Robin, jaki mamy plan, kiedy tylko wróci ze szkoły. Będzie za chwycona. Uwielbia was, no i różowy pokój.

- Twój pokój.

- Właśnie. Mieszkałam tam, kiedy wyniknęła ta ogrodowa afera z kuzynem Grace.

92

Po przedłużonej przerwie prokurator Royce wrócił do sądu na po południowe posiedzenie rozprawy: naród amerykański przeciw Jamesowi Forrestowi Weeksowi. Upewnił się, że za nieśmiałą, skromną miną Marthy Luce kryje się mózg sprawnego komputera. Jak z rękawa sypała dowodami obciążającymi Weeksa podczas wstępnego przesłuchania, przeprowadzonego subtelnie przez dwóch asystentów Royce'a.

Prokurator musiał przyznać, że młody siostrzeniec panny Luce wykazał spory talent. Zanim ciocia zaczęła śpiewać, wymógł na oskarżycielu, aby najpierw obie strony podpisały oficjalny, legalny układ. W zamian za szczerą i otwartą współpracę zapewniano pannie Luce w przyszłości zwolnienie od wszelkich oskarżeń kryminalnych lub cywilnych ze strony policji federalnej.

Na procesie miała się pojawić później. Na razie oskarżenie postępowało według wcześniej przyjętej linii. Zeznawać miał restaurator, który za odnowienie koncesji płacił człowiekowi Jimmy'ego comiesięczny haracz w wysokości pięciu tysięcy dolarów.

Gdy przyszła pora na krzyżowy ogień pytań obrony, Royce nie mógł nadażyć ze sprzeciwami wobec pytań zadawanych przez Kinellena. Bob bawił się świadkiem jak kot myszą, łapiąc go na najmniejszych przejęzyczeniach, a w końcu zmuszając do przyznania, że osobiście nie widział, by pan Weeks brał do ręki jego pieniądze; być może „kasjer” pracował na własny rachunek. Kinellen jest naprawdę świetnym fachowcem, pomyślał Royce. Szkoda, że marnuje zdolności w obronie takiej

szumowiny.

Royce nie mógł wiedzieć, że Robert Kinellen, popisując się przed ławą przysięgłych, myśli o sobie dokładnie to samo.

93

Jason Arnott wyczuł niebezpieczeństwo, kiedy tylko wszedł do holu w Catskills i nie zastał tam Maddie.

Skoro jej nie ma i nie zostawiła żadnej wiadomości, to znaczy, że zdarzyło się coś nieprzewidzianego. Wpadłem, pomyślał. Ciekawe, kiedy przyjedzie policja. Z pewnością niedługo. Poczł głód. W lodówce znalazł wędzonego łososia, którego kupiła Maddie. Wyjął jeszcze kapary, krakersy i francuski ser. Butelka Pouilly-Fuisse też się tam chłodziła.

Jason nałożył na talerz łososia, ugarniował go i napełnił kieliszek winem. Rozpoczął obchód swego królestwa. To moja ostatnia droga, pomyślał, pochłaniając wzrokiem zgromadzone skarby. Wspaniałe tkaniny w jadalni. Aubusson w salonie - honorem było stąpać po tym arcydziele. Rzeźba Chaima Grossa - szczupła postać z brązu, trzymająca na wyciągniętej dłoni niemowlę. Gross uwielbiał temat macierzyństwa. Arnott przypomniał sobie, że matka i siostra artysty zginęły w obozie koncentracyjnym.

Będzie potrzebował adwokata. Najlepszego adwokata. Ale kogo? Wargi wykrzywił mu ironiczny uśmiech. Wiedział już - zaangażuje Geoffa Dorso. Faceta, który przez dziesięć lat niezmiernie walczy o uniewinnienie Skipa Reardona. Dorso ma świetną opinię i może właściwie ocenić nowego klienta, który dostarczy mu dowodów do uwolnienia dawnego.

Zadzwonił dzwonek u drzwi. Jason nie zareagował. Nie ruszył się także, gdy dzwonek zaczął brzęczeć nieprzerwanie. Przeżuł ostatni kęs, rozkoszując się wyrafinowanym smakiem łososia, podniesionym przez kwaskowaty smaczek marynowanych kaparów.

Do pierwszego dzwonnka dołączył się ten przy drzwiach kuchennych. Jestem osaczony, pomyślał. No cóż. Wiedział przecież, że to się tak skończy. Gdyby w ubiegłym tygodniu posłuchał swych przeczuć, już dawno byłby za granicą. Teraz dokończył wino i uznał, że jeszcze jeden kieliszek nie zaszkodzi. Wrócił do kuchni. Przez wszystkie okna zaglądały twarze, butne, zadowolone z siebie gęby glin.

Arnott skłonił się im, wznosząc kieliszek w żartobliwym toaście. Wypił wino, podszedł do kuchennych drzwi i otworzył je. Usunął się przed mężczyznami kolejno wpadającymi biegiem do kuchni. „FBI, panie Arnott! - wrzeszczeli. - Mamy nakaz przeszukania!”

- Panowie, panowie, spokojnie - mruknął. - Błagam o delikatność. Znajdziecie tu bardzo dużo cennych lub wręcz bezcennych dzieł sztuki. Pewnie to dla was abstrakcja, lecz uszanujcie ich kruche piękno. Czy wszyscy wytarli buty?

94

Wpół do czwartej Kerry zadzwoniła do domu. Robin i Alison grały na komputerze w jedną z gier, którymi obdarował małą Jonathan. Kerry przedstawiła córce plan:

- Muszę dziś popracować do późna, a jutro wychodzę o siódmej rano. Zaprosili cię Jonathan i Grace. Będę się czuła pewniej, jeśli u nich przenocujesz.

- Dlaczego Joe Palumbo czekał przed szkołą? Dlaczego przywiózł mnie do domu i teraz też czeka? Czy coś mi grozi?

- Sprawię ci zawód, córeczko, ale to zwykle środki ostrożności. Niedługo nie będą potrzebne, bo sprawa zmierza do rozwiązania - rzeczowo odpowiedziała Kerry.

- Super. Lubię Palumbo i chętnie zostanę u wujka Jonathana i cioci Grace. Ale co z tobą, mamó? Kto ciebie będzie pilnował?

- Wrócę późno, a potem policjanci z nocnych patroli będą sprawdzać co kwadrans, czy wszystko w porządku. To wystarczy.

- Uważaj, mamó. - W jednej chwili cała dzielność dziewczynki znikła i zostało małe, przerażone stworzenie.

- Ty też uważaj na siebie, kochanie. I odrób lekcje.

- Dobrze. Poproszę, żeby ciocia Grace pozwoliła mi pooglądać stare albumy ze zdjęciami. Podobają mi się te dawne suknie i fryzury. Wszystkie zdjęcia są poukładane po kolei. Muszę się zacząć tego uczyć, bo na zajęciach fotograficznych zadali nam do zrobienia rodzinny album. Ma opowiadać historię naszego życia.

- To świetny pomysł, Robin, na pewno znajdziesz u Grace mnóstwo fajnych zdjęć. Ja też często przeglądałam albumy Hooverów, kiedy u nich mieszkałam - przypomniała sobie Kerry. - Liczyłam wszystkie panny służące, które pracowały u cioci Grace i wujka Jonathana. Myślę o nich czasem przy praniu i odkurzaniu.

Robin zachichotała.

- Trzymaj się, mamó. Może przynajmniej ci się kiedyś poszczęści na loterii. Kocham cię, mamó.

Wpół do szóstej zadzwonił z samochodu Geoff.

- Nie zgadniesz, gdzie teraz jestem - mówił, nie czekając na odpowiedź. - Byłem po południu w sądzie. Po powrocie okazało się, że próbował się ze mną skontaktować Jason Arnott. Zostawił wiadomość.

- Jason Arnott! - wykrzyknęła Kerry.

- Kiedy oddzwoniłem, prosił o natychmiastowe spotkanie. Chce, żebym został jego adwokatem.

- Weźmiesz tę sprawę?

- Nie, bo po pierwsze, ma związek ze sprawą Reardona, a po drugie, nie mam zwyczaju bronić takich klientów. Odmówiłem, ale on uparł się na spotkanie.

- Uważaj, Geoff! Nie pozwól mu się zrobić. Może ci powiedziec coś takiego, co się mówi tylko osobistemu obrońcy.

- Dziękuję, Kerry - zachichotał Geoff. - Sam bym na to nigdy nie wpadł.

Kerry też się roześmiała. Powiedziała mu, że postanowiła wysłać na noc Robin do Hooverów.

- Ja sama zostanę dłużej w biurze. Zanim wyjadę do domu, za dzwonię na posterunek w Hohokus. Wszystko już załatwione.

- Mam nadzieję - powiedział z powagą. - Im dłużej myślę o twoim wczorajszym spotkaniu ze Smithem, tym głębsze mi się wydaje, że poszłaś do jego domu. Mogli cię tam załatwić tak samo, jak załatwili Marka Younga razem z Haskellem.

Pożegnali się. Geoff obiecał zadzwonić jeszcze raz po rozmowie z Arnottem.

Po ósmej Kerry skończyła pracę nad nowym procesem. Sięgnęła teraz po skoroszyty sprawy Reardona. Bardzo uważnie przejrzała zdjęcia z miejsca zbrodni. W swoim ostatnim liście doktor Smith opisał wrażenia po wejściu do domu i odnalezieniu ciała. Kerry przymknęła oczy i zobaczyła nagle Robin na podłodze, uduszoną... Otrząsnęła się jakoś. Smith napisał, że celowo zabrał kartkę z taktami piosenki „Pozwól mi się kochać...” Był absolutnie pewien winy Skipa. Wierzył, że to mąż zabił Suzanne w ataku zazdrości, i chciał, aby ten otrzymał za to najwyższy wymiar kary.

Kerry uwierzyła, że to, co napisał, było zgodne z jego przekonaniem. Większość ludzi nie kłamie na chwilę przed popełnieniem samobójstwa. Wyznanie doktora pokrywało się ponadto z wersją Skipa. A zatem mordercą musiał być człowiek, który przybył do tego domu między szóstą trzydzieści, po wyjściu Skipa, a dziewiątą, kiedy drzwi otworzył doktor.

Kto to był? Jason Arnott? Jimmy Weeks? Który z nich?

Wpół do dziesiątej Kerry odłożyła ostatni plik dokumentów. Nie przyszło jej do głowy nic nowego. Gdyby to ja była na miejscu Arnotta, pomyślała, powiedziałabym, że Suzanne sama dała mi tego dnia ramkę, na przykład z prośbą o naprawę obluźwionych perełek. Po jej śmierci, nie chcąc wikłać się w morderstwo, zatrzymałam ramkę u siebie. Sąd lubi takie historyjki, bo brzmią prawdopodobnie. Co innego z biżuterią. Wszystkie tropy wracały wciąż do tego jednego. Jeśli uda się udowodnić, że Jason był ofiarodawcą cennych klejnotów, niech nie próbuje wykpić się bajką, że chodziło o wyraz czystej przyjaźni.

Około dziesiątej Kerry zeszła na parking. Uświadomiła sobie, że jest okropnie głodna, więc wpadła do „Areny” na hamburgera z frytkami.

Zamówiła kawę. Gdyby piła colę, byłoby to ulubione menu Robin. Tęsknię za moim dzieckiem, pomyślała.

Matka i dziecko...

Matka i dziecko...

Dlaczego ta oderwana fraza tak uporczywie do niej powracała? Coś tu nie pasowało, coś ją niepokoiło. Ale co?

Powinam zatelefonować i powiedzieć Robin „dobranoc” przed wyjściem z biura, pomyślała. Dlaczego o tym zapomniałam? Kerry szybko skończyła jeść i wsiadła do auta. Za dwadzieścia jedenasta, zbyt późno, żeby dzwonić. Właśnie wyjeżdżała z parkingu, gdy w samochodzie odezwał się telefon. Dzwonił Jonathan.

- Kerry - powiedział przyciszonym głosem. - Robin jest teraz z Grace. Nie wie, że do ciebie dzwonię. Nie chciała, żebyś się zdenerwowała, ale gdy zasnęła, obudził ją jakiś koszmar. Uważam, że powinnaś tu przyjechać. To na razie. Ona cię potrzebuje.

- Już jadę. - Kerry zmieniła kierunkowskaz, nacisnęła pedał gazu i ostro ruszyła, by jak najprędzej znaleźć się u boku swego dziecka.

95

Droga z New Jersey do Catskills była okropna. Koło Middletown zaczął siąpić deszcz ze śniegiem i samochody pełzły po szosie jak żółwie. W dodatku przewrócony traktor na godzinę zablokował drogę, która stała się istną torturą.

Głodny jak pies, umordowany Geoff Dorso dotarł na posterunek w Ellenville, gdzie zatrzymano Jasona dopiero za kwadrans dziesiątą. W kolejce czekał już zespół agentów FBI.

- Traciliście tylko czas - powiedział Geoff. - Ja nie zamierzam bronić tego człowieka. Nawet nie wolno mi go bronić z punktu widzenia prawa. Nie uprzedził was?

Zakutego w kajdanki Arnotta wprowadzono do sali przesłuchań. Geoff widział go po raz pierwszy od czasu śmierci Suzanne. Wówczas łączyły go z ofiarą więzy przyjaźni i interesów.

Geoff przyjrzał mu się uważnie. Arnott miał teraz trochę pełniejsze policzki, ale wyraz twarzy zblazowanego światowca nie zmienił się ani na jotę. Zmarszczki wokół oczu świadczyły o zmęczeniu, lecz kaszmirowy golf pod tweedową marynarką wciąż wyglądał świeżo i schludnie. Właściciel dóbr ziemskich i koneser sztuki, pomyślał Geoff. Nawet w tak kiepskich dla zatrzymanego

okolicznościach trudno było o pomyłkę.

- Dzięki za przybycie, Geoff - przyjaźnie powitał go Arnott.

- Właściwie to nie wiem, w jakim celu się tu tłukłem - odrzekł Geoff. - Uprzedzałem pana telefonicznie, że pańska sprawa jest powiązana ze sprawą Reardona, który z kolei jest moim klientem. Nic, co pan powie, nie będzie podlegać prawu tajemnicy adwokackiej. Natomiast wszystko, co od pana usłyszę, mogę powtórzyć prokuratorowi, gdyż uważam, że w noc zbrodni przebywał pan w domu Reardonów.

- Och tak, istotnie. Dlatego właśnie pana wezwałem. Proszę się nie obawiać, nie żądam od pana tajemnicy adwokackiej. Zaprosiłem tu pana, gdyż chciałbym zostać świadkiem obrony Skipa. W zamian pan zostanie moim obrońcą. Nie zaistnieje wówczas żaden konflikt interesów.

- Proszę zrozumieć, ja nie chcę pana bronić - powtórzył uparcie Geoff. - Spędziłem dziesięć lat, reprezentując w sądzie człowieka niewinnie odsiadującego karę więzienia. Jeśli sam pan zabił Suzanne, lub wie pan, kto to zrobił, a mimo to pozwolił pan temu biedakowi tyle czasu gnić za kratkami, to nie chcę takiego klienta. Wolę się poniewierać w piekle niż mieć do czynienia z tego pokroju człowiekiem.

- Właśnie z powodu tej determinacji chciałem pana wynająć - westchnął w odpowiedzi Arnott. - No dobrze. Spróbujmy z innej beczki. Jest pan zawodowym obrońcą w sprawach kryminalnych. Zna pan ludzi ze środowiska, z New Jersey i nie tylko. Może mi pan doradzić, który z adwokatów jest najlepszy. Zawrzyjmy układ - pan mi znajdzie najlepszego obrońcę, jakiego zdołam opłacić, a ja panu opowiem, co przypadkiem jest mi wiadome na temat śmierci Suzanne Reardon. Przypadkiem, podkreślam, bo nie jestem odpowiedzialny za ten czyn.

Geoff wpatrywał się w Jasona, rozważając jego ofertę.

- Dobrze. Ale zanim zaczniemy rozmawiać, chcę mieć podpisane przez pana i świadków oświadczenie, że nic, co usłyszę, nie jest objęte tajemnicą adwokacką, i wszystkiego mogę użyć w obronie Skipa Reardona.

- Zgoda.

Stenotypistka z FBI zanotowała krótkie oświadczenie Arnotta, po czym podpisało je dwóch świadków. On sam również złożył swój autograf.

- Jest już późno, a dzień był pełen wrażeń - zwrócił się do Geoffa. - Czy przyszło panu może na myśl nazwisko kolegi adwokata, które go mi pan poleci?

- Owszem. George Symonds z Trenton. Fantastyczny adwokat, zwłaszcza jeśli chodzi o ugody.

- Chcą mnie oskarżyć o to, że z premedytacją zamordowałem panią Peale. Przysięgam, że był to przypadek.

- Jeśli jest jakakolwiek furтка, by zakwalifikować czyn jako nie umyślne zabójstwo, Symonds ją znajdzie. Przynajmniej uniknie pan kary śmierci.

- Proszę do niego teraz zadzwonić.

Na szczęście Geoff wiedział, że Symonds mieszka w Princeton, bo był kiedyś u niego na kolacji. Pamiętał też, że telefon zarejestrowany jest na nazwisko żony. Wpół do jedenastej zadzwonił z telefonu komórkowego. W dziesięć minut później było po rozmowie.

- W porządku. Ma pan adwokata. A teraz proszę mówić - zwrócił się do Arnotta.

- Miałem pecha, że znalazłem się w domu Reardonów akurat tej nocy, gdy zginęła Suzanne - zaczął ze szczerym smutkiem Arnott. - Suzanne w ogóle nie dbała o biżuterię, a miała naprawdę cenne rzeczy. Pokusa okazała się dla mnie zbyt silna. Wiedziałem, że tego dnia Skip wybiera się w interesach do Pensylwanii, a Suzanne jest umówiona na randkę z Jimmym Weeksem, bo sama mi o tym powiedziała. Wie pan, ona naprawdę miała do niego słabość, choć nie dawała tego po sobie

poznać.

- Czy był w domu wówczas, gdy pan się tam znalazł?

- Nie. - Jason pokręcił głową. - Umówili się, że ona pojedzie do centrum handlowego w Pearl River, zostawi tam samochód i przesiądzie się do jego limuzyny. Zrozumiałem, że mają się spotkać późnym popołudniem, ale widocznie byłem w błędzie. Gdy wchodziłem do Reardonów, na parterze paliło się światło, ale mieli zwyczaj je zostawiać. Okna sypialni Skipa zastałem szeroko otwarte. Wejście na piętro było dziecinnie proste, bo dachy w tych nowoczesnych budynkach często sięgają aż do ziemi.

- Która była godzina?

- Dokładnie ósma. Wpadłem po drodze, ponieważ wybierałem się na przyjęcie w Cresskil. Zawsze dbałem, by mieć wielu świadków, którzy mogliby potwierdzić moje alibi w te szczególne wieczory.

- No więc wszedł pan do środka... - zachęcił go Geoff.

- Tak. Było zupełnie cicho. Sądziłem, że wszystko idzie zgodnie z planem. Nie miałem pojęcia, że Suzanne jest na dole. Przeszedłem przez dzienny pokój na piętrze, wszedłem do jej sypialni i skierowałem się do nocnego stolika. Widziałem przedtem tylko przelotnie błękitną ramkę, więc nie miałem pewności, czy jest autentyczna. Starłem się nie wykazywać nadmiernego zainteresowania, to chyba oczywiste. Wziąłem ją do ręki i rozpocząłem oględziny. Nagle usłyszałem głos Suzanne. Wymyślała komuś. Nie mogłem się skoncentrować.

- Co krzyczała?

- Coś w rodzaju: „Daleś mi to, i teraz jest moje. No już, wynoś się. Nudzisz mnie”.

„Daleś mi to, i teraz jest moje”. Chodzi o klejnoty, to jasne, pomyślał Geoff.

- Więc zapewne Jimmy Weeks zmienił plany i przyjechał po Suzanne do domu - myślał dalej głośno.

- Nie, nie. Słyszałem, jak ten mężczyzna krzyczy: „Muszę je mieć z powrotem”. To z pewnością nie był głos Jimmy’ego Weeksa, zdecydowanie bardziej kulturalny. No i nie był to ten biedak Skip - westchnął Arnott. - Machinalnie wsunąłem ramkę do kieszeni. To bez nadziejna kopia, jak się później okazało, ale podobało mi się zdjęcie Suzanne, więc ją zachowałem. Suzanne była fantastyczna. Żal mi jej.

- Włożył pan ramkę do kieszeni... - przypomniał Geoff.

- I wówczas usłyszałem kroki na schodach. Byłem w sypialni, więc szybko ukryłem się w szafie Suzanne, za jej długimi sukniami. Nie domknąłem jednak całkiem drzwi.

- Widział pan tego człowieka?

- Nie widziałem jego twarzy.

- Co robił?

- Podszedł do kasetki z biżuterią i wziął z niej jakiś przedmiot. Najwyraźniej nie znalazł wszystkiego, czego szukał, bo zaczął buszować w popłochu po szufladach. W parę minut później albo to znalazł, albo zrezygnował. Miałem szczęście, że nie zajrzał do szafy. Wiedziałem już, że stało się coś złego. Wczekałem na stosowny moment i wymknąłem się po schodach na dół. I wtedy ją zobaczyłem.

- W kasetce było sporo cennej biżuterii. Co zabrał zabójca Suzanne?

- Sądząc z tego, co słyszałem na procesie, musiała to być broszka w kształcie róży z pączkiem. Taka staroświecka szpilka. Absolutne cudo, zupełnie unikatowy klejnot.

- Czy ten sam człowiek, który dał jej szpilkę, mógł jej ofiarować także podobną bransoletkę?

- Z pewnością. Pewnie właśnie tej bransoletki tak nerwowo poszukiwał.

- Wie pan, kto jej dał te rzeczy!

- Oczywiście. Nie miała przede mną tajemnic. Nie mogę, niestety, przysiąc, że to akurat on był w domu tamtej nocy. Ale wszystko na to wskazuje, nieprawdaż? Wie już pan, do czego zmierzam? Teraz moje zeznanie pomoże odnaleźć prawdziwego mordercę. Zasluguję chyba na pewne względy, jak pan sądzi?

- Panie Arnott, kto dał Suzanne bransoletkę i broszkę?

- Nie uwierzy pan - z rozbawionym uśmiechem powiedział Arnott.

96

Kerry dojechała do Old Tappan w niespełna pół godziny. Każdy metr dłużył jej się bez końca. Robin, jej dzielna mała Robin, która zawsze potrafiła ukryć zawód, gdy ojciec nie umiał okazać jej miłości, która dziś cały dzień tak wspaniale walczyła ze strachem, wreszcie załamała się pod brzemieniem nad swoje siły. Nigdy już nie zostawię jej samej, przysięgła sobie w duchu Kerry. Nawet z Jonathanem i Grace.

Nawet z Jonathanem i Grace.

Dlaczego on miał taki dziwny głos? - zastanawiała się.

Od dzisiaj ja i tylko ja będę się opiekować moim dzieckiem, postanowiła twardo.

Matka i dziecko... - Znów ta fraza, co jak refren piosenki tkwiła jej w głowie.

Już widać światła Old Tappan. Jeszcze tylko parę minut.

Robin tak się cieszyła na nocleg u Jonathana i Grace i na oglądanie albumów ze zdjęciami!

„Albumy ze zdjęciami.

Kerry mijala właśnie ostatni dom przed rezydencją Hooverów. Skręciła w podjazd. Zauważyła mimochodem, że światelka czujników nie zamrugały.

Albumy ze zdjęciami.

Róża i pączek.

Znała tę broszkę.

Widziała ją przy sukni Grace.

Wiele lat temu, kiedy dopiero zaczynała pracę u Jonathana. Grace często nosiła biżuterię. Dowodem tego były liczne zdjęcia. Kiedy Kerry głośno podziwiała broszkę, Grace zażartowała. Powiedziała, że to matka i dziecko...

A więc Suzanne Reardon na zdjęciu z tygodnika miała na sobie broszkę Grace! To znaczy że... Jonathan? Czyżby to on dał jej klejnot?

Przypomniała sobie, że Grace kiedyś mówiła, iż całą swą biżuterię poleciła mężowi schować w bankowym sejfie. „Nie umiem sama niczego włożyć, a bałabym się złodziei, gdyby te rzeczy leżały tutaj, w domu”.

Jonathan o wszystkim wiedział. Sama powiedziałam mu o planowanej rozmowie z doktorem Smithem. A zeszłego wieczoru, po powrocie do domu, mówiłam mu, że Smith jest bliski załamania. O Boże! Więc to on go zastrzelił!

Kerry zgasiła silnik. Auto zatrzymało się tuż przed wejściem do eleganckiej budowli z wapienną elewacją. Kerry wysiadła i, nie zamykając drzwi samochodu, wbiegła po schodach.

Robin była zdana na łaskę mordercy.

Kerry nie dosłyszała cichego brzęczyka samochodowego telefonu. Jej palec naciskał właśnie dzwonek.

Geoff próbował łąpać Kerry w domu. Potem wykręcił numer telefonu w samochodzie. Gdzie ona się, u diabła, podziewa? - zastanawiał się nerwowo. Gdy Arnotta odprowadzono do celi, zadzwonił do biura Franka Greena. „Urząd Prokuratora Okręgowego czynny jest w godzinach... Numer awaryjny to...” Geoff, klnąc pod nosem, wybrał numer awaryjny. Robin nocowała u Hooverów. Co się stało z Kerry? Wreszcie ktoś odebrał telefon.

- Mówi Geoff Dorso. Muszę pilnie rozmawiać z panem Greenem. Chodzi o zbrodnię. Jaki jest jego numer domowy?

- Nie ma go w domu, sir. Jest w Oradell. Morderstwo.

- Może mnie pan połączyć?

- Spróbuję. Proszę czekać.

Minęły pewnie trzy minuty, zanim w słuchawce rozległ się głos Greena.

- Geoff, odrywasz mnie od cholernie ważnej sprawy. Mam nadzieję, że masz powody.

- To nie żarty. Dalszy ciąg sprawy Reardona. Frank, Robin Kinellen jest teraz u Jonathana Hoovera.

- Wiem, Kerry mi powiedziała.

- Frank, to on ofiarował Suzanne tę antyczną biżuterię. Miał z nią romans. Moim zdaniem, zamordował ją. Teraz ma w ręku Robin!

Zapadła głucha cisza, po czym Geoff znów usłyszał opanowany głos Greena:

- Jestem w domu starego antykwariusza, który specjalizował się w naprawie takiej biżuterii. Zamordowano go dziś po południu. Nie ma śladów rabunku, ale jego syn twierdzi, że zaginął notatnik z nazwiskami klientów. Za chwilę wysyłam lokalne gliny do Hooverów.

98

Jonathan sam otworzył drzwi. W domu było ciemno i bardzo cicho.

- Zasnęła - powiedział. - Już wszystko w porządku.

Kerry aż do bólu zacisnęła ukryte w kieszeniach płaszcza dłonie. Ogarnął ją strach i gniew. Mimo to wysiliła się na uśmiech.

- Och, Jonathan, to taki kłopot dla ciebie i Grace. Mogłam to przewidzieć. Gdzie ona jest?

- W różowym pokoju. Śpi.

Czy ja oszalałam? - myślała Kerry, postępując za Jonathanem schodami wiodącymi na piętro. Mam urojenia? Przecież on zachowuje się zupełnie normalnie.

Weszli do gościnnego „różowego” pokoju, jak go zawsze nazywała Robin, z różowymi tapetami, zasłonami i kapą na łóżko.

Kerry cicho pchnęła uchylone drzwi. W słabym świetle nocnej lampki ujrzała Robin w typowej embrionalnej pozycji, z długimi włosami rozrzuconymi na poduszce. Dwoma krokami dopadła posłania. Robin opierała policzek na dłoni. Jej oddech był lekki i spokojny. Kerry pytająco spojrzała na Jonathana, który stanął w nogach łóżka.

- Przeżyła stres. Zabierz ją lepiej do domu - powiedział. - Jej torba z ubraniami i podręcznikami jest już spakowana. Pomogę ci ją znieść do samochodu,

- Jonathan, ona nie miała koszmarów. Zasnęła spokojnie, prawda? - spytała Kerry beznamiętnym głosem.

- Tak - odparł równie obojętnie. - Lepiej dla niej, żebyś jej teraz nie budziła.

W świetle lampki Kerry zauważyła metaliczny błysk lufy pistoletu, który trzymał w ręce.

- Co robisz, Jonathan? Gdzie jest Grace?

- Mocno śpi. Tak będzie lepiej. Środki nasenne doskonale uśmierzają ból. Co wieczór sam podaję jej tabletki rozpuszczone w gorącym kakao.

- Co chcesz osiągnąć, Jonathan?

- To, żeby w moim i jej życiu nic się nie zmieniło. Chcę pozostać przewodniczącym Senatu i przyjacielem gubernatora. Chcę dożyć późnej starości z moją żoną, którą wciąż bardzo kocham. Mężczyźni czasem głupieją, Kerry. Dostają małego rozumu i robią rzeczy, których nie powinni robić. Pozwalają, by młode ślicznotki owijały ich sobie dookoła palca. Być może ja uległem temu z powodu choroby Grace. Wiedziałem, że postępuję głupio i źle. Chciałem to naprawić. Chciałem odebrać biżuterię Grace, którą bezmyślnie dałem tej wulgarnej dziwce. Nie chciała jej oddać. - Kiwnął uzbrojoną dłonią w stronę drzwi.

- Obudź Robin albo weź ją na ręce. Nie mamy czasu.

- Co chcesz zrobić, Jonathan?

- Zrobię tylko to, co muszę, z wielkim bólem zresztą. Kerry, Kerry, po co bawiłaś się w uczenia czarnoksiężnika? Co ci szkodziło, że to Reardon odsiaduje wyrok? Po co wymusiłaś od ojca Suzanne wyznanie, że bransoletka to nie był prezent od niego? Próbowałaś zmienić stary porządek, zburzyć ład, który mi odpowiada. Muszę go bronić, żeby żyć tak, jak chcę, z ukochaną kobietą. Wystarczającą karą było to, że Grace z łatwością odkryła moją zdradę. - Jonathan uśmiechnął się.

- To niezwykła kobieta. Pokazała mi tamto zdjęcie w gazecie i powiedziała: „Spójrz, taka sama broszka jak moja. Chciałabym znów ją nosić. Proszę, wyjmij ją z depozytu, kochanie”. Wiedziała, a ja wiedziałem, że ona wie. W jednej chwili przestałem być ogłupiałym samcem... Poczuję się brudny, zbrukany.

- Więc zabiłaś Suzanne.

- Tylko dlatego, że nie chciała zwrócić klejnotów mojej żony. Na dodatek powiedziała mi w oczy, że ma nowego kochanka, Jimmy'ego Weeksa. O Boże, przecież to skończony łajdak. Gangster. Mafioso. Kerry, albo obudzisz Robin, albo zniesiesz ją aa dół.

- Mamooo - przeciągnęła się Robin, otwierając oczy. Usiadła na łóżku. - Mama! - uśmiechnęła się. - Skąd się tu wzięłaś?

- Wstawaj, maleńka. Wyjeżdżamy - powiedziała Kerry. On nas zabije, pomyślała.

Objęła córkę. Czując, że coś jest nie tak, mała cofnęła się.

- Mamo?

- Wszystko będzie dobrze.

- Wujku? - zdziwiła się Robin, spostrzegłszy pistolet.

- Nic nie mów, Robin - spokojnie powiedziała Kerry. Co ja mam robić? - pomyślała. To szalenie. Słowa do niego nie docierają. Gdyby tylko Geoff nie pojechał do tego Arnotta! Pomógłby mi. Na pewno. Geoff by pomógł.

Gdy byli w połowie schodów, Jonathan powiedział cicho:

- Daj mi kluczyki, Kerry. Wejdziecie do bagażnika.

O Boże, jęknęła w duchu Kerry. Zabije nas, wywiezie gdzieś i zostawi na uboczu, żeby wszystko wyglądało na zemstę mafii. A rachunek zapłaci Weeks.

- Jest mi bardzo przykro, Robin. - Jonathan znów się odezwał, kiedy przechodzili przez hol. - A teraz ostrożnie, Kerry. Otwórz drzwi.

Kerry pochyliła się, by ucałować Robin. Szepnęła jej do ucha:

- Rob, kiedy się odwrócę, uciekaj. Biegnij do sąsiadów i wołaj o pomoc.

- Kerry, drzwi.

Uchyliła je powoli. Wyłączył latarnie przy podjeździe, więc jedyne światło padało z daleka, od strony bramy.

- Mam kluczyki w kieszeni - powiedziała. Odwróciła się powoli i krzyknęła:

- Leć, Robin!

W tym samym momencie zaatakowała Jonathana. Biegła do niego, gdy usłyszała huk broni, a potem poczuła palący ból nad uchem i zawrót głowy. Marmurowa podłoga niebezpiecznie zbliżała się do jej oczu. Po pierwszym strzale zabrzmiał drugi. Kerry mimo omdlenia zdołała go usłyszeć. Gdzieś z oddali dobiegało wołanie Robin, zagłuszone wyciem policyjnych syren.

Przez monotony dźwięk przebił się szloch Grace.

- Wybacz, Jonathan. Wybacz. Nie chciałam. Nie mogłam pozwolić, żebyś im zrobił krzywdę - powtarzała. - Nie Kerry i Robin. Nigdy.

Kerry ostatkiem sił pozbierała się z podłogi, przyciskając dłoń do skroni. Krew wciąż płynęła, ale oszołomienie ustępowało. Spojrzała do góry i zobaczyła u stóp schodów postać Grace, która zsunęła się ze swego fotela na kółkach. Zniekształcona dłoń wypuściła pistolet. Ramiona kobiety obejmowały w ostatnim uścisku martwe ciało męża.

Sala sądu okręgowego była pełna gości, którzy przybyli, by być świadkami zaprzysiężenia wiceprokurator Kerry McGrath na nowego członka zespołu sędziowskiego. Radosny szum głosów ucichł, gdy boczne drzwi się otworzyły i na salę wkroczyła majestatycznie procesja sędziów przybranych w czarne togi, aby powitać w swym gronie nowych kolegów.

Kerry wolno podeszła do swego miejsca na prawo od ławy sędziowskiej, ustawionej frontem do zgromadzonych.

Spojrzała na salę. Z okazji ceremonii do Bergen przylecieli jej matka i Sam. Siedzieli obok Robin, wyprostowanej jak struna i z rozszerzonymi emocją oczami oczekującej ważnej chwili. Na jej twarzyczce już prawie nie było widać śladów po szwach, założonych przez doktora Smitha, którego osoba pociągnęła za sobą całą lawinę nieoczekiwanych wydarzeń.

W drugim rzędzie usiadł Geoff i starsi państwo Dorso. Kerry przy pomniała sobie, jak popędzał pilota z FBI, by co prędzej zawiózł ją helikopterem do szpitala, a także jak skutecznie utulił rozhisteryzowaną Robin i zawiózł ją do swej matki, kiedy doktor zabronił Kerry od razu wyjść ze szpitala. Z trudem powstrzymała łzy wzruszenia, gdy ujrzała wyraz jego twarzy i oczy pełne uśmiechu.

Margaret, jej najstarsza i najwierniejsza przyjaciółka, też przybyła, by odegrać swoją rolę w ceremonii. Kerry pomyślała o Jonathanie i Grace. Oni przede wszystkim wybierali się na jej wielką uroczystość.

Grace przysłała list.

Wracam do Południowej Karoliny. Zamieszkałam u siostry. Obwiniam siebie za wszystko złe, co się stało. Wiedziałam, że Jonathan był zafascynowany tamtą kobietą, ale zdawałam sobie przecież sprawę, że to minie. Gdybym udała, że nie zauważyłam jej zdjęcia z moją broszką, nic by się nie wydarzyło. Nie zależy mi na biżuterii. Pragnęłam tylko na swój sposób dać do zrozumienia Jonathanowi, że o wszystkim wiem. Nie chciałam, by jego polityczna kariera została zrujnowana przez skandal. Błagam, przebacz mi i jemu, jeśli zdołasz.

Czy zdołam? Trudno powiedzieć. Grace uratowała mi życie, ale Jonathan bez skrupułów zabiłby mnie i Robin, żeby ratować własną skórę. Grace wiedziała, że Jonathan miał romans z Suzanne i być może nawet ją zabił, a jednak milczała, pozwalając, by Skip gnął w więzieniu.

Skip, jego matka i narzeczona również byli na sali. Skip i Beth za tydzień mieli się pobrać. Na świadka poprosili Geoffa.

Starym zwyczajem tuż przed aktem złożenia przysięgi najbliżsi przyjaciele i koledzy przyszłych sędziów wygłaszali na ich cześć parę słów. Pierwszy zgłosił się Frank Green:

- Szukając pilnie w pamięci, nie potrafiłbym znaleźć osoby - czy to mężczyzny, czy kobiety - która byłaby godniejsza dostąpienia tego zaszczytu niż Kerry McGrath. Jej wyjątkowe poczucie sprawiedliwości doprowadziło to otwarcia zapomnianej sprawy kryminalnej, w której zapadł

niesłuszny wyrok. Razem stawiliśmy czoło makabrycznym rewelacjom: oto mściwy, zazdrosny ojciec wysłał do więzienia męża zmarłej córki, podczas gdy prawdziwy morderca beztrudno hasa na wolności. Razem...

Ależ spryciarz. Po prostu geniusz nadinterpretacji, pomyślała Kerry. Musiała jednak przyznać, że na koniec stanął przy niej murem i pomagał, jak mógł. Osobiście spotkał się z gubernatorem i wymógł na nim zgłoszenie jej kandydatury.

Również dziełem Franka było zbadanie związków Jimmy'ego Weeksa z Suzanne Reardon. Jedną z jego wtyczek, drobny złodziejasek pracujący dla Weeksa, dostarczył odpowiedzi na wszelkie pytania. Suzanne istotnie miała romans z Weeksem, który kupował jej biżuterię. Przysłał jej do domu różę tego wieczora, kiedy byli umówieni na schadzki. Kiedy się nie pokazała, dostał szału i w pijackim amoku groził głośno, że ją zabije. Wiadomo było, że Jimmy nie rzuca słów na wiatr, więc jego ludzie sądzili, że naprawdę posunął się do morderstwa. Potem zresztą stale miał z tego powodu kompleksy i panicznie bał się, by jakiegokolwiek powiązania z Suzanne nie wyszły na jaw.

Teraz przemawiał sędzia Robert McDonough. Wspominał, jak to świeżo upieczona absolwentka prawa jedenaście lat temu po raz pierwszy pojawiła się w sądzie. Wyglądała tak młodo, że pomylił ją z uczennicami, które latem dorabiały sobie w sądzie sprzątnięciem.

Byłam też świeżo upieczoną żoną, z goryczą pomyślała Kerry. Bob już pracował w prokuraturze. Mam nadzieję, że w przyszłości, skoro sparzył się na Weeksie, starczy mu rozumu, żeby się od takich łobuzów trzymać z daleka. Jimmy Weeks został skazany za wszystkie udowodnione przestępstwa podatkowe. Teraz czekał go kolejny proces - za próbę przekupienia członka ławy przysięgłych. Próbował zwalić to na Boba, ale nie potrafił mu tego udowodnić. Bob zresztą tylko cudem się z tego wszystkiego wywinął. Donos na temat krzywoprzysięstwa jednej z przysięgłych, której ojciec odsiaduje karę, nic Weekswi nie dał. Skoro wiedział o tym przed procesem, powinien zgłosić ten fakt sędziemu i zażądać zmiany składu ławy. Może to wszystko na tyle przstraszyło Boba, że w ostatniej chwili wycofał się z afery. Kerry miała nadzieję, że tak właśnie było.

Sędzia McDonough uśmiechnął się do niej.

- Już czas, Kerry - powiedział.

Robin zbliżyła się, dźwigając ciężką Biblię. Margaret wstała i ruszyła za nią, z czarną sędziowską togą przełożoną przez ramię. Miała podać ją Kerry po zaprzysiężeniu. Kerry uniosła prawą rękę, lewą położyła na Biblii, i zaczęła powtarzać za sędzią:

- Ja, Kerry McGrath, przysięgam uroczyście, że...